



Kwartalnik polski

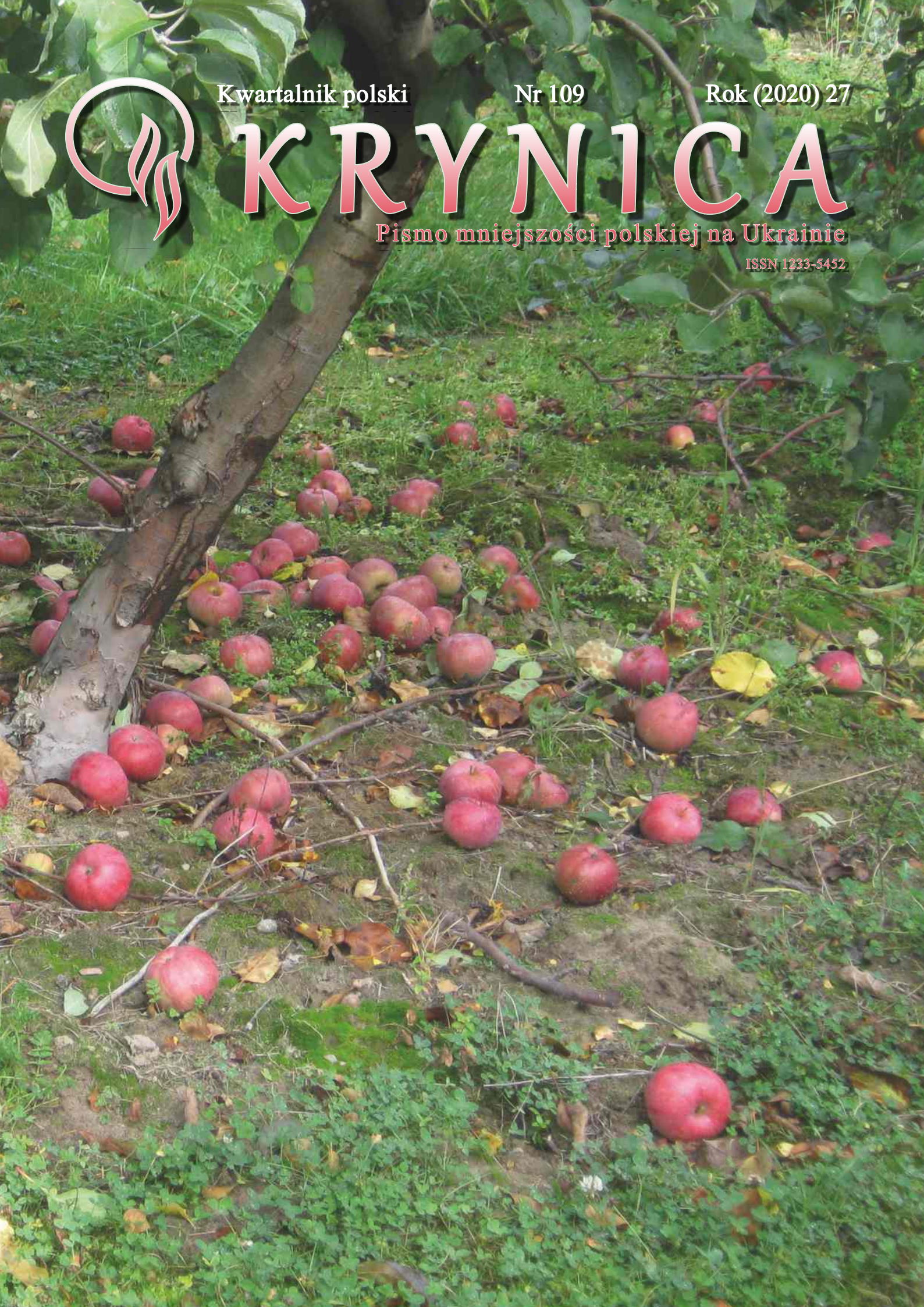
Nr 109

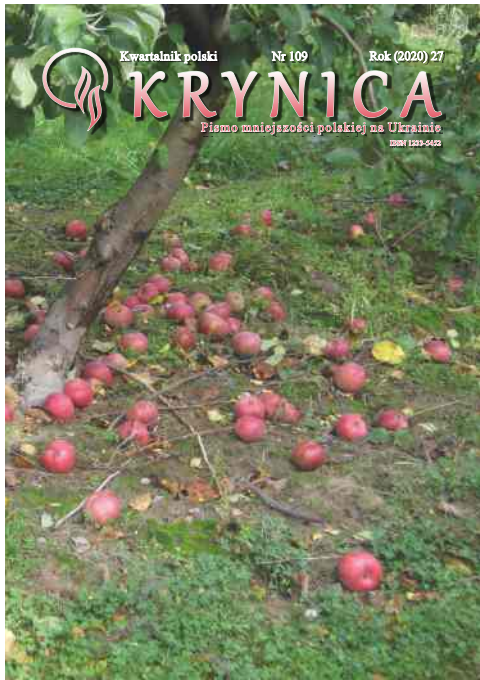
Rok (2020) 27

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Z mojego dalekiego dzieciństwa dobrze pamiętam, jak moja mama pytana o to, dlaczego nie je jajek, które dostawaliśmy od babci mieszkającej na wsi, niezmiennie odpowiadała, że nie wolno jej ich jeść ze względów zdrowotnych. Pamiętam też, jak mama pruła stare płaszcze, z których potem mój dziadek-krawiec szył dla mnie „nowe” okrycia.

Bardzo szybko mama nauczyła mnie, w jaki sposób spruć stary, sfilcowany sweter, który w jakiś tajemniczy sposób trafił do naszego domu, i z jego wypranych w specjalny sposób nitek zrobić „nowy”. Z tego też powodu już w dzieciństwie „zaprzyjaźniłam się” z szydełkiem i drutami. A kiedy miałam lat siedemnaście, sąsiadka nauczyła mnie szyć na maszynie. „Uzbrojona” w tę wiedzę ochoczo przerabiałam stare ciuszki na „nowe”.

Kiedy dorosłam, odkryłam, że moja mama nie jadła jajek, żeby starczyło ich dla nas – dzieci. Zrozumiałam, że te ciągłe „przeróbki” to efekt oszczędności, efekt biedy. Nie myślałam wówczas o tym, że urodziłam się zaledwie 12 lat po wojnie...

Kiedy dorosłam, rozumiałam także, że postawa moich rodziców wobec życia w tamtych niezwykle trudnych czasach, kiedy zmuszeni byli odmawiać sobie dosłownie wszystkiego, aby moje dzieciństwo nie było pozbawione radości, także i mnie nauczyło umiejętności rezygnowania z czegoś, jeśli tego wymaga sytuacja. Przy czym rezygnowania spokojnie, bez zbędnych nerwów, z pełnym rozumieniem tego, że TAK TRZEBA!

Żyjemy obecnie w czasach, kiedy zmuszeni jesteśmy rezygnować z bardzo wielu rzeczy, do których byliśmy przyzwyczajeni. Już nie tak lekko jak wcześniej oddychamy. Maski na twarzy na to nie pozwala...

Musimy zrezygnować ze spotkań towarzyskich: z aromatycznej kawy wypitej z przyjaciółmi w ulubionym lokalu, z seansów w kinie czy spektakli w teatrze, z udziału w koncertach. Coraz częściej pozostajemy we własnych domach. Informacje z masmediów na temat Covid-19 są wręcz przerażające...

W tej naszej rezygnacji z wielu udogodnień najważniejsze jest to, żebyśmy stale pamiętali o tym, że robimy to nie tylko dla siebie, ale także dla innych. Że nasza rezygnacja z pewnych wygód może ochronić czyjeś życie...

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Andżelika Płaksina

Stali korespondenci:

Jan Ciechanowicz (Wilno)
Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Janusz Fuksa (Wrocław)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. *Mychajło Rojik*
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Dorota Jaworska



Projekt finansowany ze środków
Kancelarii Prezesa Rady Ministrów,
w ramach zadania publicznego
dotyczącego pomocy Polonii
i Polakom za granicą.

Projekt Fundacji
Wolność i Demokracja
„Polska Platforma Medialna”.



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 (44) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Solidarni w walce z Covid-19 (<i>Antoni Kosowski</i>)	2
Mogily przodków. Pamiętamy... (<i>Andżelika Płaksina</i>)	3
Solidarna pomoc (<i>Inf. własna</i>)	4
Wizyta na Ukrainie (<i>Inf. własna</i>)	5
W hołdzie Bohaterom (<i>Olga Ozolina</i>)	6
Bohaterka dwóch narodów (<i>Stanisław Panteluk</i>)	7
Nowy rok szkolny (<i>Andżelika Płaksina</i>)	8
Spotkanie z malarstwem (<i>Andżelika Płaksina</i>)	9
Polska linia (<i>Olga Ozolina</i>)	10
Życzenia (<i>Redakcja kwartalnika „Krynica”</i>)	11

GOSPODARKA

W Stowarzyszeniu Eksporterów Polskich	12
-------------------------------------------------	----

BADACZE SYBERII I DALEKIEGO WSCHODU

Wacław Sieroszewski (<i>Janusz Fuksa</i>)	16
-------------------------------------------------------	----

HISTORIA POLITECHNIKI KIJOWSKIEJ

Politechnika Kijowska: początek historii (cz. III) (<i>Wołodymyr Jankowij, Dmytro Stefanowycz</i>)	20
-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	----

HISTORIA NIEPODLEGŁEJ

Józef Piłsudski wobec Ukrainy (cz. I) (<i>Andrzej Małkiewicz</i>)	30
-------------------------------------------------------------------------------	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Sześćdziesiątka (<i>Stefan Pawliszcze</i>)	42
--------------------------------------------------------	----

POEZJA

„Gwiazdom nie wierzę...” Wiersze Dominika Ćwika	50
-----------------------------------------------------------	----

PROZA

„Nusia” (<i>Małgorzata Żurecka</i>)	56
„Życie (u)daje szkołę” (<i>Ryszard Mścisz</i>)	66

ROK 2020

Uchwała Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 13 czerwca 2019 r. w sprawie ustanowienia roku 2020 Rokiem Bitwy Warszawskiej.	72
------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	----

SOLINARNI W WALCE Z COVID-19

W dniu 9 czerwca 2020 r. polska Fundacja Solidarności Międzynarodowej przekazała Głównemu Wojskowemu Szpitalowi Klinicznemu w Kijowie pomoc w ramach walki z Covid-19, obejmującą m.in. środki ochrony osobistej i sprzęt medyczny. Część wsparcia trafi do szpitali na froncie na wschodzie kraju.

W czasie uroczystości przekazania daru serca Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Bartosz Cichocki powiedział: „Solidarność to sprawdzona polska szczepionka przeciw koronawirusowi”. „Polska aktywnie uczestniczy w międzynarodowej pomocy dla Ukrainy na rzecz walki z koronawirusem – podkreślił Pan Ambasador – i jest dla nas szczególnie ważne, aby część tej pomocy, będącej wynikiem współpracy Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Fundacji Solidarności Międzynarodowej, została przekazana do szpitali wojskowych w strefie przyfrontowej. Mamy świadomość, że ukraińscy żołnierze bronią nie tylko swojego terytorium, ale też Polski, więc są to też nasi bohaterowie, nasi ranni, nasi cierpiący”. I dodał: „Cały ten sprzęt ochronny zakupiony został od ukraińskich producentów, co jest aktem wsparcia krajowych ukraińskich wytwórców”.

Główny Wojskowy Szpital Kliniczny w Kijowie otrzymał m.in. 5000 masek ochronnych, 500 jednorazowych kombinezonów ochronnych, 100 pulsoksymetrów, 34 torby Ambu do ręcznej wentylacji płuc, 18 szafek medycznych, 3 wskaźniki ciśnienia wewnątrzgałkowego, sterylizator medyczny i destylator wodny.

„Sytuacja pandemiczna wymaga wspólnego wsparcia. Dlatego Międzynarodowy Fundusz Solidarności od ponad dwóch miesięcy prowadzi działania związane z zaopat-

zeniem w środki do walki z pandemią” – powiedział Rafał Dzieciolowski – Prezes Fundacji Solidarności Międzynarodowej. „Lista wszystkich zakupionych towarów została uzgodniona z zarządem szpitala i spełnia jego potrzeby. Przekazanie pomocy szpitalowi w Kijowie leczącemu m.in. żołnierzom Sił Zbrojnych Ukrainy, którzy odnieśli rany w wyniku konfliktu w Donbasie, wieńczy dziś cykl naszych projektów prowadzonych we Lwowie, Winnicy i Berdyczowie o łącznej wartości 500 tys. złotych” – poinformował Rafał Dzieciolowski.

„Jest to – kontynuował – dziewiąty z rzędu ukraiński szpital, któremu FSM przekazała wsparcie. Równie ważną są dla nas pacjenci z Gródka, Sokala czy Berdyczowa, jak i z Kijowa. Razem z naszym kijowskim biurem czuwamy nad tym, by pomoc ta była precyzyjnie adresowana i odpowiadała rzeczywistym potrzebom. A w działaniach tych nasz cel jest prosty. Budowanie wzajemnego zaufania i pokazanie, że jesteśmy solidarni z Ukrainą w jej walce o wolność, integralność granic, gdyż to, co robi dziś Ukraina na Wschodzie to jest ochrona granic wolnego zachodniego świata, czyli de facto Unii Europejskiej, a zatem my winniśmy Ukraińcom okazywać braterską solidarność”.

Dyrektor Głównego Wojskowego Szpitala Klinicznego Anatolij Kazmirczuk, dziękując serdecznie za środki, które znacznie zwiększą możliwości leczenia weteranów, zaznaczył, że przekazana pomoc trafi nie tylko do kijowskiej placówki, ale także do szpitali w strefie działań zbrojnych na Donbasie.

Antoni KOSOWSKI
Zdj. A. Płaksina



Podczas uroczystości przekazania Głównemu Wojskowemu Szpitalowi Klinicznemu w Kijowie polskiej pomocy humanitarnej do walki z Covid-19. Od lewej: Prezes Fundacji Solidarności Międzynarodowej Rafał Dzieciolowski, JE Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki, Dyrektor Głównego Wojskowego Szpitala Klinicznego Anatolij Kazmirczuk

MOGIŁY PRZODKÓW. PAMIĘTAMY...

Grupa aktywistów stołecznych organizacji Związku Polaków Ukrainy „Pomocna dłoń” przy współpracy z Duszpasterstwem Polaków przy parafii pw. św. Aleksandra w Kijowie zorganizowali kolejną akcję „Ocalmy mogiły przodków od zapomnienia”, która odbyła się w sobotę 4 lipca br.

W porządkowaniu polskich nagrobków na Cmentarzu Bajkowa w Kijowie wzięli udział przedstawiciele niemal wszystkich organizacji polskich stolicy i obwodu kijowskiego oraz sympatycy Polski, m.in.: ZPT „Polanie znad Dniepru”, Wspólnota Polska „RAZEM”, Dom „Polonia” w Kijowie, Związek Polaków Lewego Brzegu, Spółka „Białego Orła”, Polskie Stowarzyszenie Medyczne na Ukrainie, „Młodzi i Kreatywni”, „Dom Polski” w Kijowie przy FOPnU, Związek Polaków Białocerkiewszczyzny, KNKSP „Zgoda”, KPSKO im. A. Mickiewicza, Związek Polaków m. Irpień, OPOS „Polonia”, Związek Polaków Obwodu Kijowskiego i m. Kijowa.

W akcji uczestniczyła także rodzina Ambasadora RP na Ukrainie Bartosza Cichockiego.

Przed rozpoczęciem prac porządkowych jej uczestnicy pomodlili się obok polskiej kapliczki za dusze spoczywających na tym cmentarzu oraz za pomordowanych przez hitlerowców dokładnie 79 lat profesorów lwowskich uczelni. Modlitwie przewodniczył duszpasterz Polaków przy parafii św. Aleksandra diakon Jacek Jan Pawłowicz. Po odmówieniu modlitwy zapalono znicze.

Rękawicami, grabiami, piłami, siekierami i workami na śmieci – rzeczami tak niezbędnymi do wykonania prac porządkowych – zabezpieczył uczestników prac porządkowych na Cmentarzu Bajkowa Dyrektor Biura ZPU Rościsław Raczyński.

Z satysfakcją i dumą należy stwierdzić, że dzięki podobnym akcjom, dzięki ludziom wielkiego serca, dzięki patriotom, którzy zawsze gotowi są poświęcić swój wolny czas na realizację ważnych celów społecznych, na terenie jednej z najstarszych i największych nekropoli stolicy Ukrainy coraz mniej jest grobów anonimowych, zaniedbanych i samotnych.

Andżelika PŁAKSINA
Zdj. autora



Uczestnicy akcji „Ocalmy mogiły przodków od zapomnienia” na wspólnym zdjęciu

SOLIDARNA POMOC

14 lipca w Kijowie, 15 lipca w Kaniowie i 16 lipca br. w Fastowie dyplomaci Ambasady RP na Ukrainie uczestniczyli w przekazaniu medycznego sprzętu ochrony indywidualnej, zakupionego przez polskie przedsiębiorstwa dla miejscowych szpitali.

14 lipca 2020 r. Zastępca Ambasadora RP na Ukrainie Michał Giergoń przekazał Narodowemu Instytutowi Onkologii w Kijowie polską pomoc humanitarną do walki z pandemią COVID-19. Szpital otrzymał: 2 tys. litrów płynu dezynfekcyjnego, 300 par gogli ochronnych, 1,5 tys. maseczek i 2 tys. par rękawiczek. Następnego dnia Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki przekazał Kaniowskiemu Centralnemu Szpitalowi Rejonowemu polską pomoc w postaci 2 tys. litrów płynu dezynfekcyjnego, 400 par gogli ochronnych, 3,5 tys. maseczek i 4 tys. par rękawiczek. 16 lipca 2020 r. Zastępca Ambasadora RP na Ukrainie Michał Giergoń i Małżonka Ambasadora RP na Ukrainie Pani Monika Kapa-Cichocka przekazali pomoc Domowi Świętego Marcina w Fastowie oraz Centralnemu Szpitalowi Rejonowemu w Fastowie: 1 tys. litrów płynu dezynfekcyjnego, 100 par gogli ochronnych, 1 tys. masek i 2 tys. par rękawiczek.

Wyżej wymienione środki zostały zakupione przez polskie firmy pracujące na Ukrainie: PGNiG, PKN Orlen, PZU, PKO BP, a także Ministerstwo Zdrowia i Polską Fundację Narodową. Firmy-darczyńcy na uroczystościach przekazania środków ochrony indywidualnej reprezentowali: Ireneusz Derek – doradca Prezesa PGNiG SA ds. Współpracy z Ukrainą oraz Zbigniew Szotyga – Generalny Dyrektor „PZU Ukraina ubezpieczenia na życie”. Kontakt z ostatecznymi

odbiorcami pomocy zapewniły Natalia Onipko z organizacji „Zaporuka”, pomagającej Narodowemu Instytutowi Onkologii, Natalia Zabołotna z Ukrainian Humanitarian Development Foundation, działającej na rzecz rozwoju Kaniowa i o. Michał Romaniw z Domu Świętego Marcina w Fastowie.

Przekazanie pomocy było okazją do rozmów o przyszłej współpracy: w Kaniowie z merem Ihorem Reńkasem i w Fastowie z merem Mychajłem Netjażukiem.

Pomoc stanowiła część polskiego konwoju humanitarnego przeznaczonego do walki z koronawirusem, który przyjechał na Ukrainę 25 czerwca 2020 r. 12 ciężarówek Państwowej Straży Pożarnej przywoziło łącznie ponad 134 tony pomocy w postaci środków ochrony osobistej i środków dezynfekcyjnych. Przekazani pomocy stronie ukraińskiej koordynowała Fundacja Solidarności Międzynarodowej. Przekazano łącznie: 40 000 masek, ponad 18 tys. par gogli i przyłbic, ponad 120 tys. litrów płynów i środków dezynfekcyjnych, 50 000 par rękawiczek; 1000 ubrań ochronnych.

Pomoc skierowano do ukraińskich placówek medycznych i opiekuńczych, w tym m.in.: do Szpitala Dziecięcego w Słowiańsku, Narodowego Instytutu Onkologii w Kijowie, Centralnego Szpitala Rejonowego w Kaniowie, Wojskowego Centrum Medycznego we Lwowie i Czortkowskiego Centralnego Szpitala Rejonowego.

Wsparcie logistyczne zapewniła spółka ukraińska z polskim kapitałem „Plastics-Ukraina”.

Inf. własna



Przedstawiciele Ambasady RP na Ukrainie oraz firm i organizacji-darczyńców obok ciężarówek z polską pomocą humanitarną

WIZYTA NA UKRAINIE

Minister Jan Dziędziczak oraz Senatorowie Kazimierz Ujazdowski i Andrzej Pająk, którzy w lipcu br. gościli w Winnickim Okręgu Konsularnym, złożyli w Żytomierzu kosze biało-czerwonych róż pod tablicą upamiętniającą Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Wraz z nimi kwiaty złożył Ambasador RP w Kijowie Bartosz Cichocki, któremu towarzyszył Konsul Generalny RP w Winnicy Damian Ciarciński. W uroczystości licznie uczestniczyli przedstawiciele organizacji polskich z Żytomierza.

Reprezentanci tych organizacji następnie spotkali się z gośćmi z Polski w żytomierskim Domu Polskim. Podczas spotkania Minister Jan Dziędziczak odniósł się do zasygnalizowanych przez miejscowych Polaków pro-

blemów. Udzielił im wskazówek i rad. Wszyscy obecni mieli okazję zaprezentować efekty własnej działalności. Ambasador Bartosz Cichocki podjął temat nauczania języka polskiego na Ukrainie.

Spotkanie miało charakter poznawczy, ale też twórczy, czemu sprzyjała aktywna wymiana myśli i doświadczeń. Nie zabrakło też wspomnień, gdyż niemal każdy z gości odwiedził już niegdyś Dom Polski w Żytomierzu.

Na koniec spotkania zarówno goście z kraju, jak i przedstawiciele środowiska polskiego z Żytomierza podziękowali Konsulowi Generalnemu RP w Winnicy za jego pracę na rzecz Polaków na Ukrainie.

Inf. własna



Wspólne zdjęcie pamiątkowe przed tablicą upamiętniającą Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w Żytomierzu



W trakcie wizyty na Ukrainie Minister Jan Dziędziczak (na zdj. z prawej) odwiedził także Polski Cmentarz Wojskowy w Bykowni, gdzie złożył hołd ofiarom totalitaryzmu. Panu Ministrowi towarzyszył JE Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki (na zdj. z lewej)

W HOŁDZIE BOHATEROM

15 sierpnia w Polsce obchodzone jest Święto Wojska Polskiego, ustanowione na pamiątkę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej stoczonej w dniach 13-15 sierpnia 1920 r. w czasie wojny polsko-bolszewickiej. To wielkie święto w tym roku ma wyjątkowy charakter ze względu na 100. rocznicę tej bitwy, określanej także „Cudem nad Wisłą”.

W tym świątecznym dniu, w uroczystej, chociaż ze względu na pandemię Covid-19 kameralnej atmosferze, przedstawiciele Ambasady RP na Ukrainie, Ataszatu Wojskowego i Wydziału Konsularnego w Kijowie oddali cześć pamięci Bohaterom, którzy polegli w walkach o wolną Polskę.

Zastępca Ambasadora RP na Ukrainie Michał Giergoń, Attaché Obrony komandor Maciej Nałęcz, Radca Wydziału Konsularnego i Polonii Jacek Goćłowski w towarzystwie pracowników Ambasady RP w Kijowie, złożyli wieńce i kwiaty na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Bykowni, na Cmentarzu Darnickim i Cmentarzu Bajkowa. Uczczono pamięć Bohaterów minutą ciszy. Odmówiono modlitwę w intencji Poległych.



15 sierpnia 2020 r. Grób legionistów na Cmentarzu Bajkowa w Kijowie. Polskie flagi, znicze i biało-czerwone kwiaty. Polska pamięta...

Na terenie bykowniańskiej nekropolii z okazji 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej zaprezentowano wystawę poświęconą temu wydarzeniu, którą przygotowało Ministerstwo Obrony Narodowej RP.

Olga OZOLINA



Na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Bykowni. Hołd Bohaterom złożył Zastępca Ambasadora RP na Ukrainie Michał Giergoń w asyście pracowników Ambasady RP na Ukrainie

BOHATERKA DWÓCH NARODÓW

Kim była Anna Walentynowicz – kobieta, której nazwisko po 14 sierpnia 1980 r. zaistniało w pamięci historycznej i świadomości Polaków? Dlaczego jej losy mogą zainteresować Ukraińców?

Odpowiedź na te pytania można było znaleźć zwiedzając wystawę zatytułowaną: „Anna Walentynowicz – bohaterka dwóch narodów”, zorganizowaną przez Instytut Polski w Kijowie wspólnie z Muzeum Narodowym Rewolucji Godności, przy wsparciu Federacji Związków Zawodowych Ukrainy.

Otwarcie wystawy nastąpiło 31 sierpnia 2020 r. w 40. rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych w Gdańsku oraz 40. rocznicę narodzin NSZZ „Solidarność”. W uroczystości udział wzięli: Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Bartosz Cichocki, Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Robert Czyżewski, Dyrektor Narodowego Muzeum Rewolucji Godności Ihor Poszywajło oraz Zastępca Przewodniczącego Federacji Związków Zawodowych Ukrainy Jewhen Drapiaty.

Ekspozycja poświęcona urodzonej na Ukrainie legendzie polskiej opozycji z czasów PRL, współzałożycielce ruchu związkowego „Solidarność”, została opra-

cowana przez Fundację „Polonia-Ruthenia” i Kompanię „Plastics-Ukraine”.

Patronat honorowy nad wystawą objęła Wicemarszałek Sejmu RP Małgorzata Gosiewska.

Bohaterka wystawy – Anna Walentynowicz urodziła się w okolicach Równego, w ukraińskiej rodzinie, a później jako obywatelka Polski stała się jednym z liderów ruchu, który doprowadził do upadku komunizmu w Polsce i stał się podwaliną w dziele odzyskania przez Polskę niepodległości.

Wolność i możliwość decydowania o własnym losie są bardzo ważne zarówno dla Polaków, jak i dla Ukraińców. Polską „Solidarność” i Ukraińską Rewolucję Godności jednoczy dążenie społeczeństwa do zmian oraz wiara w to, że aktywność obywatelska może zmienić kraj na lepsze. Te idee są głęboko osadzone w historii „Solidarności” oraz w życiu Anny Walentynowicz.

Wystawę można było obejrzeć w Centrum Informacyjno-Wystawienniczym Muzeum Majdanu w dniach od 1 do 6 września

*Stanisław PANTELUK
Zdj. A. Plaksina*



Pierwsi goście wystawy (od lewej): JE Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki i Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Robert Czyżewski

NOWY ROK SZKOLNY

Dzieci i ich rodzice wesoło, zabawami i konkursami rozpoczęli już siódmy z rzędu, nowy rok szkolny w Polskiej Szkole Sobotniej przy Związku Polaków na Ukrainie. Podobnie jak w latach ubiegłych święto wiedzy powitano nie w klasach a na pikniku w kijowskim parku „Syrecki gaj”. Ten niezwykle pomysł doceniły zarówno dzieci, jak i dorośli, wszak żyjemy obecnie w warunkach kwarantanny. Cały dzień na polanie otoczonej wiekowymi dębami rozbrzmiewał radosny śmiech i oklaski. W taki sposób widownia wspierała uczniów biorących udział w licznych konkursach i zabawach. A tych nie zabrakło...

A jako że nauka to poważna sprawa, dlatego uroczystość inauguracji nowego roku szkolnego uświetnili swoją obecnością poważni goście. Radca Wydziału Konsularnego i Polonii Ambasady RP w Kijowie Przemysław Pierz powitał obecnych i zauważył: „*Szkoła pomaga dzieciom w odnalezieniu swojej tożsamości, pomaga zrozumieć, jakie jest ich miejsce w Ukrainie, w Polsce, w Europie*”. Mówca życzył wszystkim uczniom kolejnego roku szkolnego, pełnego sukcesów w zdobywaniu wiedzy o Polsce.

Prezes ZPU Antoni Stefanowicz witając zebranych podkreślił, iż nauczanie w Polskiej Szkole Sobotniej przyniesie uczniom wiele korzyści, bez względu na to, gdzie będą kontynuować swoją życiową podróż.

Po dość długiej przerwie kwarantanno-wakacyjnej dzieci i ich rodzice podzielili się swymi emocjami i

przeżyciami związanymi z dwoma fantastycznymi projektami, które udało się zrealizować.

Pierwszy z nich – „Ekspedycja Polska” – to projekt Szkoły Letniej (I edukacja online) realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja, finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą.

Projekt drugi – Maraton Taneczny „Pofolkloruj swój świat z Polanami” – finansowany był ze środków ZPIT „Polanie znad Dniepru”.

Uczestnicy pikniku mieli możliwość obejrzenia zdjęć i filmów wideo, wysłuchania relacji zachwyconych uczestników projektów i ich wdzięcznych rodziców.

Na zakończenie imprezy pierwszoklasistom wręczono znaczki z symbolem Polskiej Szkoły Sobotniej. Dzieci obiecały, że będą się pilnie uczyć i grzecznie zachowywać!

W imieniu uczniów, rodziców i grona pedagogicznego przekazujemy serdeczne podziękowania Fundacji Wolność i Demokracja za pomoc materialną, dzięki której dziecięce święto przebiegło we wspaniałej atmosferze!

Andżelika PŁAKSINA
Zdj. autora



Radośni uczestnicy inauguracji nowego roku szkolnego w Polskiej Szkole Sobotniej przy Związku Polaków na Ukrainie

SPOTKANIE Z MALARSTWEM

W dniu 5 września br., w ramach Klubu Nauczycieli Języka Polskiego (na platformie ZOOM) odbyło się spotkanie pod dewizą: „Olga Boznańska wyjątkowa kobieta, wielka artystka”. Postać tej wybitnej twórczyni uczestnikom spotkania przybliżyły: p. Urszula Król – historyk sztuki, wykładowca, kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie, autorka wielu programów edukacyjnych realizowanych w galeriach stałych i na wystawach czasowych MNW oraz p. Bożena Pysiewicz – historyk sztuki, pedagog, kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie, autorka i koordynatorka programów edukacyjnych w galeriach stałych i na wystawach czasowych w Muzeum Narodowym w Warszawie oraz jego oddziale – Muzeum Plakatu w Wilanowie.

Spotkanie zaszczyliła swoim udziałem Małżonka Ambasadora RP na Ukrainie – p. Monika Kapa-Cichočka.

Olga Boznańska – wybitna polska malarka tworząca w okresie Młodej Polski. Urodziła się w 1865 r. w Krakowie. Już od najmłodszych lat było jasne, że ma niezwykle talent. Była też uzdolniona lingwistycznie – mówiła po polsku, francusku, niemiecku, angielsku, uczyła się rosyjskiego. Brała lekcje malarstwa u znanych krakowskich artystów, szybko jednak przerosła swoich mistrzów.

Jako że kobiety nie mogły w owych czasach studiować na Akademii Sztuk Pięknych, zmuszona była wyjechać z kraju, aby rozwijać swój talent. Najpierw udała się do Monachium (spędziła tam 10 lat) a następnie do Paryża. Będąc pół-Francuzką łatwo nawiązywała kontakty z paryską krytyką. Spotykała się z literatami, naukowcami, artystami i politykami różnych narodowości. Była jednak indywidualistką,

nigdy nie ulegała nowym trendom, nie współpracowała też z grupami artystycznymi.

Portrety przyniosły jej największą sławę. Była ich mistrzynią. Malowała również kwiaty, martwą naturę, wnętrza.

Miała wyraźnie ukształtowany własny styl. Unikała plenerów i jasnych barw charakterystycznych dla panującego w Europie impresjonizmu. Zestawiała ciemne barwy ubrań czy tła z białą skórą swoich modeli. W jej malarstwie dominowała gra tonów i półtonów, nadających obrazom specyficzną bezkształtność i tajemniczość. Nie lubiła płótna. Stopniowo coraz częściej zamiast na płótnie, malowała na lekko zagruntowanej szarej tekturze. Zarzucano jej zbyt smutną kolorystykę. Odpowiadała, że jej malarstwo nie może być inne, skoro samo podłoże jest smutne.

Jej prace były wystawiane i nagradzane niemal na całym świecie. Uznaniem cieszyła się do końca życia. Zdobyła Grand Prix na wystawie światowej w Paryżu (1937 r.), a rok później prace artystki doceniono na biennale w Wenecji. Niedoceniana w Polsce – zmarła w 1940 roku w Paryżu. Dzieła artystki znajdują się w wielu muzeach w Polsce, najwięcej jest ich w Krakowie.

Kończąc internetowe spotkanie jego organizator i prowadząca z Kijowa – Kierownik Referatu ds. Współpracy Naukowo-Oświatowej Ambasady RP na Ukrainie p. Ewa Matuszek-Zagata, podziękowała uczestnikom Klubu Nauczycieli Języka Polskiego i oraz wszystkim słuchaczom za aktywny udział w realizacji tego artystycznego przedsięwzięcia.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora

Realia czasów pandemii Covid-19:
obraz Olgi Boznańskiej „Dziewczynka z chryzantemami”
i uczestnicy spotkania wspólnie na ekranie komputera



POLSKA LINIA

17 września 2020 r. na terenie Narodowego Rezerwatu Historycznego „Bykowniańskie Mogiły” odbyło się otwarcie wystawy zatytułowanej: „BYKOWNIA 1937/1938: POLSKA LINIA”.

Wspólny projekt Narodowego Rezerwatu Historycznego „Bykowniańskie Mogiły” oraz Instytutu Polskiego w Kijowie odnosi się zarówno do tzw. „polskiej operacji NKWD”, jak i losów niektórych jej ofiar pochowanych w Bykowni.

Na długo przed oficjalnym otwarciem ludzie zaczęli się gromadzić przed stelażami i zapoznawać z mało dotąd znanymi dokumentami z ukraińskich archiwów, bibliotek i zbiorów prywatnych. Wszystkie opisy eksponowanych materiałów sporządzono w języku ukraińskim i polskim.

Przedsięwzięcie zainaugurowała Tetiana Szeptycka, Z-ca Dyrektora Generalnego Rezerwatu ds. Pracy Naukowej. Dziękując wszystkim, którzy przyczynili się do stworzenia tej wystawy, szczególną wdzięczność wyraziła jej współorganizatorom – obecnemu Dyrektorowi Instytutu Polskiego w Kijowie Robertowi Czyżewskiemu, jego poprzednikowi – Bartoszowi Musiałowi-

czowi, jak też byłemu dyrektorowi NRH „Bykowniańskie Mogiły” Bogdanowi Bilasziwskiemu. Tetiana Szeptycka zaznaczyła, że ekspozycja szczególną uwagę skupia na losach Polaków Kijowa i regionu zamordowanych na podstawie rozkaz operacyjny nr 00485 z dnia 15 sierpnia 1937 roku. *„Takie wystawy to dla nas kolejna okazja do przypomnienia, że zbiorowe groby Bykowni nie są bezimiennie. A im więcej będzie takich projektów, tym większe będzie obeznanie logiki postępowania zwyrodniałych ideologów i wykonawców Wielkiego Terroru, zaś głębsze zbadanie konsekwencji ich karygodnych poczynań, stanie się bodźcem do ścisłej współpracy i lepszego wzajemnego zrozumienia między narodami polskim i ukraińskim”* – podkreśliła Tetiana Szeptycka.

Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Robert Czyżewski podkreślił, że Polacy mieszkali na tych terenach od setek lat i nie byli obcokrajowcami ani okupantami, ale ludnością tutejszą. Jednak w czasach Wielkiego Terroru bycie Polakiem stawało się znacznie bardziej niebezpieczne niż przynależność do jakiegokolwiek innej narodowości. To, czego nie zrobił carski rząd, dokonał rząd komunistyczny. Podczas tzw. „polskiej operacji NKWD” zginęło ponad 100 000 osób. Tysiące ofiar spoczywa w Bykowni. Robert Czyżewski podkreślił, że data otwarcia wystawy została wybrana nieprzypadkowo. 17 września 1939 roku Związek Sowiecki zaatakował Polskę.

Bohdan Bilasziwski podkreślił aktualność projektu: *„Niniejsza wystawa to, z jednej strony, nasz apel do historii, z drugiej zaś – ostrzeżenie”*.

Żałobną nutą zabrzmiał wiersz polskiego poety Zbigniewa Herberta „Guziki” w wykonaniu aktorki amatorskiego polskiego teatru „MEWA po polsku” Mariany Hryckiw.

Po części oficjalnej uczestnicy uroczystości złożyli kwiaty, zapalili znicze na grobach zbiorowych Międzynarodowego Pomnika Ofiar Totalitaryzmu lat 1937–1941, uczcili Ich pamięć biciem żałobnego dzwonu i minutą ciszy.



„Data otwarcia wystawy została wybrana nieprzypadkowo. 17 września 1939 roku Związek Sowiecki zaatakował Polskę” – podkreślił Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Robert Czyżewski

Olga OZOLINA



Z okazji Pięknego Jubileuszu – 90 rocznicy Urodzin
Wyjątkowej Kobiecie, Polce i Patriotce
Szanownej Pani

NADZIEI SLESARIEWEJ

której ludzka i obywatelska postawa jest dla nas wszystkim drogocennym wzorem,
za całego serca składamy najpiękniejsze życzenia: dobrego zdrowia, dobrego humoru, dobrych ludzi wokół siebie,
wyłącznie dobrych zdarzeń i Bożej opieki na każdy dzień

Redakcja kwartalnika „Krynica”

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Nowa Strategia Stowarzyszenia Eksporterów Polskich na 2020 r. Działania i efekty

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich (SEP), które powstało z inicjatywy przedsiębiorców i działa już od ponad 18 lat, po raz pierwszy wypełnia swoją misję w tak nieprzychylnych warunkach gospodarczych w kraju i na rynkach zagranicznych, spowodowanych pandemią koronawirusa.

Strategicznym celem SEP w tym ciężkim dla polskiej gospodarki okresie jest wspieranie działań na rzecz podtrzymania eksportu stanowiącego istoty czynnik funkcjonowania przedsiębiorstw, a niekiedy ich utrzymanie się na rynku.

Misję SEP stanowić będzie zwłaszcza reprezentowanie interesów eksporterów wobec resortów gospodarczych i spraw zagranicznych, a także ambasad RP i konsulatów generalnych RP w celu utrzymania dotychczasowych zagranicznych rynków zbytu dla polskich produktów i usług. Misja ta będzie mogła być urzeczywistniana poprzez współdziałanie z organami rządowymi i państwowymi.

Priorytetowym zadaniem SEP będzie działanie na rzecz przezwyciężenia skutków pandemii koronawirusa oraz pogłębienie integracji eksporterów w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw.

Nadrzędnym celem SEP w 2020 r. będzie aktywne działanie w zakresie intensyfikacji eksportu produktów, na które jest znaczące zapotrzebowanie kontrahentów zagranicznych. Chodzi również o rozwój eksportu opartego na nowych technologiach. Istotne znaczenie dla wzrostu eksportu będzie miało lepsze wykorzystanie istniejącego potencjału wytwórczego, materiałów i surowców.

W celu urzeczywistniania nowej Strategii SEP w 2020 r. – tj. misji, celów i zadań – zorganizowane zostaną m.in.:

- VIII Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego;
- XVIII Kongres Eksporterów Polskich;
- XVII edycja Konkursów „Wybitny Eksporter Roku 2020” i „Publicysta Ekonomiczny Roku 2020 oraz Gale



finałowe konkursów: „Wybitny Eksporter Roku '20” i „Publicysta Ekonomiczny Roku '20”.

SEP w 2020 r. będzie nadal wspierało przedsiębiorców, organy rządowe i samorządowe na rzecz rozwoju eksportu i kształtowania jego pozytywnego wizerunku w kraju i za granicą.

SEP zakłada utrzymanie poziomu polskiego eksportu, którego wielkość w 2020 r. prognozuje się na około 250 mld. euro, w tym eksportu rolno-spożywczego na około 35 mld euro. W celu osiągnięcia tych wielkości eksportu nastąpić powinno zwiększenie wykorzystania istniejącego potencjału ekonomicznego i gospodarczego, a także nowo powstałych inwestycji proeksportowych.

SEP wyjdzie naprzeciw potrzebom i oczekiwaniom eksporterów oraz podejmie działania w zakresie tworzenia odpowiednich warunków dla firm produkujących na eksport. W tym celu istotną rolę odgrywać będzie wprowadzanie nowych rozwiązań systemowych na rzecz wzrostu eksportu oraz kształtowania pozytywnego wizerunku polskich towarów na rynkach zagranicznych.

SEP będzie wspierać działalność eksporterów i instytucji na rzecz:

- zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na rzecz rozwoju eksportu w 2020 r.;
- zwiększenia roli eksportu w procesach gospodarczych i tworzenia nowych technologii;
- umacniania pozycji i prestiżu eksportu w kraju oraz na arenie międzynarodowej;
- podwyższenia jakości funkcjonowania instytucji i ich relacji z eksporterami;
- nowych inicjatyw prorozwojowych, które wprowadzą gospodarkę na wyższy poziom rozwoju;
- wdrażania usprawnień systemowych ułatwiających funkcjonowanie firm powstających oraz prowadzących już działalność gospodarczą.

SEP inicjować będzie działania na rzecz usprawniania zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw. W tym celu wspierać będzie:

- tworzenie silnych marek produktowych stanowiących siłę napędową konkurencyjności eksportu;
- umiędzynarodowienie rozpoznawalności polskich produktów oraz Marki Polskiej Gospodarki;
- zwiększenie internacjonalizacji polskich przedsiębiorstw oraz unowocześnienie oferty eksportowej;
- wzmocnienie działań dyplomacji na rzecz rozwoju polskiego eksportu;
- wykorzystanie instrumentów wsparcia na rzecz ekspansji eksportu;
- koncentrację sił i środków promocyjnych w zakresie ekspansji eksportu;
- pogłębienie współpracy eksporterów z organami samorządu gospodarczego;
- koordynację współpracy resortów rozwoju, rolnictwa i spraw zagranicznych na rzecz kształtowania pozytywnego wizerunku polskiej gospodarki za granicą;
- rozwój współpracy mediów krajowych i polonijnych na rzecz wspierania wzajemnie korzystnej wymiany handlowej i współpracy gospodarczej Polski z partnerami zagranicznymi.

SEP wspierać będzie działania w celu utrzymania eksportu, a także pogłębienia współdziałania z przedsiębiorstwami, bankami, instytucjami finansowymi, organami rządowymi i samorządowymi na rzecz lepszego wykorzystania możliwości wytwórczych, promocyjno-marketingowych i kadrowych oraz zaplecza naukowo-badawczego w zakresie przyspieszenia zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw.

SEP wspierać będzie napływ inwestycji zagranicznych, zwłaszcza do branż wymagających nowoczesnych technologii i *know-how*. We współpracy z przedsiębiorcami i naukowcami powstawać powinny sieci powiązań biznesowych, które procentować będą silnymi impulsami prorozwojowymi sprawiającymi powstawanie nowoczesnych podmiotów w globalnym łańcuchu wartości. Poprawie ulegać będzie koordynacja działań promujących eksport na rynkach międzynarodowych poprzez tworzenie warunków do jego skutecznej ekspansji, a tym samym wzmocnienia konkurencyjności i atrakcyjności polskiej gospodarki.

SEP wspierać będzie tworzenie silnych klastrów, korporacji, grup producenckich, spółdzielni i spółek. Dlatego kluczowym zadaniem będzie wdrażanie odpowiednich warunków ekonomicznych i organizacyjnych oraz stabilnego i sprzyjającego rozwojowi otoczenia gospodarczego, a także skutecznego wsparcia promocyjnego ze strony polskiej dyplomacji i mediów.

W 2020 r. SEP zapewni członkom następujące korzyści:

- wzmocnianie prestiżu w branży, regionie, kraju i na rynkach zagranicznych;
- bezpłatne reprezentowanie w organach państwowych, rządowych i samorządowych;
- bezpłatną informację o potencjalnych kontrahentach i rynkach zagranicznych;
- bezpłatną promocję na stronie www.eksporterzy.org;
- bezpłatny udział w kongresach, konferencjach, forach i seminariach;
- bezpłatny udział w Konkursie „Wybitny Eksporter Roku”;
- bezpłatne korzystanie z logo Stowarzyszenia na drukach firmowych i materiałach reklamowych;
- bezpłatne zamieszczanie na stronie internetowej eksportera logo Stowarzyszenia Eksporterów Polskich;
- nagradzanie Medalem Honorowym Zasłużony dla Eksportu;
- honorowanie Medalami i Pucharami Stowarzyszenia Wybitny Eksporter Roku i Lider Polskiego Eksportu;
- wsparcie eksporterów w działaniu na rzecz zagranicznej ekspansji;
- podnoszenie wartości marki firmy oraz budowie ich pozytywnego wizerunku w kraju i za granicą.

SEP zorganizowało dotychczas: 24 Kongresy, w tym 17 Kongresów Eksporterów Polskich oraz 7 Kongresów Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego, 16 Konferencji Programowych Stowarzyszenia Eksporterów Polskich, 10 Konferencji Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego oraz 16 edycji prestiżowych Konkursów: „Wybitny Eksporter Roku” i „Lider Polskiego Eksportu”. Laureaci tych konkursów będą nagradzani Dyplomami i Statuetkami Ministra Rozwoju, Dyplomami i Pucharami Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Listami Gratulacyjnymi, Pucharami i Medalami Stowarzyszenia Eksporterów Polskich. Eksporterzy są także nagradzani Honorowymi Medalami „Zasłużony dla Eksportu” i Odznakami Honorowymi „Zasłużony dla Rolnictwa”.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich szczyty swoim Sztandarem, którego poświęcenia dokonał Jego Eminencja Ksiądz Kardynał Kazimierz Nycz, Metropolita Warszawski podczas Kongresu Eksporterów Polskich (19.11.2015 r.).

Warszawa, sierpień 2020 r.

Informacja nt. VIII Kongresu Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego

W dniu 17 września 2020 r. odbył się w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi w Warszawie VIII Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego pod Honorowym Patronatem Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi Jana Krzysztofa Ardanowskiego oraz Marszałków Województw. Organizatorem VIII Kongresu było Stowarzyszenie Eksporterów Polskich (SEP).

Tematem VIII Kongresu była strategia na rzecz eksportu polskiej żywności w okresie i po pandemii koronawirusa.

VIII Kongres prowadził Mieczysław Twaróg Prezes Zarządu SEP, a wzięło w nim udział ponad 50 osób, w tym około 40 eksporterów z branży rolno-spożywczej.

W VIII Kongresie wzięli udział m.in.: Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi J.K. Ardanowski, Przewodniczący Senackiej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi Senator J. Chróścikowski, Główny Lekarz Weterynarii dr. B. Konopka, Radca Minister Spraw Zagranicznych C. Kwaterski, Ambasador RP Z. Kosiniak-Kamysz, Prezes Krajowej Rady Izb Rolniczych W. Szmulewicz, Prezes Krajowego Związku Spółdzielni Mleczarskich W. Broś, Dyrektor Departamentu Polityki Zagranicznej Ministerstwa Rolnictwa D. Białczak, Prezes Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa T. Nowakowski, Dyrektor Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej prof. dr hab. inż. M. Podstawka, Pełnomocnik Rektora SGGW ds. Współpracy z Gospodarką prof. dr hab. inż. A. Lisowski, Wiceprzewodniczący Rady Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej A. Grabowski, Prezes Polsko-Białoruskiej Izby Handlowo-Przemysłowej K. Zdunowski, Prezes Polsko-Indyjskiej Izby Gospodarczej R. Sznajder oraz przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, nauki, ministerstw: rozwoju, rolnictwa i spraw zagranicznych; Banku Gospodarstwa Krajowego i urzędów marszałkowskich oraz dziennikarze z prasy, radia, i telewizji.

Na początku obrad VIII Kongresu Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego zostały przedstawione przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi J.K. Ardanowskiego działania resortu rolnictwa na rzecz eksportu polskiej żywności w okresie i po pandemii koronawirusa oraz głos zabrał Przewodniczący Senackiej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi Senator J. Chróścikowski. Następnie Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi J.K. Ardanowski wręczył Odznaki Honorowe „Zasłużony dla Rolnictwa” zasłużonym agroeksporterom.

W następnym punkcie VIII Kongresu Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi J.K. Ardanowski oraz Prezes Zarządu SEP Mieczysław Twaróg wręczyli Medale Honorowe „Zasłużony dla Eksportu”.

W Panelu I poświęconym działalności dyplomacji na rzecz eksporterów polskiej żywności w okresie i po pandemii koronawirusa, któremu przewodniczył Radca Minister MSZ C. Kwaterski, głos zabrali: Ambasador RP Z. Kosiniak-Kamysz, Dyrektor Departamentu Polityki Międzynarodowej MRiRW D. Białczak, Prezes Polsko-Indyjskiej Izby Gospodarczej R. Sznajder oraz Wiceprzewodniczący Rady Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej A. Grabowski.

W Panelu II poświęconym kierunkom eksportu polskiej żywności, któremu przewodniczył Prezes Krajowego Związku Spółdzielni Mleczarskich ZR W. Broś, głos zabrał m.in.: Z-ca Dyrektora Departamentu Polityki Międzynarodowej MRiRW T. Zmiejko oraz Prezes Polsko-Białoruskiej Izby Handlowo-Przemysłowej K. Zdunowski.

Głównymi tematami ww. wystąpień były zagadnienia szans i możliwości potencjału eksportu polskiej żywności oraz dyplomacji ekonomicznej na rzecz wspierania eksporterów żywności w okresie i po pandemii koronawirusa.

Należy podkreślić, że podczas VIII Kongresu dokonano obiektywnej oceny szans i możliwości potencjału eksportu polskiej żywności w okresie i po pandemii koronawirusa, która obejmowała:

- wykorzystanie możliwości potencjału eksportowego sektora rolno-spożywczego;
- koncentrację sił i środków promocyjnych na rzecz rozwoju eksportu rolno-spożywczego;
- umacnianie integracji i pogłębianie więzi eksporterów sektora rolno-spożywczego.

Stwierdzono, że tematyka VIII Kongresu wyszła na przeciw zainteresowaniu eksporterów uczestniczących w obradach, którzy również pozytywnie odnieśli się do możliwości wykorzystania potencjału eksportu żywności oraz kierunków zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw. W tym zakresie priorytetowymi zadaniami będą:

- tworzenie silnych marek stanowiących siłę napędową rozwoju eksportu rolno-spożywczego;
- zaktywizowanie dyplomacji ekonomicznej na rzecz wspierania eksportu polskiej żywności;

- aktywizowanie działań eksporterów rolno-spożywczych w celu utrzymania eksportu;
- wzmocnienie promocji na rynkach perspektywicznych tj. azjatyckich, afrykańskich i południowo-amerkańskich.

W czasie VIII Kongresu zwrócono uwagę na potrzebę kontynuowania aktywnej działalności informa-

cyjno-promocyjnej na rynkach zagranicznych. Podkreślono także znaczącą rolę informacji i publicystyki ekonomicznej w mediach, a więc w prasie, radiu i telewizji oraz konstruktywną współpracę z mediami, której sprzyja Korpus Promotorów Eksportu Polskiego.

Uczestnicy VIII Kongresu odnieśli się z aprobatą do działalności SEP w okresie ponad 18 lat jego współpracy ze środowiskiem eksporterów.

Stanowisko VIII Kongresu Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego w sprawie strategii na rzecz eksportu polskiej żywności w okresie i po pandemii koronawirusa

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich (SEP) wspierać będzie działania przedsiębiorców, organów rządowych i samorządowych na rzecz wykorzystania szans i możliwości potencjału eksportowego polskiego sektora rolno-spożywczego stanowiącego siłę napędową rozwoju polskiego rolnictwa. Działania te są kompatybilne ze strategią resortu rolnictwa oraz zagraniczną ekspansją przedsiębiorstw sektora rolno-spożywczego.

Wychodząc naprzeciw potrzebom realnego sektora eksporterów przemysłu rolno-spożywczego VIII Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego widzi potrzebę dalszego usprawniania warunków działania firm branży rolno-spożywczej produkujących na eksport oraz aplikację przez eksporterów funduszy unijnych. W tym zakresie istotną rolę odegrają aktywne działania systemowe na rzecz utrzymania eksportu rolno-spożywczego w okresie i po pandemii koronawirusa. Ważną rolę odegra także kształtowanie pozytywnego wizerunku eksportu żywności na rynkach zagranicznych.

SEP uważa, że istotną rolę w zakresie rolnictwa i polskiej żywności, poprzez stosowanie nowoczesnych rozwiązań systemowych przyjaznych dla rolników i środowiska wiejskiego, winny odegrać Porozumienie Rolnicze oraz Kodeks Etyki Żywnościowej, które winny obejmować kompleksowy zakres łańcucha działań – od pola do stołu w zakresie:

- wykorzystania możliwości istniejących struktur organizacyjnych rolników, tj. m.in. spółdzielni, zrzeszeń itp., zapewniających udział rolników w ekonomicznym łańcuchu powiązań produkcyjno-przetwórczo-handlowych;
- dbania o wizerunek rolnictwa oraz jakość polskiej żywności w kraju i zagranicą;
- koncentracji sił i środków na rzecz poprawy warunków produkcji rolnej, logistyki i handlu; chodzi o udział w zagranicznych imprezach targowych, wystawienniczych i misjach gospodarczych;

- tworzenia silnych marek stanowiących siłę napędową konkurencyjności eksportu rolno-spożywczego; w tym celu należy postawić na przetwórstwo, tj. produkcję wysokiej jakości żywności, zwiększenia jej efektywności oraz wprowadzenie nowych technologii nakierowanych na wzmocnienie marek produktowych żywności;
- wdrażania instrumentów wsparcia na rzecz wykorzystania możliwości potencjału eksportu rolno-spożywczego.

VIII Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego wskazał także na potrzebę działań w okresie i po pandemii, a zwłaszcza:

- zaktywizowania dyplomacji ekonomicznej na rzecz wspierania eksportu polskiej żywności;
- aktywizowania działań eksporterów rolno-spożywczych w celu utrzymania eksportu;
- wzmocnienia promocji na rynkach perspektywicznych tj. azjatyckich, afrykańskich i południowo-amerkańskich;
- rozwijania aktywnych form współpracy branżowej i międzyregionalnej z zagranicą.

VIII Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego uważa, że urzeczywistnianie wyzwań eksportowych w okresie i po pandemii może przyczynić się do przyspieszenia złagodzenia skutków zamrożenia gospodarczego.

VIII Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego, mając na uwadze potrzebę utrzymania eksportu rolno-spożywczego w okresie i po pandemii, deklaruje współdziałanie SEP z przedsiębiorcami, bankami, instytucjami, organami rządowymi i samorządowymi w celu wykorzystania potencjalnych możliwości gospodarczych i kadrowych, a także zaplecza naukowo-badawczego na rzecz utrzymania trendu proeksportowego polskiego rolnictwa.

Warszawa, 17 września 2020 r.

Ten cykl prezentujemy PT Czytelnikom kwartalnika „Krynica”, aby w ten sposób przypomnieć i uhonorować sylwetki Polaków, którzy, zesłani przez władze carskie na Syberię i Daleki Wschód, stali się wybitnymi badaczami ludów azjatyckich lub odkrywcami nowych gatunków flory i fauny.

WAĆLAW SIEROSZEWSKI

Urodził się w Wólce Kozłowskiej koło Radzimina 24 sierpnia 1858 r., a nadano mu imiona Waćław Kajetan. Rodzicami byli Leopold Sieroszewski i Waleria. Miał 5 sióstr.

W dzieciństwie rósł bez ojca uwięzionego za udział w Powstaniu Styczniowym. Wcześniej stracił matkę, która zmarła. Wychowywał się u krewnych.

Podobnie jak ojciec działał w tajnych stowarzyszeniach, za co władze carskie wydalili go z V klasy gimnazjum. Terminował u ślusarza, później uczył się w szkole kolejowej.

Aresztowany w 1878 r. za nielegalną działalność został osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Za udział w buncie więźniów skazano go w lipcu 1879 r. na 8 lat twierdzy. Gubernator ze względu na młody wiek więźnia karę zamienił na zesłanie i osiedlenie na Syberii.

Sieroszewski z więzienia butyrskiego w Moskwie w konwoju przewieziony został pociągiem do Niżniego Nowgorodu. Dalej więźniowie płynęli barką po Woldze i Kamie do Permu, skąd jechali wozami przez Ural do Jekaterinburga i do Tiumentia. Płynęli rzekami Toboł, Irtysz i Ob do Tomsku. Szli pieszo zimą wśród zawiei do Krasnojarska i Irkucka (to 1800 km piechotą). Wiosną 1880 r. jechali na saniach po zamrożonej Lenie do Jakucka, potem konno do Gór Wierchojańskich i zaprzęgiem reniferowym do Wierchojańska.

Przybywszy na miejsce młody zesłaniec utrzymywał się, poza skromną zapomogą, z prac ślusarskich i bizute-

ryjnych oraz z myślistwa. Ożenił się z Jakutką Anną (Arina Czelba-Kysa).

W 1881 r. wraz z żoną podjął pierwszą nieudaną próbę ucieczki, w następnym roku drugą. Pogoń zatrzymała jego łódź u ujścia Jany do morza. Został skazany na wieczyste osiedlenie we Wschodniej Syberii (sto wiorst od drogi, rzeki i miasta) i pięć uderzeń knutem (uniknął kary knuta, bo w Wierchojańsku nie było kata).

Do następnego wyznaczonego miejsca pobytu Sieroszewski jechał konno przez góry i zaprzęgiem reniferowym przez koryto Selenniachu, dolinę Indygirki do Andałachu i stąd do Sredniekołymska (1883 r.). Tutejszy *isprawnik* Polak pozwolił mu zamieszkać w Andałachu. Ale po roku następny *isprawnik*, trzymając się ściśle wyroku, wysłał go 300 km dalej na północ do osady Jondży, gdzie noc trwa pół roku. W tym czasie dzięki staraniom siostry Pauliny Waćław jako reumatyk dostał zgodę na przebywanie w miejscowości o łagodniejszym klimacie. W 1885 r. udał się więc do Wierchojańska, gdzie przebywała żona Anna z córką Marią. (Właśnie w styczniu 1885 r. inny zesłaniec Siergiej Kowalik zarejestrował tu najniższą temperaturę -67,8 st. Celsjusza i Wierchojańsk na długo stał się biegunem zimna.)

Sieroszewski pojechał do Jakucka, a stąd na nowe miejsce zesłania do bajagantajskiego ulusu (gminy), 300 km na północ od tego miasta. Gdy w 1886 r. żona zmarła na gruźlicę, sam zajął się wychowaniem córki. W 1887 r. zezwolono mu przenieść się do namskiego ulusu, o 200 km bliżej Jakucka, gdzie można już było uprawiać zie-



Sachalińskie góry



mię, co polepszyło kolejne 5 lat jego życia na Północy. Przebywając na Syberii zajął się badaniami etnograficznymi. Dzięki znajomości z szamanem spisał relacje o wierzeniach Jakutów. W 1890 r. opublikował na ten temat artykuł w czasopiśmie „*Sibirskij sbornik*”. Został zauważony przez Imperatorskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne (IRTG).

W 1892 r. otrzymał paszport osiedleńczy, pozwalający na poruszanie się po całej Syberii Wschodniej. Mógł więc osiedlić się z córką w Irkucku. A w 2 lata później dzięki pomocy Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego przeniósł się do Petersburga. Zapoznał się tam z Józefem Piłsudskim i do końca pozostał jego zwolennikiem. Wydał wtedy monografię „Dwanaście lat w kraju Jakutów” (1896 r.), za co otrzymał złoty medal IRTG. Latem 1897 r. odbył wyprawę na Krym i Kaukaz. Córka Maria pozostała w Irkucku pod opieką Felicji i Stanisława Landów, u których poprzednio mieszkał Sieroszewski. Została nauczycielką i mieszkała później w Moskwie. Długie lata korespondowała z ojcem.



Pomnik Wacława Sieroszewskiego w Jakucku

Działacze Towarzystwa wystarli się o zgodę władz na powrót Sieroszewskiego do ojczyzny. W 1898 r. wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie. Nawiązał znajomości ze znanymi pisarzami, np. ze Stefanem Żeromskim. W 1899 r. ożenił się ze Stefanią Mianowską i odbył z nią podróż poślubną do Włoch. Po powrocie w Warszawie wziął udział w manifestacji przed pomnikiem Mickiewicza i ponownie został uwięziony w X Pawilonie. Wypuszczono go pod warunkiem, że przeniesie się do Irkucka. Wiceprezes IRTG zaproponował mu wtedy wyprawę na Daleki Wschód. Sieroszewski wyruszył w 1902 r. nową magistralą kolejową przez Moskwę do Irkucka, następnie przez Mongolię, Mandżurię i Port Artur na Sachalin i Hokkaido. Prowadził tam badania Ajnów wraz z Bronisławem Piłsudskim. Musiał opuścić wyspy, bo zbliżała się wojna rosyjsko-japońska. Udał się do Korei, Chin i przez Cejlon, Egipt i Włochy wrócił do Warszawy. Wydał kolejne wspomnienia i nowe inspirowane podróży, w języku polskim i rosyjskim.

Za nielegalną działalność niepodległościową w PPS znowu został uwięziony na Pawiaku i w X Pawilonie (1905 r.). Po zwolnieniu wraz z żoną i trzema synami (Władysław, Stanisław, Kazimierz) wyjechał do Galicji w zaborze austriackim i zatrzymał się w Krakowie, następnie w Zakopanem. Jesienią 1910 r. z rodziną udał się do Paryża. Pisał tam kolejne utwory, działał społecznie w Towarzystwie Pisarzy Polskich. Największym dziełem tego okresu była powieść historyczna o ucieczce Maurycego Beniowskiego z Kamczatki. Wstąpił do Związku Strzeleckiego, później do Legionów Polskich.

Powrócił do Krakowa w czerwcu 1914 r. Zgłosił się do służby wojskowej. Był ułanem w I Brygadzie Legionów Polskich (w mundurze legionisty na zdjęciu na poprzedniej stronie).

Wygłaszał odczyty, napisał broszurę o Józefie Piłsudskim (1915 r.). Działał w Polskiej Organizacji Wojskowej. Przewodniczył Stronnictwu Niezawisłości Narodowej. Zagrożony uwięzieniem uciekł do Lublina, gdzie w listopadzie 1918 r. wszedł w skład Rządu Tymczasowego jako minister informacji i propagandy. Po kilku dniach Ignacy Daszyński wysłał go do Warszawy w celu udziału w powstaniu. Po przybyciu Sieroszewski podporządkował się Piłsudskiemu, brał udział w przejmowaniu od Niemców poczty.

W niepodległej Polsce pisarz zaangażował się w szeroką działalność społeczną.

W 1920 r. podróżował po Stanach Zjednoczonych Ameryki i wygłaszał odczyty przeznaczone dla Polonii. Jako przedstawiciel PEN-Clubu jeździł do Anglii, Nor-



Pomnik Wacława Sieroszewskiego w Żorach

wegii, Jugosławii, Francji, Włoch. Był prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich (1927–1930).

W 1933 r. został prezesem nowo powołanej Polskiej Akademii Literatury. Pisał scenariusze dla wytwórni filmów „Panta-Film” (od 1937 r.). Jako prezes kierował Spółką Budowy Własnych Mieszkań. Był w Zarządzie Głównym Związku Sybiraków. Pełnił funkcję członka Kapituły Orderu Odrodzenia Polski. Był senatorem IV kadencji (1935–1938).

W czasie okupacji niemieckiej pozostał w Warszawie. W 1942 r. zmarła mu żona Stefania.

Pisał pamiętniki. W 1944 r. znaczna część materiałów pisarza spłonęła w Powstaniu Warszawskim.

Leczony w szpitalu w Piasecznie na zapalenie płuc zmarł 20 kwietnia 1945 r. i został pochowany na miejscowym cmentarzu. W 1949 r. prochy pisarza przeniesiono do grobu rodzinnego na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Odnaczony został najwyższymi polskimi orderami, w tym Krzyżem Virtuti Militari V klasy i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Pozostawił po sobie prace naukowe o życiu Jakutów, Ajnów i Koreańczyków. Jakuci do dziś pamiętają, że to właśnie dzięki Sieroszewskiemu Europa poznała ten niewielki naród (300 tys. os.), zamieszkujący terytorium 9-krotnie większe niż Polska.

Napisał wiele powieści i nowel o życiu na Syberii i Dalekim Wschodzie, początkowo używając pseudonimu Wacław Sirko. Zbiór jego utworów jako „Pisma” w 14 tomach wydano w latach 1922–1926, później uzupełnione utwory w 25 tomach wydano w latach 1931–1935 i w 20 tomach w latach 1958–1963.

Prace Sieroszewskiego przełożono na liczne języki europejskie, a także na chiński, japoński, koreański i esperanto.

W Żorach w 2006 r. wzniesiono pomnik Sieroszewskiego ufundowany przez firmę koreańską. W Jakucku stoi pomnik poświęcony badaczowi Syberii. Ulice Wacława Sieroszewskiego są w Krakowie i Gdyni.

Janusz FUKSA

Wołodymyr Jankowij
Dmytro Stefanowycz

POLITECHNIKA KIJOWSKA: POCZĄTEK HISTORII (cz. III)

W poprzednim numerze KRYNICY omówiliśmy drugi rozdział pracy na temat roli wyższych szkół technicznych Ukrainy w rozwoju przemysłu na przełomie wieków XIX i XX. Dziś chciałbym przedstawić trzeci rozdział na temat działalności uczonych i szkół naukowych w Politechnice Kijowskiej.

Janusz FUKSA

W grudniu 1898 r. w Kijowie wprowadzono do eksploatacji centralną elektryczną stację trójfazowego prądu zmiennego. Była to pierwsza na terytorium Rosyjskiego Imperium elektrownia, która zapewniała wytwarzanie i przesyłanie do odbiorców prądu trójfazowego. Należała do prywatnego towarzystwa „Sawicki i Straus”.

W elektrowni ustawiono generatory trójfazowego prądu zmiennego o napięciu 2,2 kilowolt. Kablem elektrycznym o napięciu 2,2 kV energia elektryczna była przekazywana do tzw. *kiosków transformatorowych* do transformatorów, gdzie napięcie obniżano do 190/110 V. Na początku elektrownia została wyposażona w dwa wodnorurkowe kotły parowe systemu „Babkok i Wilkoks”, w dwie pionowe maszyny parowe produkcji zakładów „Szychau” o mocy po 600 koni mechanicznych (461,5 kilowatów) każda i w dwa generatory trójfazowego prądu zmiennego o mocy po 400 kW każdy. Jedna z maszyn parowych, prócz generatora trójfazowego prądu zmiennego, obsługiwała generator prądu stałego o mocy 40 kW i napięciu 550 V (do zasilania tramwaju).

Zauważmy, że wszystkie elektrownie Ukrainy były wyposażone w maszyny parowe i jedynie niewielka część – w parowe turbiny małej mocy i w kotły parowe niskiej wydajności o parametrach pary 1,0-1,2 megapaskali.

Wysokowoltowych linii przesyłu energii prawie nie było. Nawet w podstawowych gałęziach przemysłu poziom elektryfikacji był niski, a energię elektryczną wykorzystywano głównie do oświetlania hal i terenów przedsiębiorstw przemysłowych. Większość pracochłonnych procesów wykonywano ręcznie. Do oświet-

lania miast wykorzystywano tylko nieznaczną ilość energii elektrycznej.

W końcu lat 90. XIX w., ze względu na mocną konkurencję kompanii zagranicznych, pozycje towarzystwa „Sawicki i Straus” osłabły. Dalsza historia rozwoju systemu toczyła się nie z korzyścią dla przedsiębiorców krajowych; po zakończeniu terminu umowy z towarzystwem „Sawicki i Straus” w 1902 r. koncesję na zapewnienie energii elektrycznej dla Kijowa na 40 lat otrzymało rosyjskie towarzystwo elektryczne „Union”, które było w rzeczywistości wschodnią filią niemieckiego towarzystwa przedsiębiorstw elektrycznych z Berlina. Co prawda, ceny energii elektrycznej zaproponowane przez towarzystwo „Union” były znacznie niższe niż w towarzystwie „Sawicki i Straus”. Podpisaną umowę koncesyjną od razu przekazano utworzonemu przez „Union” Kijowskiemu Towarzystwu Elektrycznemu, które oficjalnie rozpoczęło działalność 22 września 1902 r. Od tego dnia towarzystwo zapewniło prąd elektryczny do oświetlania dla 176 swoich pierwszych abonentów. [...]

Kijowskie Towarzystwo Elektryczne wykupiło u towarzystwa „Sawicki i Straus” trzy jego elektrownie. Do niego przeszło 800 abonentów z zapotrzebowaniem mocy 2286 kW. Z trzech kijowskich elektrowni dwie (na placach Teatralnym i Dumskim) zlikwidowano, a centralną elektrownię na ul. Andrijewskiej 19 zrekonstruowano i rozbudowano.

Kijowskie Towarzystwo Elektryczne zapewniło też sobie zbyt energii elektrycznej dla celów przemysłowych i zawarło umowę na sprzedaż energii elektrycznej towarzystwu „Kijowski Tramwaj Elektryczny”. Towarzystwo Elektryczne zaproponowało ulgową taryfę na



Politechnika Kijowska na zdjęciu z przełomu XIX i XX w.

energię dla celów technicznych, kredytowało sprzedaż silników lub wydawało je przedsiębiorcom w dzierżawę. Dzięki takiej polityce w 1905 r. Kijowskie Towarzystwo Elektryczne sprzedawało już energię elektryczną 222 przedsiębiorstwom, które posiadały 40 zakładów mechanicznych i warsztatów, 29 drukarni, 16 fabryk przeróbki tytoniu i innych. Energia elektryczna zaczęła szybko się rozpowszechniać w przemyśle.

W tym czasie w Politechnice Kijowskiej sformowała się już znacząca szkoła energetyków. Katedrą elektrotechniki od 1900 r. kierował Mykoła Andrijowycz Artemjew. Do tego czasu miał on stanowisko dyrektora technicznego rosyjskiej filii przedsiębiorstwa elektrotechnicznego firmy „Siemens i Halske”, gdzie dzięki jego obliczeniom skonstruowano i wyprodukowano nową serię trójfazowych asynchronicznych silników elektrycznych o mocy 1,5 i 3,5 kW. W instytucie uczony stworzył doskonałe laboratorium elektrotechniczne. Na zamontowanym w nim urządzeniu wysokiego napięcia z transformatorem najnowszej wówczas konstrukcji o mocy 20 kW i napięciu na uzwojeniu wtórnym 200 kV Artemjew przeprowadził próby opracowanego przez siebie ubrania ochronnego do pracy pod wysokim napięciem. Główna idea tego wynalazku polegała na wykorzystaniu do ochrony od prądu elektrycznego przewodników, które tworzyły zamkniętą powierzchnię przewodzącą na ubraniu i pozwalały, by linie pola elektrycznego przenikały przez nią. [...]

Znaczne sukcesy w elektryfikacji Kijowa zwróciły uwagę środowisk naukowych w kraju. W kwietniu 1907 r. w Kijowie zwołano IV Wszechrosyjski Zjazd

Elektrotechniczny (z wystawą), zorganizowany przez wydział elektrotechniczny Rosyjskiego Towarzystwa Technicznego. Warto zauważyć, że zjazdy Rosyjskiego Towarzystwa Technicznego były trybuną, z jakiej krajowi naukowcy i inżynierowie mogli przekazać kolegom nie tylko informacje o ostatnich osiągnięciach technicznych, opracowaniach i doświadczeniach, ale i sformułować zagadnienia do rozwiązania na poziomie państwowym. I tak dzięki inicjatywie Rosyjskiego Towarzystwa Technicznego rząd zobowiązał firmy zagraniczne i przedsiębiorstwa koncesjonowane do włączenia w skład personelu technicznego pewnej ilości miejscowych specjalistów. Dzięki temu w Kijowskim Towarzystwie Elektrycznym zaczęli pracować inżynierowie O.A. Tyrmos, P.D. Szwecow, G.M. Horodecki. Wszyscy oni wnieśli poważny wkład w rozwój energetyki Kijowa, a Grzegorz Horodecki – i w przygotowanie kilku pokoleń inżynierów-elektryków, bo niebawem został profesorem KPI, objął stanowisko dziekana fakultetu elektrotechnicznego (1938–1941), a także do 1956 r. (!) był pierwszym kierownikiem katedry sieci elektrycznych i systemów KPI.

Natomiast Artemjew w marcu 1911 r. na zaproszenie Charkowskiej Dumy Miejskiej stanął na czele budowniczych nowej elektrowni, jaka miała się stać pierwszą w Imperium Rosyjskim zbudowaną przez specjalistów krajowych. Ale ze względów od niego niezależnych nie udało się zakończyć tego dzieła. Na początku pierwszej wojny światowej Artemjewa zaproszono do Piotrogradu w celu opracowania perspektywicznego projektu zapewnienia energii elektrycznej dla

stolicy imperium i reorganizacji ówczesnych linii zasilania spośród tych, które дума miejska miała zamiar wykupić od prywatnych właścicieli zagranicznych. Główną ideą opracowanego przez uczonego planu było utworzenie jednolitego miejskiego systemu energetycznego, a pierwszym dyrektorem systemu został on sam.

Od pierwszych dni działalności Politechnika Kijowska przygotowywała inżynierów specjalistów techniki ciepłej. Wysoką jakość przygotowania zapewniali twórca rosyjskiej szkoły techniki ciepłej O.O. Radcig oraz znamienici specjaliści energetyki ciepłej O.J. Stupin, T.T. Usenko, G.S. Żyrycki, I.A. Ładyżenski, M.O. Kyczygin i inni. Przygotowywanie fachowców tej specjalizacji do 1931 r. prowadzono na wydziałach mechanicznym i inżynierskim. W latach 1901–1902 w instytucie utworzono laboratorium kotłów parowych, na czele którego stanął Ołeksij Jakowycz Stupin, a także uruchomiono instalację kotłową autonomicznej instytutkiej ciepłowni. W następnym 1903 r. zorganizowano oddzielną katedrę agregatów kotłowych, a jej profesorem i kierownikiem został Stupin.

O.J. Stupin przyszedł na katedrę do instytutu z produkcji – po zakończeniu w 1895 r. Imperatorskiej Moskiewskiej Wyższej Szkoły Technicznej pracował w moskiewskim przedsiębiorstwie „Towarzystwa Zakładów Mechanicznych Braci Bromlej”. Wśród wyrobów tej fabryki czołowe miejsce zajmowały maszyny parowe do różnych potrzeb, przy czym zakres mocy tych agregatów był bardzo szeroki – od 4 do 2000 koni mechanicznych. W 1899 r. Stupina zaproszono do KPI z propozycją przygotowania się do wykładów na katedrze maszyn parowych.

Nowy etap w życiu inżyniera rozpoczął się od wykładów rysunku technicznego i kierowania projektowaniem części maszyn. Na starszych latach Stupin wygłaszał wykłady z instalacji parowych i mechanizmów dźwigowych, kierował projektowaniem kotła i żurawia, a od 1903 r. pełnił obowiązki profesora nadzwyczajnego. Zatwierdzony został na tym stanowisku w 1906 r. po obronie dysertacji „Przyrządy do sztucznej cyrkulacji wody w kotłach parowych” i nadaniu mu tytułu adiunkta mechaniki stosowanej. W następnym roku został profesorem zwyczajnym instytutu. [...] Skutkiem naukowo-pedagogicznego doświadczenia O. Stupina stał się jego „Kurs wykładów o kotłach parowych”, jaki wyszedł drukiem w 1909 r.

Dodamy, że od 1904 r. Stupin był sekretarzem, a później dziekanem fakultetu mechanicznego, a w

pierwszych latach władzy radzieckiej – przewodniczącym rady tego fakultetu, natomiast w latach 1919–1920 pełnił obowiązki rektora KPI.

Warto zauważyć, że od pierwszych dni tworzenia instytutu i do 1909 r. wykładowcą termodynamiki i kursu silników cieplnych był twórca budowy turbin parowych w kraju profesor Ołeksandr Ołeksandrowycz Radcig. W 1900 r. wydał on w kijowskiej drukarni I.I. Czokołowa pierwszy w kraju kurs wykładów z termodynamiki, a w 1905 r. zakończył doktorską dysertację na temat „Matematyczna teoria wymiany ciepła w cylindrach maszyn parowych”. Trochę później przygotował kilka podręczników z termodynamiki, jakie były wykorzystywane nie tylko podczas wykładów kursu nauczania, ale i podczas rzeczywistego projektowania. Wiele lat inżynierowie korzystali z jego poradnika „Wzory, tablice i diagramy dla pary wodnej”, który wytrzymał trzy wydania.

Oryginalność i poziom naukowo-praktyczny przygotowania krajowych inżynierów elektryków później pozwoliły specjalistom sformułować opinię o wyjątkowej szkole, jaka powstała w KPI.

Skutecznie łączył działalność dydaktyczną i praktyczną i wiele zrobił dla rozwoju miejscowej gospodarki nie tylko Kijowa, ale i wielu innych miejscowości ówczesnego Imperium Rosyjskiego profesor KPI Grygorij Dmytrowycz Dubelir. Ten absolwent Petersburskiego Instytutu Dróg Komunikacyjnych z 1898 r. do przyścia w 1904 r. do pracy jako wykładowca w KPI nagromadził ogromne doświadczenie w pracy praktycznej. Z początku był wybitnym specjalistą w dziedzinie miejskiego transportu elektrycznego [...]. Właśnie lata jego pracy na stanowisku zastępcy kierownika wydziału tramwajowego w Rosyjskim Towarzystwie Elektrycznym „Union”, udział w budowie pierwszych podmiejskich linii tramwajów elektrycznych w imperium (Łódź – Zgierz, Łódź – Pabianice), a także projektowanie linii tramwajowych w Carycynie i Smoleńsku łącznie z wykorzystaniem doświadczeń w budownictwie linii tramwajowych i metropolitenu w Paryżu, Londynie i Berlinie – pozwoliły G. Dubelirowi na stworzenie specjalnego rozdziału nauczania „Trakcja elektryczna” w kursie miejscowych dróg komunikacyjnych, jaki wykładano studentom. Napisany przez niego podręcznik „Kurs miejscowych dróg komunikacyjnych”, wydany w 1908 r., przez wiele lat był wykorzystywany jako podstawowy w tej dziedzinie. Szeroką popularność wśród specjalistów uzyskały także wydane przez G. Dubelira prace „Miejskie tramwaje elek-



Wojciech Świętoślowski (1881–1968) – polski fizykochemik, absolwent a następnie wykładowca Politechniki Kijowskiej,
profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej, senator RP

tryczne” (Kijów, 1905) i „Badanie ruchu wagonów kolei elektrycznych” (Kijów, 1908). Nie mniej ważna była praktyczna działalność G. Dubelira w Kijowie: on konsultował z zagadnień technicznych Towarzystwo Kijowskich Kolei Miejskich, które zapewniało eksploatację i dalszy rozwój ruchu tramwajowego w mieście, kierował budową pierwszych brukowanych jezdnii na ulicach Kreszczatik i Funduklejowska (dziś: B. Chmielnickiego), w latach 1911–1913 zajmował się badaniem zagadnień polepszenia gubernialnej sieci dróg w Kijowskiej Uprawie Miejskiej, kierował budownictwem gruntowej drogi Kijów-Mostyszcze, w latach 1915–1916 był naczelnikiem prac budowlanych czterech wielkich mostów przez Dniepr w rejonie Kijowa, zajmował się zagadnieniami stref miastotwórczych na tych terenach i planowaniem miejskim. Działalność ta znalazła odbicie w publikacjach w specjalnych wydaniach architektonicznych, np. w czasopiśmie „Gorodskoje dzieło” (czyli „Sprawy miejskie” – *przyp. JF*).

Wśród gałęzi, których intensywny rozwój przypadł na koniec XIX i początek XX w., należy wymienić fotografię. Za wybitny w kraju autorytet w tej sferze uważano profesora KPI Mykołę Ołeksandrowycza Petrowa, który od 1906 do 1912 r. pełnił jeszcze funkcję szefa Kijowskiego Towarzystwa Fotografów Amatorów „Dager”. Organizacja ta z początku jednoczyła amatorów fotografii tylko z Kijowa, a później – z kijowskiej i innych guberni Południowo-Zachodniego Kraju Imperium Rosyjskiego, jak wówczas nazywano ukraińskie ziemie. W czasie jego przewodnictwa Towarzystwo stało się znane na całym świecie, bo prace jego członków niejednokrotnie uznawano za najlepsze na wystawach, jakie urządzano nie tylko w Rosji, ale i daleko za jej granicami. Dzięki Towarzystwu „Dager” Kijów stał się jednym z głównych centrów europejskiej fotografii. Nie przypadkiem właśnie tu w grudniu 1908 r. odbył się II zjazd działaczy fotograficznych Rosji, a jednocześnie Towarzystwo pod kierownictwem M. Petrowa urządziło II Międzynarodową Wystawę Fotografii, na której wyeksponowano ponad 500 prac mistrzów z całego świata. Do składu jury, prócz innych znanych fotografów, weszli Petrow i ówczesny rektor Kijowskiego Instytutu Politechnicznego G.G. De-Metz. Zresztą laboratorium fotograficzne przy warsztatach mechanicznych KPI zostało wtedy wyróżnione nagrodą za zdjęcia maszyn, przyrządów i tablic do wykładów. Następnym Międzynarodowym Salonem Fotografii Artystycznej, z okazji jubileuszu dziesięciolecia Towa-

rzystwa „Dager”, odbył się w Kijowie w 1911 r., także przy bezpośrednim udziale Petrowa. Dodajmy, że na tych i innych wystawach pokazywano i jego artystyczne prace fotograficzne – pejzaże i portrety, przy czym niejednokrotnie otrzymywały one najwyższe nagrody (1909 – Grand Prix w Moskwie, 1908 – złoty medal w Saratowie, 1910 – złoty medal w Antwerpii itd.).

W historii krajowej fotografii Petrowa uważa się za nowatora: właśnie on jako pierwszy w rosyjskiej sztuce fotograficznej zaczął stosować obiektyw typu „monokl”, czyli system jednosoczewkowy, co pozwala na osiągnięcie szczególnej malowniczości obrazu dzięki „miękkiemu”, trochę rozlanemu zobrazowaniu detali.

Oczywiście, że M. Petrow uzyskał sławę nie tylko jako fotografik. Zajmował się on często zagadnieniami fotochemii oraz technologiami procesów negatywowych i pozytywowych [...]. Wyniki jego doświadczeń publikowano w specjalistycznych czasopismach, przede wszystkim w moskiewskim „Więstnik fotografii”, gdzie kierował on wydziałem artystycznym. Warto zauważyć, że tematyka artykułów i książek Petrowa dzieliła się na te, które były poświęcone czysto technicznemu aspektowi warsztatu fotograficznego, oraz te, w których pisał on o fotografii artystycznej, jej możliwościach, perspektywach i twórczości fotografików. Prócz tego jego prace, poświęcone historii fotografii, były publikowane i za granicą: w 1912 r. wydał w Niemczech „Artystyczną fotografię w Rosji”, w 1913 r. w Anglii – „Piktoriałną fotografię w Rosji”.

Od 1905 do 1920 r. Petrow pracował w Politechnice Kijowskiej. Pierwszym jego stanowiskiem była praca laboranta na katedrze botaniki (M. Petrow ukończył wydział rolniczy Ryskiego Instytutu Politechnicznego i był agronomem. Potem od 1900 do 1903 r. doskonalił się w naukach w Niemczech. Ponieważ od dzieciństwa głównym jego zainteresowaniem była fotografia, tam miał możliwość udoskonalić i uogólnić swoją wiedzę w tej sferze). W 1906 r. po raz pierwszy w Imperium Rosyjskim Petrow zaczął prowadzić w KPI ogólny kurs fotografii, który potem rozwinięto w kilka kursów: „Historia fotografii”, „Encyklopedia fotografii”, „Praktyczna fotografia”, „Techniczna fotografia”, a później i „Fotokinolaboratorium”. Przy warsztatach mechanicznych urządzono „instytucyjną fotografię” (laboratorium fotograficzne), gdzie Petrow mógł nie tylko zajmować się własnymi doświadczeniami, ale i praktyczne nawyki przekazywać studentom. Tutaj, między innymi, przeprowadzano specjalne doświadczenia w dziedzinie fotografii, na przykład

opracowano nowe fizyczne metody fotografowania w świetle podczerwonym i nadfioletowym oraz w promieniach rentgenowskich dla potrzeb sądowej ekspertyzy, a także opracowano technologię czytania pisma wyblakniętego, startego bądź wytrawionego. To właśnie dzięki Petrowowi Kijowski Instytut Politechniczny na dwa dziesięciolecia stał się centrum rozwoju technologii fotograficznych na Ukrainie.

Rozwój fotografii na początku XX stulecia byłby niemożliwy bez nauki chemii. Jaskrawe stronice w jej historię wpisali uczeni KPI. Na czele wydziału chemicznego i katedry chemii nieorganicznej stał jeden z najwybitniejszych naukowców swego czasu Mychajło Iwanowycz Konowałow – członek Rosyjskiego Towarzystwa Chemicznego, działacz oddziału chemicznego Towarzystwa Miłośników Przyrodoznawstwa, Antropologii i Etnografii oraz Kijowskiego Towarzystwa Badaczy Przyrody. [...] Spis jego prac naukowych zawiera ponad 170 nazw. Wraz z burzliwym rozwojem chemii syntetycznej wykorzystywanie jego badań w produkcji przemysłowej stale się rozszerzało.

Cennym udziałem Konowałowa w naukę światową stało się opracowanie praktycznych warunków, przy których węglowodany równomiernie nitrują się rozcieńczonym (13%) kwasem azotowym w zamkniętych szklanych fiolkach podczas nagrzewania do 90-140 stopni Celsjusza. [...] Dzięki temu Konowałowowi udało się otrzymać syntetyczne analogi znanej od dawna niezwykle pięknej i mocnej farby jaskrawo niebieskiego koloru – indygo.

Uczony głęboko badał także złożone związki bromku glinowego i wynalazł nową metodę syntezy organicznych związków siarki. Znaczenie tych badań zostało odpowiednio docenione dopiero w naszych czasach, gdy związki halogenowe glinu okazały się uniwersalnymi katalizatorami i znalazły szerokie zastosowanie w przemyśle.

W KPI M. Konowałow pracował od 1899 r., gdy przyjął propozycję W. Kirpiczowa stanąć na czele wydziału chemicznego nowo utworzonego Kijowskiego Instytutu Politechnicznego, aż do ostatnich dni swego życia. Dość szybko stał się jednym z najbardziej znanych w mieście naukowców. Sprzyjała temu jego działalność popularyzatorska: Konowałow występował jako organizator i lektor wieczorowej szkoły dla robotników, która działała w KPI (została zamknięta przez policję w 1903 r.); jako organizator kursów rolniczych; jako organizator, dyrektor i lektor wyższych kursów żeńskich przy prywatnym gimnazjum Adelajdy Żekulinej; jako

organizator i lektor niedzielnych lekcji dla dzieci. Przykładem literatury popularnonaukowej stała się jego książka „Dlaczego i jak świeci świeczka”. Niezwykłą popularnością cieszył się też pierwszy w Rosyjskim Imperium podręcznik „Zajęcia praktyczne z chemii ogólnej” (1906). Na wydziale chemicznym KPI zjednoczył on studentów i wykładowców wokół regularnie prowadzonych „biesiad chemicznych”; inicjatywa ta niebawem otrzymała nową formę organizacyjną, a na jej podstawie w 1909 r. inny wybitny chemik, pracujący w KPI w latach 1908–1912, Lew Wołodymyrowycz Piszczewski, założył koło chemiczne imienia M.I. Konowałowa. Mimo tego, że w 1902 r. Mychajło Konowałow zastąpił Wiktora Kirpiczowa na stanowisku dyrektora instytutu, nie przerwał działalności naukowej i pedagogicznej. Wiele zawdzięczają mu w wyborze swej dalszej drogi w nauce tacy wybitni uczeni, jak akademicy A.W. Dumanski (chemia koloidalna), W.O. Płotnikow (fizykochemia), profesorowie W.P. Izewski (metalurgia), I.F. Ponomariow (krzemiany), wybitny polski fizykochemik i działacz społeczny Wojciech Świątosławski i inni.

Do dzisiaj służą ludziom mosty, zbudowane według projektów profesora zwyczajnego katedry sztuki budowlanej z wydziału mostów i architektury Kijowskiego Instytutu Politechnicznego, a od 1906 r. dziekana wydziału inżynierskiego Jewhena Oskarowycza Patona (1870–1953). W pierwszych latach pracy Patona w instytucie według jego projektów zbudowano most w Tyflisie (dziś: Tbilisi – stolica Gruzji), dwa mosty przez Roś i most parkowy przez aleję Piotrowską w Kijowie. W ich konstrukcjach wykorzystano idee, jakie prawie od razu przejęli budowniczowie mostów całego kraju. Paton zaproponował nowe metody obliczeń rozmieszczenia obciążeń i naprężeń w elementach dźwigarów kratowych, uzasadnił odstąpienie od wykorzystania kratownic dwuzastrzałowych, opracował metody obliczeń racjonalnych schematów konstrukcyjnych elementów metalowych mostów. Te jego teoretyczne prace zostały uogólnione w czterech tomach kursu „Mosty żelazne” [...].

Po piętnastu latach od początku pracy w KPI Paton zainteresował się spawaniem elektrycznym i niestrudzenie pracował w tej gałęzi do końca życia. Kontynuując idee swego poprzednika, wynalazcy elektrycznego spawania łukowego i cięcia metali Mykoły Benradosa, założył podstawy naukowe elektrycznego spawania topieniem, wykonał fundamentalne badania w obliczaniu wytrzymałości konstrukcji spawanych,



Jewhen Paton (1870–1953) – radziecki uczyony, specjalista od procesów spawalniczych oraz budowania mostów, Bohater Pracy Socjalistycznej

opracował metodę szybkiego spawania automatycznego łukiem krytym, którą obecnie nazywa się „metodą Patona”, skutecznie pracował nad problemem mechanizacji procesów spawalniczych. Pod jego kierownictwem wynaleziono sposób szybkościowego spawania automatycznego, jakie odegrało znaczącą rolę w rozwoju technicznym, opracował i wdrożył technologię i urządzenia do spawania stali specjalnych. Jeszcze w systemie WUAN (Wszzechukraińska Akademia Nauk, po 1936 r. Akademia Nauk USRR) stworzył katedrę budowy inżynierskich, laboratorium spawania przy zakładach „Bolszewik” i Komitet Spawania Elektrycznego, na których bazie w 1934 r. założył Instytut Spawania Elektrycznego WUAN, którym kierował do ostatnich dni życia. W 1935 r. zorganizował on jeszcze na fakultecie mechanicznym KPI pierwszą w Ukrainie katedrę spawania elektrycznego.

Nie mniej znanym na świecie jest imię Stepana Prokopowycza Tymoszenki – najmłodszego w tym czasie profesora Kijowskiego Instytutu Politechnicznego. W 1906 r. w wieku 28 lat wygrał on konkurs na objęcie stanowiska profesora nadzwyczajnego katedry wytrzymałości materiałów. Udział w konkursie Tymoszenko wziął za namową dyrektora instytutu Wiktora Kirpiczowa, który zauważył talent i pracowitość młodego naukowca. Ciekawe jest to, że do początku pracy w Kijowie doświadczenia w wykładaniu on nie miał; rada naukowa KPI przyjęła jego kandydaturę jedynie na podstawie jego prac naukowych. Swoją kurs Tymoszenko wykładał na trzech wydziałach inżynierskich – mechanicznym, inżynierskim i chemicznym. Prócz kursu wytrzymałości materiałów wykładał statykę graficzną i prowadził ze studentami zajęcia laboratoryjne i zajęcia praktyczne. Do prowadzenia prac laboratoryjnych skonstruował urządzenia i przyrządy dla laboratorium doświadczeń mechanicznych, a także opracował metodyczne rekomendacje do ich wykorzystania w procesie nauczania. Te urządzenia i rekomendacje wykorzystywano w KPI w ciągu kilku dziesięcioleci.

Równoległe z wykładami i przeprowadzaniem prac praktycznych Stepan Tymoszenko przygotował własny podręcznik z wytrzymałości materiałów, który wyszedł drukiem w 1908 r. [...]

W 1909 r. Stepan Tymoszenko został wybrany na dziekana wydziału inżynierskiego [...]. Aktywnie współpracował z Jewhenem Patonem: certyfikacyjne próby stalowych i drewnianych elementów konstrukcji mostów, zaprojektowanych pod kierownictwem Patona, prowadzono pod kierownictwem Tymoszenki w

laboratorium mechanicznym katedry wytrzymałości materiałów. W zakresie jego zainteresowań były też badania trwałości systemów sprężystych. [...] Jego praca na ten temat przełożona na język francuski poważnie wpłynęła na rozwój teorii trwałości tych systemów na świecie.

Wszystko zmieniło się w 1911 r. Stepan Tymoszenko z grupą innych wykładowców KPI podpisał stanowczy list na adres rządu przeciwko uciskowi w szkołach wyższych i zaprowadzeniu surowych limitów w przyjmowaniu do szkół wyższych imperium przedstawicieli różnych konfesji wiary (czytaj: narodowości) i stanów. Wystąpienie to zakończyło się zwolnieniem z KPI kilku profesorów i dziekanów trzech wydziałów, w tym i Stepana Tymoszenki. Wrócił on do Kijowa dopiero w końcu 1917 r., przyjmując zaproszenie rady profesorów KPI do objęcia katedry wytrzymałości materiałów. [...] W składzie komisji, którą kierował akademik W.I. Wernadski, Tymoszenko na początku 1918 r. poświęcił wiele wysiłku, by stworzyć Ukraińską Akademię Nauk, wszedł do składu pierwszych jej dwunastu członków, zorganizował i stanął na czele Instytutu Mechaniki Technicznej (dziś: Instytut Mechaniki im. S.P. Tymoszenki Narodowej Akademii Nauk Ukrainy) – pierwszego akademickiego instytutu o profilu technicznym w Ukrainie.

Gdy wojna domowa dotarła do Kijowa, Akademia i KPI przerwały swoją działalność. Stepan Tymoszenko z rodziną został bez środków do życia i podjął niełatwą decyzję o emigracji. Dalej były Jugosławia i USA, praca w kompaniach przemysłowych i szkołach technicznych, światowa sława. [...] W Kijowie, gdzie rozpoczęła się jego działalność naukowo-pedagogiczna, pozostała stworzona przez niego szkoła naukowa.

Znaczny wpływ na rozwój wielu gałęzi przemysłu Kijowszczyzny i całej Ukrainy miały prace profesora Kostiantyna Ołeksijowycza Zworykina. Jego działalność naukowo-pedagogiczna rozpoczęła się w 1888 r. w Charkowskim Instytucie Technologicznym, a od 1899 r. do ostatnich dni życia (do 1927 r.) była związana z KPI. K. Zworykin zajmował się nie tylko działalnością teoretyczno-pedagogiczną, o czym świadczą nazwy wielu jego artykułów i książek. [...]

Bogactwo tematyki prac można wyjaśnić nie tylko wszechstronnością zainteresowań autora, ale przede wszystkim praktycznymi problemami, jakie musiał rozwiązywać. Otóż po ukończeniu w 1884 r. wydziału mechanicznego Sankt-Petersburskiego Instytutu Technologicznego pracował on w warsztatach mechanicz-

nych Astrachania i Permu, gdzie budowano rzeczne statki parowe. Następnie, pracując już w Charkowskim Instytucie Technologicznym, brał udział w projektowaniu kotłów parowych, zajmował się opracowywaniem i projektowaniem urządzeń do przemysłowego przerobu mąki. W 1888 r. K. Zworykin został zatwierdzony jako adiunkt-profesor technologii mechanicznej, a w 1894 r. – jako profesor katedry technologii mechanicznej, gdzie z sukcesem łączył wykładanie z doświadczeniami naukowymi, czego wynikiem była publikacja „Praca i siła niezbędne do oddzielenia włóków metalowych”, która zrobiła jego imię szeroko znanym w środowisku praktyków. Warto dodać, że skonstruował on pierwszy przyrząd samopiszący do wyznaczania i zapisu wielkości siły skrawania podczas obróbki metalu.

W 1898 r. zaprosił go do nowo tworzonego KPI profesor W. Kirpiczow, który bardzo dobrze znał K. Zworykina ze wspólnej pracy w Charkowie. W KPI Zworykin został pierwszym dziekanem wydziału mechanicznego i wykładał kilka kursów specjalistycznych: ogólnej technologii mechanicznej, młynarstwa (przy tym kierował projektowaniem w tej specjalności), kurs części maszyn itp. Do 1901 r. pełnił też obowiązki dziekana wydziału inżynieryjnego. Szczególną uwagą otaczał tworzenie i wyposażanie warsztatów mechanicznych, gabinetu mechanicznego (potem modelowego) i laboratorium inżynieryjnego (składało się ono z laboratoriów siłowego i cieplnego). W latach 1904–1905 piastował on stanowisko rektora KPI, a potem na jakiś czas pojechał do Charkowa, gdzie pracował jako zastępca burmistrza miasta i kierował pracą komisji do spraw miejskich wytwórni przemysłowych. Następnie powrócił do pracy wykładowcy w Kijowskim Instytucie Politechnicznym, a w pewnym czasie stanął na czele komisji likwidacyjnej Kijowskiego Towarzystwa Elektrycznego. Jego praktyczne doświadczenie i nawyki szeroko przysłużyły się organizacji zarządzania miastem i organizacji rozwoju gospodarki miejskiej dwóch wielkich gubernialnych miast Imperium Rosyjskiego.

Ważne dla rozwoju gospodarki guberni charkowskiej i kijowskiej były też prace w gałęzi młynarstwa i działalność Zworykina w sferze przygotowania specjalistów dla niej, ponieważ Charków i Kijów były największymi centrami tej gałęzi w kraju. I tak na początku XX stulecia w Kijowie pracowało 9 wielkich młynów parowych, a ich ogólna dobową produkcja wynosiła 50 tys. pudów mąki. Młyny należały do towarzystw akcyjnych „L.I. Brodski”, „J. Kelber”, „Ro-

gowcew i Sniżko”, a także do prywatnych właścicieli: Bialik, Blinder, Janowski, Siegiejew, Friakow i Jakowlew, przy tym fabryka mąki L. Brodskiego była największa w Rosji i przerabiała na dobę 23 tys. pudów zboża. Warto zauważyć, że w swojej książce „Kurs produkcji młynarskiej” K. Zworykin jako pierwszy przytoczył bilans tej produkcji, zanalizował konstrukcje maszyn walcowych i schematów kinematycznych ich napędów. Z jego udziałem sporządzono projekty nie tylko młynów kijowskich, ale i młynów w Moskwie i Niżnym Nowgorodzie [...].

Nie można pominąć tego, że Ukraina na początku XX stulecia przekształciła się w jeden z wielkich centrów budowy maszyn rolniczych o znaczeniu ogólnorosyjskim. Według statystyki w 1913 r. spośród ogólnej ilości maszyn rolniczych (według wartości) 44% dostarczono zza granicy, 41% wytworzyły rozmieszczone w Ukrainie zakłady i tylko 15% powstało w innych regionach Rosji, przy czym najczęściej w warsztatach chałupniczych. W tym czasie budowa maszyn rolniczych w Ukrainie zajmowała pierwsze miejsce w rosyjskiej gałęzi budowy maszyn; w jej przedsiębiorstwach wytwarzano 61,3% całej produkcji maszyn rolniczych Rosji, w tym 57% pługów.

Można to było wyjaśnić tym, że Ukraina była jednym z największych agrarnych regionów imperium i jednocześnie posiadała ogromny i różnorodny przemysł. Ważnym czynnikiem dynamicznego rozwoju gałęzi stała się działalność centrów naukowo-badawczych. Tutaj przeprowadzano próby przodującej ówczesnie techniki rolniczej z całego świata, opracowywano rekomendacje w sprawie ich wykorzystania i doskonalenia, sporządzano dokumentację techniczną, realizowano prace naukowe i statystyczne, przygotowywano inżynierskie i agronomiczne kadry dla produkcji rolniczej. [...] Centrami prób i badań maszyn rolniczych w Ukrainie od 1900 do 1917 r. były stacje doświadczalne maszyn: kijowska (przy KPI), adżamowska i jakimowska.

Warto podkreślić, że szczególną rolę w stworzeniu naukowo-praktycznych podstaw do dalszego rozwoju tej gałęzi w Ukrainie odegrał profesor Kamil Gawryłowycz Szyndler. Utworzywszy w 1900 r. przy KPI stację prób, zapoczątkował on kijowską szkołę prób tej techniki.

K. Szyndler teoretycznie uzasadnił celowość stworzenia i wykorzystania różnorodnych konstrukcyjnych rozwiązań maszyn do obróbki gruntu zgodnie z różnymi warunkami klimatycznymi; zaproponował sche-

mat dokształcania kadr dla systemu prób techniki rolniczej w specjalnych instytutach dla osób z wyższym wykształceniem inżynierskim lub rolniczym; miał znaczny udział w teorii deformacji gruntu podczas jego obróbki pługiem. Przy tym on jako pierwszy w Ukrainie w 1899 r. zapoczątkował pracę katedry mechaniki stosowanej przy KPI i prowadził na niej specjalistyczny kurs budowy maszyn rolniczych. W 1904 r. wydał pierwszą w Ukrainie książkę z teoretycznych zagadnień techniki obróbki gruntu „Teoria i konstrukcja urządzeń ornych”. K. Szyndler dał początek długotrwałemu ścisłemu związkowi między badaczami, wytwórcami i użytkownikami techniki rolniczej. [...]

Zrozumiałe jest, że wytrwale nad rozwiązaniem problemów gospodarki rolnej pracowali przede wszystkim naukowcy wydziału rolniczego instytutu. A ton zadawał jego dziekan, a od września 1905 do czerwca 1906 r. pierwszy obrany przez radę instytutu (a nie mianowany z góry) rektor, znany uczony zootechnik profesor Mykoła Petrowycz Czyrwinski. Absolwent Niokolajewskiej Szkoły Inżynierskiej (uczelni wojskowej) w Petersburgu, następnie ukończył Petersburski Instytut Rolniczy, piętnaście lat przepracował w Piotrowskiej Akademii Rolniczej i Leśnej na katedrze zootechniki i został profesorem. Profesor Czyrwinski stał u źródeł KPI, bo objął stanowisko profesora zwyczajnego już od 1 sierpnia 1898 r. – na miesiąc przed oficjalnym otwarciem. Niebawem został sekretarzem rady instytutu i dziekanem wydziału, a jeszcze członkiem komisji budowlanej do spraw wzniesienia budynków instytutu. Ogółem przepracował w KPI ponad 20 lat – do końca życia. Ogromny ciężar pracy administracyjnej, który legł na jego plecach, nie przeszkodził działalności naukowej. Profesor Czyrwinski był twórcą rosyjskiej naukowej zootechniki i jednym z głównych naukowych autorytetów w gałęzi owczarstwa. Podstawowe prace poświęcił zagadnieniom hodowli zwierząt. [...] Przygotował też wiele podręczników na temat ogólnej hodowli zwierząt, a z nich nauczały się liczne pokolenia przyszłych specjalistów, przy czym podręczniki nie utraciły aktualności do naszych czasów.

Tak więc na każdym wydziale Politechniki Kijowskiej od pierwszych lat jej działalności powstały szkoły naukowe, których tradycje trwają do dziś.

Oczywiście, niesprawiedliwie byłoby nie wspomnieć o tym, że znaczny wpływ na działalność i rozwój przemysłu i naukowych dyscyplin stosowanych w Ukrainie miały także inne techniczne uczelnie znajdujące się na jej terytorium. Każda miała swój własny udział w rozwoju wyższej oświaty Ukrainy, o każdej napisano całe tomy. Warto dodać, że utworzenie wyższych uczelni technicznych sprzyjało rozwojowi przemysłu i podwyższaniu technicznego poziomu produkcji przedsiębiorstw. Przyspieszyły się procesy wprowadzania nowych ówczesnie technologii, importowaną produkcję zaczęto coraz szerzej zastępować rodzimą. Wielką rolę nowe uczelnie odgrywały także w sferze udogodnienia życia w miastach, w których istniały (zapewnienie energii elektrycznej, wody, budowa kanalizacji, stworzenie polityki rozwoju miast).

Niedługo po powstaniu uczelnie techniczne zaczęły odgrywać rolę katalizatorów rozwoju naukowo-technicznego regionów, w tym też na terenie Ukrainy. Akumulowały one w sobie przodujących naukowców i praktyków, którzy nie tylko zapewniali przygotowanie inżynierów, ale i zajmowali się aktywną działalnością naukowo-konstrukcyjną i produkcyjną.

Takie cechy funkcjonowania uczelni technicznych nie mogły pozostać niezauważone. W przedrewolucyjnych latach w środowisku naukowo-technicznym narodziły się nowe idee co do zadań, jakie powinny wykonywać takie uczelnie.

Równoległe z przygotowaniem kadr dla przemysłu, transportu, budownictwa, rolnictwa musiały one od tej pory wykonywać funkcje regionalnych centrów naukowo-technicznych. Proponowano im realizację ekonomicznych badań odpowiednich terytoriów, naukowe zapewnienie i stymulowanie rozwoju ich przemysłu, naukowo-techniczne uzasadnienie podejmowanych inicjatyw przemysłowych. Te idee w pewnej mierze rozwijały zadania zawarte w „Projekcie ogólnych zasad statusu wyższych szkół technicznych i innych specjalistycznych”, jaki powstał w 1906 r. [...] I choć ten dokument nie został oficjalnie przyjęty, wiele z jego wskazówek zrealizowano w praktycznej działalności uczelni, o czym świadczyła m.in. struktura Politechniki Kijowskiej. [...]

Tłumaczył: Janusz Fuksa



JÓZEF PIŁSUDSKI WOBEC UKRAINY (cz. I)

Zapoznanie się z historyczną pracą naukową profesora Andrzeja Małkiewicza na temat roli Józefa Piłsudskiego w przygotowaniach i przeprowadzeniu wyprawy kijowskiej 1920 roku stanowi dobrą okazję dla przypomnienia lub poznania ówczesnej sytuacji na Ukrainie w stulecie wyprawy. Przytaczamy obszernie fragmenty tego dzieła.

Autor urodził się we Wrocławiu w 1950 r. Jego dziadek Marcin walczył w Legionach, zaś ojciec Eustachiusz był żołnierzem Armii Krajowej. Andrzej Małkiewicz ukończył studia na Uniwersytecie Wrocławskim (1973 r.). Pracował w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich PAN, Uniwersytecie Wrocławskim, Śląskim Instytucie Naukowym w Katowicach, Politechnice Wrocławskiej i Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadził badania nad systemami totalitarnymi, badał związki między gospodarką i polityką. Po habilitacji i uzyskaniu tytułu profesora (2015 r.) zajął się problemami komunikacji politycznej, w szczególności dziedziną polityki językowej. Badał historię stosunków polsko-ukraińskich i polsko-czeskich. Napisał ponad 80 prac naukowych, w tym 17 książek.

Janusz FUKSA

Droga do niepodległości

[...] Latem 1915 r. Niemcy i Austriacy opanowali Kongresówkę. Legiony uczestniczyły w walkach, ale wbrew staraniom Piłsudskiego nie pozwolono im wejść do Warszawy. Na początku września 1915 r. u boku Austriaków i Niemców przekroczyły Bug, 6 września zajęły Kowel, posuwając się dalej na wschód dotarły do rzeki Stochód; tu ofensywa się zatrzymała. Choć przetrucano je też w inne miejsca, główne walki toczono właśnie w tej okolicy. Jedną z najważniejszych była bitwa pod Kostiuchnowką stoczona 4-6.07.1916 r. Udało się powstrzymać na tym odcinku ofensywę podjętą przez Rosjan pod dowództwem gen. Aleksieja Brusilowa (1853–1926). Sukces był niewielki, choć niewątpliwy, w późniejszej legendzie urósł do rangi wielkiego zwycięstwa (P. Waingertner, „Wołyński klucz do niepodległości. Bitwa pod Kostiuchnowką 4-6 lipca 1916 roku i pamięć o niej”, „Dzieje Najnowsze”, r. XLIX, 2017, nr 1, s. 39-51).

29.07.1916 r. Piłsudski rozgoryczony postępowaniem Austriaków i Niemców złożył dymisję ze służby w Legionach; została przyjęta. Wielu oficerów poszło w jego ślady. Wobec przedłużania się wojny i w obliczu braku żołnierzy 5.11.1916 r. cesarze Niemiec i Austro-Węgier wspólnie ogłosili zamiar odbudowy państwa polskiego. Piłsudski, choć oczekiwał decyzji dalej idących, uznał, że jest to krok we właściwym kierunku. 13 grudnia (formalnie jako osoba prywatna) rozmawiał z urzędującym w Warszawie niemieckim generał-gubernatorem Hansem Hartwigiem von Beselerem (1850–1921).

Zapewnił go, że jest w stanie rozbudować wojsko polskie w oparciu o Legiony do siły kilku korpusów, pod warunkiem, że powstanie polski rząd, a on zostanie dowódcą. Złożył obszerny memoriał, wyjaśniając polityczne uwarunkowania takiego werbunku. Nie uzyskał zgody.

Polskie siły polityczne domagały się konkretnych decyzji, nie tylko gestów. Zatem okupanci umożliwili niezbyt śpieszne tworzenie organów przyszłego państwa, przekazywali im ułamki kompetencji – tylko na obszarze byłej Kongresówki i pod kontrolą niemiecką. Powstała namiastka polskiego rządu – Tymczasowa Rada Stanu (TRS), która jednak rzeczywistej władzy nie miała. Piłsudski był jej członkiem, kierował komisją wojskową.

Na wiadomość o wybuchu rewolucji w Rosji i obaleniu caratu uznał, że „wojna między Polską i Rosją została zakończona”. Na naradzie z najbliższymi współpracownikami stwierdził, jak wspominał po latach Wasilewski: „Rosja jako najważniejsza siła w naszych obliczeniach politycznych, ten nasz wróg największy – na dłuższy przeciąg czasu ustępowała z pola, [...] należało teraz zwrócić całą energię przeciwko dwóm innym okupantom” (L. Wasilewski, „Piłsudski jakim Go znałem”, Warszawa 2013, s. 148). Liczył na to, że Rosja stanie się państwem konstytucyjnym, uciskanie narodów przestanie być dla niej racją stanu, co pozwoli po nowemu ułożyć relacje z Polską. Tymczasem należało wzmacniać siłę zbrojną, już nie przeciw Rosji, ale w interesie budowania w przyszłości państwa polskiego – na razie jedyną możliwość czynienia tego widział u boku państw centralnych.



Marszałek Józef Piłsudski

25 maja na posiedzeniu TRS określił Polskę jako „środkowy punkt pomiędzy chaosem rosyjskim a zniemawidzonymi Niemcami, [...] punkt oparcia dla tych, którzy chcą nareszcie wyjść z tej sytuacji”. Podkreślał, że podjęcie skutecznych działań wymaga posiadania wojska. Wyciągnął też wnioski z przystąpienia do wojny Stanów Zjednoczonych, uznał, że państwa centralne zapewne przegrają, wiązanie się z nimi traciło sens. Jako symboliczny motyw ostatecznego zerwania wybrał problem przysięgi, do której złożenia zobowiązano legionistów, obejmującej obietnicę wierności cesarzom Austrii i Niemiec. Złożył demonstracyjną dymisję z pracy w TRS i wezwał legionistów do nieskładania nowej przysięgi. Większość zastosowała się do tego.

Zastanawiał się nawet nad przedostaniem się na drugą stronę frontu, by podjąć rozmowy z przywódcami rewolucji i stanąć na czele tworzonych na Białorusi i Ukrainie polskich oddziałów wojskowych, ale nim się zdecydował, 22 lipca 1917 r. aresztowali go Niemcy. Do listopada 1918 r. więziono go w Magdeburgu. W ten sposób po części zmazał odium współpracy z okupantami, wzrosła też jego popularność w społeczeństwie. Legiony rozwiązano, żołnierzy będących obywatelami Austrii wcielono do jej armii, obywatele rosyjskich internowano; niektórym udało się zbiec i ukryć. Z niewielkiej części utworzono Polską Siłę Zbrojną, pod dowództwem niemieckim.

Jednocześnie nasilono gesty wobec Polaków. 12.09.1917 r. powołano reskryptami dwóch cesarzy Radę Regencyjną Królestwa Polskiego, pozwolono jej z kolei powołać rząd – rzeczywista władza nadal należała do okupantów, ale możliwe stało się budowanie instytucji państwa i samorządu lokalnego, przygotowywanie projektów aktów prawnych, takich jak m.in. ordynacja wyborcza (Z. Iłski, „Formuła wyborcza u progu niepodległej Polski”, Toruń 2013, s. 416-447) – wszystko to pomogło w listopadzie 1918 r. w uzyskaniu rzeczywistej niepodległości, pozwoliło na szybkie zorganizowanie organów władzy, przeprowadzenie już po niecałych trzech miesiącach wyborów sejmowych.

Gdy Komendant był uwięziony, w Polsce organizowano załączki instytucji państwa, pojawiła się też szansa zrealizowania nadziei Ukraińców. Do początków 1917 r. ich kraj nie był w żaden sposób wyodrębniony w ramach Imperium Rosyjskiego, ukraiński ruch narodowy był mniej aktywny niż w Polsce, choć stopniowo rósł. Po obaleniu caratu – gdy według słów późniejszej odezwy rządu ukraińskiego – „runęły strupieszate mury wszechrosyjskiego więzienia ludów” („Odezwa rządu Ukraińskiej

Republiki Ludowej «do narodów i rządów świata»”), sytuacja radykalnie się zmieniła. Ukraińcy podjęli samodzielną działalność, po części przypominającą wcześniejsze przemiany w Kongresówce. Zaktywizowały się partie polityczne, zwłaszcza socjaliści, którzy – jak niegdyś PPS – stali się przejściowo najbardziej czynną siłą dążącą do wolności kraju. Wahali się, czy żądać niepodległości, czy wystarczy autonomia w ramach demokratycznej Rosji. Ich problemem, podobnym jak w Polsce, ale bardziej dramatycznym, było rozbitcie na wiele partii. Działali tu eserzy, podzieleni na ukraińskich i rosyjskich, podobnie podzieleni socjaldemokraci, byli wśród nich bolszewicy, ale mieli wpływy mniejsze niż w Rosji, głównie wśród robotników narodowości rosyjskiej. Mimo wszystko od marca do listopada 1917 r. partie te przejściowo dość dobrze współpracowały ze sobą. Stronnictwa centrowe i prawicowe dopiero organizowały się, ich rola początkowo była niewielka.

W Kijowie 17 marca 1917 r. powstał nieformalny parlament – Ukraińska Centralna Rada (UCR). Byli w niej przedstawiciele różnych nurtów politycznych, od lewicy do prawicy, ale dominowali socjaliści. Rada przystąpiła, dość ostrożnie, do budowania załączków państwa. W szczególności ogłaszała kolejne „uniwersały” (nawiązując do tradycji Chmielnickiego). Najpierw proklamowała autonomię w obrębie Rosji, po przewrocie bolszewickim w Piotrogradzie (który uznała za nielegalny, a wtedy opuścili ją bolszewicy) 19 listopada 1917 r. wydała *Trzeci Uniwersał*, ogłaszając powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL), będącej odrębnym państwem, ale w federacyjnym związku z Republiką Rosyjską. Jak ocenił Jan Jacek Bruski: „*Wzmianka o federacji pozostawała propozycją na przyszłość, zwróconą do innych ośrodków politycznych powstałych na terenie dawnego imperium, stojących na gruncie zasad demokratycznych. Ważniejszy był wymiar doraźny uniwersału, który manifestował niezależność Ukrainy od nowych bolszewickich władz*”. 22 stycznia 1918 r., UCR uchwaliła *Czwarty Uniwersał*, proklamując Ukrainę samodzielnym, suwerennym państwem.

Początkowo nie troszczono się o budowanie armii. Socjaliści ukraińscy byli wierni pacyfistycznym tradycjom swego ruchu. Podobnie było w Polsce, ale Piłsudski, jak wspominałem, potrafił jeszcze przed wybuchem wojny przekonać współpracowników do potrzeby budowania sił zbrojnych. Podobne starania podjął latem 1917 r. Symon Petlura, będący jednym z liderów socjaldemokratów ukraińskich, który został sekretarzem UCR do spraw wojskowych. Urodził się w Połtawie, w rodzinie o trady-

cjach kozackich, był do 1917 r. dziennikarzem, potem zajął się polityką i budowaniem armii. Ale jego starania miały znikome efekty, brakło pieniędzy, a przede wszystkim zrozumienia dla spraw wojska. Opóźnienie próbowano gorączkowo nadrobić, gdy w końcu 1917 r. zaczęła się agresja bolszewicka, ale brakło czasu i umiejętności, by zbudować armię z prawdziwego zdarzenia, pozostała ona siłą „efemeryczną” (jak to określił Mychajło Kowalczyk). Taką były również Legiony w Polsce w 1914 r., ale zabiegi Piłsudskiego stopniowo dały efekty, udało się zbudować wojsko odpowiednio liczne i sprawne, co jednak wymagało czasu. Ukraińcom go nie starczyło.

Bolszewicy nie zamierzali uznać ani autonomii, ani tym bardziej niepodległości Ukrainy. 24 grudnia 1917 r. proklamowali w Charkowie powstanie Ukraińskiej Ludowej Republiki Rad, w istocie całkowicie podporządkowanej Rosji. Nazwa tak nieznacznie różniła się od URL, że wielu ludzi dawało się wprowadzić w błąd. Po różnych przekształceniach jej premierem od 29 stycznia 1919 r. był Bułgar Chrystian Rakowski (1873–1941), przyjaciel Trockiego, niewiele mający wcześniej wspólnego z Ukrainą. Oddziały bolszewickie opanowywały kolejne miejscowości. 8 lutego 1918 r. zdobyły Kijów, UCR zbiegła do Żytomierza. [...]

W sytuacji zagrożenia UCR zdecydowała o podjęciu rokowań z państwami centralnymi. Prowadzono je w Brześciu, równoległe z rokowaniami niemiecko-bolszewickimi. Polscy politycy domagali się udziału w tych negocjacjach, ale Niemcy zignorowali ich (I. Daszyński, „Pamiętniki, cz. 2”, s. 360-361).

9 lutego podpisano w Brześciu pokój (nie należy go mylić z pokojem z Rosją Radziecką, podpisanym 3 marca, także w Brześciu), *de facto* czyniący z Ukrainy niemiecki protektorat, a jednocześnie bardzo szeroko określający jej przyszłe granice, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. M.in. miała otrzymać Ziemię Chełmską, co wywołało gwałtowne protesty w Polsce i sprawiło, że wielu polityków dotychczas współpracujących z państwami centralnymi teraz zerwało z nimi, jakby naśladując Piłsudskiego.

17 lutego 1918 r. Niemcy rozpoczęły ofensywę przeciw bolszewikom i resztkom dawnej rosyjskiej armii; nie napotkali niemal żadnego oporu, w krótkim czasie opanowali całą Ukrainę, Białoruś i kraje bałtyckie. Nie kwestionowali pozornej niezależności Ukrainy, jej pełne podporządkowanie wymagałoby użycia sił, których potrzebowali na Zachodzie. Początkowo tolerowali działania lewicowo zorientowanej Centralnej Rady, ale 29 kwietnia zainstalowali w Kijowie rząd kierowany przez

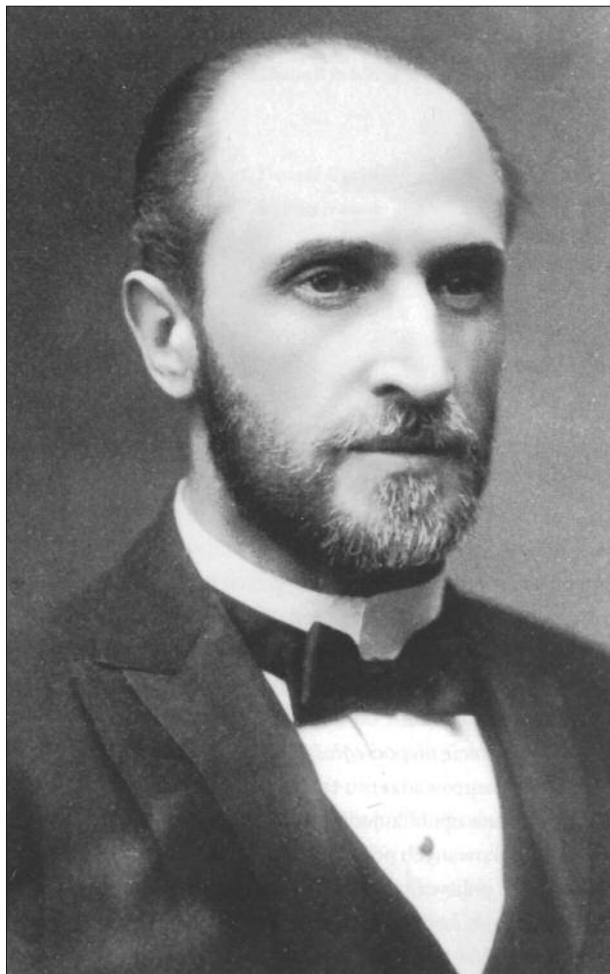
hetmana Pawła Skoropadskiego (1873–1945) o charakterze konserwatywnym, monarchistycznym, który rozpuścił UCR. Powstał system polityczny określany jako hetmanat, w którym Skoropadski, ukraiński arystokrata pochodzenia kozackiego, dawny carski generał, sprawował władzę dyktatorską, powołując się na tradycje z czasów Chmielnickiego. Pod jego kierunkiem nadal budowano instytucje państwa. Zamierzał utworzyć 300-tysięczną armię, lecz Niemcy piętrzyli trudności. Udało się zorganizować armię 65-tysięczną (wielokrotnie większą niż w Polsce pod rządami niemieckimi). Opozycjonistów aresztowano; Petlura był więziony od 28 lipca do listopada 1918 r., co przysporzyło mu popularności.

W połowie listopada 1918 r. siły lewicy zainicjowały powstanie przeciw władzy hetmana. Jego rządy jeszcze przez miesiąc podtrzymywali Niemcy, ale sami się wycofywali. 14 grudnia Skoropadski zrzekł się władzy i zbiegł razem z nimi. Odnowiono Ukraińską Republikę Ludową pod władzą Dyrektoriatu, Petlura objął dowództwo armii, przyjął zaczerpnięty z tradycji kozackich tytuł Naczelnego Ataman, 11 lutego 1919 r. stanął na czele państwa. Jednocześnie niemal od początku nastąpił konflikt między Polską a Ukrainą. *„Musiało upłynąć wiele czasu i krwi, zanim politycy obu zwaśnionych stron zdali sobie sprawę, że prawdziwym zagrożeniem dla niepodległości obu państw jest rosyjski imperializm”* – napisał Jacek Legieć (J. Legieć, „Armia Ukraińskiej Republiki Ludowej w wojnie polsko-ukraińsko-bolszewickiej w 1920 r.”, Toruń 2003, s. 6).

Budowanie Rzeczypospolitej

W przededniu klęski państw centralnych podjęto działania na rzecz uwolnienia Polski. Posłowie do parlamentu wiedeńskiego powołali Polską Komisję Likwidacyjną (PKL), przewodniczył jej lider Stronnictwa Ludowego Wincenty Witos (1874–1945), miała poparcie większości mieszkańców zachodniej części Galicji. 28.10.1918 r. ogłosiła, że nie uznaje rządów austriackich, jest jedyną władzą w Galicji, a przede wszystkim zaczęła organizować Wojsko Polskie – spośród polskich żołnierzy armii austriackiej oraz byłych legionistów. 30 października rozbrojono wojska austriackie.

W Kongresówce Rada Regencyjna usiłowała uwolnić się od patronatu niemieckiego, 12.10.1918 r. objęła dowodzenie Polską Siłą Zbrojną, zmieniając jej nazwę na Wojsko Polskie, co Niemcy nieformalnie zaakceptowali – i przystąpiła do jego rozbudowy. Zażądała uwolnienia Piłsudskiego, ale faktyczna władza Niemców w okupowanej przez nich części kraju nadal trwała.



Leon Wasilewski (1870–1936) – działacz PPS, bliski współpracownik Piłsudskiego, architekt polskiej polityki wschodniej u progu niepodległości

W pierwszych dniach listopada zaczęły rozpadać się instytucje okupacyjne w części Kongresówki kontrolowanej przez Austriaków. Władzę terenową przejmowali wysłannicy Rady Regencyjnej, wielu z nich związanych było z Piłsudskim. Komisarzem Generalnym na ten obszar został 29 października Juliusz Zdanowski (1874–1937), jeden z liderów narodowej demokracji, on z kolei komendę wojska polskiego na tym terenie oddał Edwardowi Rydzowi (używał później nazwiska Rydz-Śmigły, 1886–1941), jednemu najbliższych współpracowników Piłsudskiego. Jak widać, mimo konfliktów w konkretnych sprawach piłsudczycy i endecy często współdziałali, co było jednym z ważnych czynników budowania niepodległości.

Do Lublina przybyli liderzy socjalistów i w nocy z 6 na 7 listopada powołali Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. Premierem i ministrem spraw zagranicznych został przywódca socjalistów galicyjskich Ignacy Daszyński, Edward Rydz-Śmigły – ministrem spraw wojskowych. Polaków żyjących w Galicji Wschod-

niej i na Ukrainie Naddnieprzańskiej wezwano „do pokojowego załatwienia kwestyj spornych z narodem ukraińskim, aż do ostatecznego ich uregulowania przez międzynarodowe czynniki obu narodów”, obiecywano też „równouprawienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości” („Proklamacja rządu lubelskiego” w: Kazimierz Kumaniecki, „Odbudowa państwowości polskiej. Najważniejsze dokumenty 1912 – styczeń 1924”, Warszawa-Kraków 1924, dok. 74, s. 131). Za jedno z najważniejszych zadań uznano „organizowanie regularnej armii”, której organizowanie „wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego” powierzono Rydzowi-Śmigłemu.

10 listopada 1918 r. Piłsudski, poprzedniego dnia zwolniony z więzienia, wrócił do Warszawy. Więziony ostatnio przez Niemców, a wcześniej przez Rosjan, był najpopularniejszym polskim politykiem, dysponował karnym i zdyscyplinowanym obozem zwolenników. Jako jedyny miał wystarczająco duży autorytet, by zapanować nad sytuacją w kraju (A. Chwalba, „Rok 1919. Pierwszy rok wolności”, Wołowiec 2019, s. 16). W Warszawie i kilku innych miejscowościach Kongresówki doszło do niewielkich, żywiołowych starć z okupantami. Piłsudski, choć nie miał jeszcze żadnych formalnych kompetencji, podjął rokowania z Niemcami i wynegocjował ich ewakuację – do 19 listopada cały obszar Kongresówki, z wyjątkiem tylko Białostocczyzny, był wolny. 11 listopada Rada Regencyjna przekazała mu władzę wojskową, tj. dowodzenie oddziałami jej podlegającymi – i zaproponowała utworzenie rządu narodowego. Był to jednocześnie dzień zakończenia wojny światowej – nastąpiło zawieszenie broni na froncie zachodnim. Dla Polski i Ukrainy wpływ tej decyzji był tylko pośredni, postanowienia rozejmowe zalecały dalsze okupowanie przez Niemców ziem na wschodzie.

14 listopada Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu całą władzę, sama rozwiązała się. Jej członek, arcybiskup warszawski Aleksander Kakowski (1862–1938) napisał później: „14 listopada, kiedy podpisałem akt abdykacji, uważam za najszcześniejszy dzień życia”.

Tegoż dnia rozwiązał się rząd lubelski, Piłsudski stanął na czele państwa „jako faktyczny dyktator” („Dekret Naczelnika Państwa o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej”, Dz.U, nr 17, poz. 41), choć formalnie jego pozycja jeszcze nie była określona, a dyktatorem być nie chciał. Budował instytucje, zwłaszcza wojsko, wydawał dekrety, Daszyńskiemu zlecił utworzenie rządu. Piłsudski chciał powołania gabinetu wielopartyjnego, ale inne partie odmówiły współpracy z

Daszyńskim. Zaakceptowały socjalistę uważanego za mniej radykalnego – Jędrzeja Moraczewskiego (1870–1944), którego Piłsudski powołał na premiera 18 listopada. Wincenty Witos miał zostać wicepremierem, ale odmówił. Zaoferowano też miejsca dla endecji, ale jej politycy nie zgodzili się wejść do lewicowego rządu.

22 listopada Piłsudski formalnie ogłosił się Naczelnikiem Państwa (nazwę tę zaczerpnięto z tradycji Powstania Kościuszkowskiego), co zakończyło wstępny etap kształtowania instytucji państwowych. Przyznał sobie szerokie uprawnienia – mianował rząd, przed nim odpowiedzialny, zatwierdzał ustawy oraz budżet, mianował wyższych urzędników. Ale wszystko to miało charakter przejściowy, uważał, że najwyższa władza powinna należeć do demokratycznie wybranej reprezentacji narodu. Dlatego 28 listopada podpisał dekret o wyborach do Sejmu, wyznaczając je na 26 stycznia 1919 r. Miały być przeprowadzone na obszarze byłego Królestwa Polskiego, zaboru pruskiego i Galicji, z tym, że wobec niemożności ich odbycia w Galicji Wschodniej mandaty mieli otrzymać dawni polscy posłowie do parlamentu austriackiego. Mało konkretnie postanawiano, że *„powołani zostaną do Sejmu [...] w porozumieniu z miejscowym społeczeństwem polskim przedstawiciele Polaków na Litwie i Rusi”*.

Leon Wasilewski, przyjaciel Piłsudskiego, na wiadomość o jego powrocie przyjechał do Warszawy i zaproponował zorganizowanie *„instytucji, która by się zaopiekowała kwestiami narodowościowymi i kresowymi w Polsce, [...] czegoś w rodzaju ministerstwa spraw narodowościowych”*. Ale okazało się, że *„na porządku dziennym stały inne, wówczas daleko pilniejsze kwestie”*. Ta krótka wzmianka dobrze charakteryzuje stanowisko Piłsudskiego zajmowane przez najbliższy rok: wśród problemów, które musiał rozwiązywać, kluczowe znaczenie miało budowanie armii oraz instytucji państwa, rozładowanie konfliktów w polskim społeczeństwie, sprawy zagraniczne. W tym ostatnim zakresie ekipa Piłsudskiego miała mało doświadczenia, a był on – z czego Naczelnik zdawał sobie sprawę – jednym z kluczowych dla Polski. Toteż wkrótce oddał tę dziedzinę Dmowskiemu i jego ludziom, co okazało się nadzwyczaj trafne, bo mieli praktykę i kontakty z władzami krajów Ententy. Ale tymczasem trzeba było doraźnie organizować ten zakres spraw – zlecił to właśnie Wasilewskiemu.

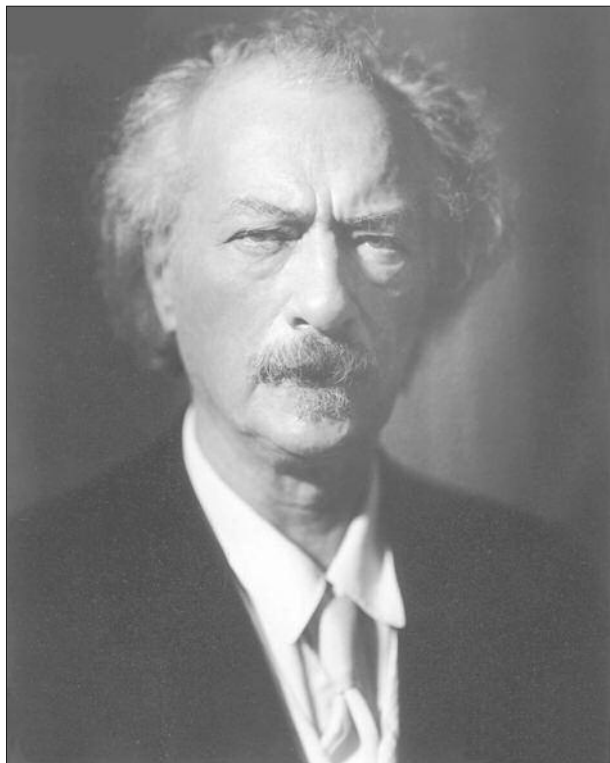
Jeszcze przez pewien czas wisiało nad krajem zagrożenie niemieckie, rosło bolszewickie, budżet dopiero tworzone, na razie był pusty, państwo finansowane było drukowaniem „pustych” pieniędzy, których wartość

szybko spadała. Niemal wszystkie granice były zagrożone. W tym kontekście kwestie narodowościowe, o których wspominał Wasilewski, musiały zejść na plan dalszy. Naczelnik nie mógł całkowicie uniknąć ich rozwiązywania, ale nie poświęcał im wiele uwagi, co najwyżej, pod naciskiem opinii publicznej bądź innych polityków, podejmował spektakularne działania o charakterze bardziej propagandowym niż realnym. Taki był zwłaszcza jego stosunek do polsko-ukraińskiego konfliktu we wschodniej Galicji. Jego relacje wobec Ukrainy naddnieprzańskiej były w tym okresie funkcją stosunków z Rosją – „białą” i bolszewicką. Więcej uwagi poświęcił im tylko przez krótki czas, wiosną 1920 r.

Wasilewski, dotychczas główny znawca spraw ukraińskich w otoczeniu Piłsudskiego, był od 18 listopada 1918 r. do 16 stycznia 1919 r. ministrem spraw zagranicznych w rządzie Moraczewskiego. Wynegocjował sprawę ważną: by ewakuacja wojsk niemieckich z Ukrainy odbyła się trasą omijającą już wyzwolone ziemie Polski – przez Brześć i Białystok do Prus Wschodnich, w zamian za tymczasowe pozostawienie w rękach niemieckich linii kolejowej z Brześcia przez Białystok. Ta umowa wywołała gwałtowne protesty opinii publicznej, nieświadomej, że w innym wypadku grozi Polsce najazd sił niemieckich pragnących wydostać się z Ukrainy.

Po dymisji rządu Naczelnik wysłał go w styczniu 1919 r. do Paryża, potem zlecił mu zajmowanie się sprawami litewskimi i krajów bałtyckich – Ukraina znalazła się na marginesie. Ale jeszcze podczas pobytu w Paryżu, w marcu 1919 r., Wasilewski rozmawiał z Hryhoryjem Sydorenką (1874–1925), przewodniczącym delegacji ukraińskiej, wysłanej przez Petlurę na konferencję pokojową, zapewnił go, że polska lewica zawsze popierała dążenia niepodległościowe Ukrainy i *„obecnie również broni niepodległej państwowości ukraińskiej”*. Należy jednak *„skończyć z idiotyczną wojną w Galicji”*.

Poważnym problemem odbudowującego się państwa były gwałtowne wewnętrzne spory polityczne, utrudniające zarówno położenie w kraju, jak i sytuację międzynarodową. Były wielopłaszczyznowe, ale kluczowy był konflikt między obozem Piłsudskiego a zwolennikami Dmowskiego, który w 1915 r. opuścił Rosję, przebywał na Zachodzie, stanął na czele Polskiego Komitetu Narodowego (PKN), uznanego przez polityków Ententy za oficjalne przedstawicielstwo państwa polskiego. Pod patronatem PKN utworzono we Francji polską tzw. „Armię Błękitną” (od koloru mundurów), którą od 4 października 1918 r. dowodził gen. Józef Haller (1873–1960). Dmowski – stojący na czele endecji, po-



Ignacy Paderewski – (1860–1941) – polski pianista, kompozytor, działacz niepodległościowy, mąż stanu i polityk

pierany też przez konserwatystów – urabiał piłsudczykom opinię proniemieckich i probolszewickich, co zmniejszało szanse udzielenia Polsce pomocy. Naczelnik zdawał sobie sprawę, że bez wsparcia Zachodu budowanie państwa będzie bardzo trudne, dla uzyskania go dążył do przezwyciężenia konfliktu z Dmowskim.

W styczniu 1919 r. udało się wynegocjować przejściowe porozumienie. Jędrzej Giertych ocenił, że: „kompromis z Dmowskim [...] był jego przegraną. Obaj, Piłsudski i Dmowski, zarazem wygrali i przegrali. [...] Piłsudski przegrał wszystkie swoje cele polityczne”, stanął na czele Polski „obejmującej ziemie, które przeznaczył dla Ukrainy i Litwy”. Zatem, w interpretacji Giertycha, ten kompromis już w styczniu 1919 r. unicestwił szanse realizacji programu federacyjnego. Współcześni nie postrzegali tego w ten sposób. Jeszcze przez półtora roku podejmowano zabiegi dla jego realizacji – prawda, że niezbyt energiczne i zakończone niepowodzeniem.

Na przełomie grudnia 1918 r. i stycznia 1919 r. Naczelnik zobowiązał się ograniczyć swą władzę, na premiera 16 stycznia powołał Ignacego Paderewskiego (1860–1941), słynnego w świecie muzyka, bezpartyjnego, ale związanego z Dmowskim. Dzięki temu morcarstwa uznały rząd, a więc istnienie niepodległego państwa: Stany Zjednoczone 30 stycznia 1919 r., Francja – 23 lutego, Wielka Brytania – 25 lutego. Oznaczało

to zarazem uznanie Polski kierowanej przez Piłsudskiego za jedno z państw zwycięskiej koalicji.

Nowy rząd składał się głównie z polityków prawicowych, ale znalazło się w nim kilku ministrów (bezpartyjnych) z ekipy Moraczewskiego, zachowano więc ciągłość władzy. O ile Piłsudski nie chciał żadnych poważnych pertraktacji z Rosją radziecką, to Paderewski, akceptując generalne zasady jego polityki wschodniej, skłonny był zawrzeć z nimi jakieś, choćby doraźne porozumienie, co doprowadziło od lata 1919 r. do pogorszenia jego relacji z Piłsudskim.

Współdziałanie przetrwało niewiele ponad pół roku, ale był to okres kluczowy dla zbudowania państwa. Starania Dmowskiego w sferze dyplomatycznej, a Piłsudskiego w organizacyjnej i wojskowej, pozwoliły wykorzystać szanse dane przez rozwój wydarzeń historycznych (T.A. Kisielewski, „Piłsudski, Dmowski i niepodległość. Osobno, ale razem”, Poznań 2018, s. 126).

W wyborach sejmowych 26 stycznia 1919 r. najlepszy wynik – 37% głosów – uzyskał związany z Dmowskim Związek Ludowo-Narodowy. Okazało się więc, że rząd Paderewskiego ma zdecydowane poparcie. Partie centrowe zebrały 15,4% głosów, lewica – 34%. Pozostałe głosy przypadły stronnictwom żydowskim i niemieckim. Partie ukraińskie zbojkotowały wybory, co nie miało praktycznego znaczenia, bo na terenach, gdzie mogłyby zdobyć mandaty, toczyły się walki, więc głosowanie się nie odbyło.

10 lutego Piłsudski otworzył obrady Sejmu, 20 lutego złożył pełnomocnictwa, po czym Sejm jednomyślnie uchwalił powierzenie mu ich na nowo (w nieco ograniczonym wymiarze). Uchwała ta zyskała później miano Małej Konstytucji. Najwyższa władza należała teraz do Sejmu, wykonawcą jego decyzji był Naczelnik Państwa, który powoływał rząd. Przyjęto nazwę Rzeczpospolita Polska. Sejm powierzył rządowi Paderewskiego dalsze funkcjonowanie (trwało do grudnia).

W ten sposób położono fundamenty państwa – ale do zwieńczenia jego budowy było daleko. W Polsce było pięć odrębnych systemów administracji, pięć walut (wszystkie szybko traciły na wartości), trzy różne kodeksy karne, tory kolejowe miały dwa różne rozstawy szyn. Tych różnicowań było wiele więcej – zwłaszcza w wojsku dochodziło do napięć między żołnierzami wywodzącymi się z rozbitych regimentów różnych armii zaborczych, Legionów i sił polskich wracających z Zachodu. Ogromne były wewnętrzne napięcia polityczne. Prowadzenie polityki państwa było w tych warunkach niełatwe, a kłopoty wewnętrzne rzutowały na politykę zagraniczną.

Wybór możliwych alternatyw postępowania Naczelnika Państwa był niewielki. Trudno oczekiwać, by Piłsudski jawnie przyznawał się do ograniczonych możliwości. Ale zachowało się kilka jego wypowiedzi, stanowiących pośrednie przyznanie się do tego. Np. 15 czerwca 1919 r. zirytowany postulatami dziennikarza Tadeusza Katelbacha (1897–1977), dotyczącymi Suwalszczyzny, zareagował ostro: „*Niech wam się nie wydaje, że jestem czarodziejem, który wszystko może, i że Polska już jest potęgą, przed którą drżą sąsiedzi*”. Czynił to, co było doraźnie możliwe, na urzeczywistnienie dalekosiężnych planów brakło sił. A na terenach, które w 1919 r. zajmowały wojska dowodzone przez Piłsudskiego, władze lokalne realizowały działania najbliższe koncepcjom endecji, niewiele było tolerancji dla działań innych narodów.

Polityka wschodnia w 1919 r.

Piłsudski uważał, że klucz do problemów Ukrainy leży w Kijowie (W. Suleja, „Piłsudski a Petlura”, w: „Polska i Ukraina – sojusz 1920 roku i jego następstwa”, Toruń 1997, s. 116). Ale kontakty z władzami Ukrainy naddnieprzańskiej napotykały trudności. Wprawdzie Rada Regencyjna zaczęła budować służby dyplomatyczne, ale działały jeszcze nieprofesjonalnie. Posłem w Kijowie został w październiku 1918 r. Stanisław Wańkiewicz (1885–1943), jeden z najzamożniejszych ziemian na Kresach w guberni smoleńskiej (w przeszłości poseł do rosyjskiej Dumy, stryj znanego pisarza Melchiora Wańkowicza), który przybył do Kijowa 18 października, listy uwierzytelniające wręczył hetmanowi Skoropadskiemu 5 listopada. Piłsudski nie zamierzał zmieniać tej ani innych nominacji, ale Wańkiewicz po obaleniu przez Petlurę władzy hetmana w końcu grudnia wrócił do Polski. Zastąpił go dotychczasowy radca placówki Bohdan Kutylowski (pozostał tam tylko miesiąc). Konsulem w Odessie został 28 listopada Zenon Belina-Brzozowski (1877–1939), ziemianin z Podola, mieszkający w tym mieście od lat.

25 listopada Piłsudski mianował gen. Gustawa Ostapowicza (1863–1941), byłego generała carskiego, szefem Polskiej Misji Wojskowej na Wschodzie, w drugiej połowie grudnia przybył on do Kijowa; zastąpił mjra Juliusza Kleberga (1890–1970), legionistę, który na początku listopada 1918 r. z nominacji Rady Regencyjnej został *attaché* wojskowym przy Poselstwie Polskim w Kijowie, jeszcze w ramach Hetmanatu; teraz Kleberg został szefem sztabu misji Ostapowicza. W obliczu ofensywy Armii Czerwonej już 29 stycznia polska misja dyplomatyczna wróciła do Warszawy, a misja wojskowa

przeniosła się do Odessy, kontrolowanej przez wojska francuskie w porozumieniu z „białymi” Rosjanami, którym towarzyszyła Dywizja Strzelców Polskich, dowodził nią gen. Lucjan Żeligowski (1885–1947), dawny oficer armii carskiej. Złożona była z Polaków służących wcześniej w armii rosyjskiej. Ostapowicz miał również negocjować z Antonem Denikinem, który był jednym z czołowych przywódców „białych”; od marca 1918 r. stał na czele Sił Zbrojnych Południa Rosji, nieformalnie nazywanych Armią Ochotniczą. Wkrótce, wskutek konfliktu z gen. Żeligowskim, został odwołany do kraju. W rezultacie tych komplikacji nie udało się Piłsudskiemu nawiązać trwałych relacji z Ukrainą naddnieprzańską, czyli URL.

Relacje te były uwarunkowane przez stosunki z bolszewikami i „białymi” Rosjanami oraz politykę mocarstw. Piłsudski, oceniając na przełomie lat 1918–1919 sytuację Ukrainy, przewidywał, że niemożliwe, by jakkolwiek władza moskiewska zgodziła się z secesją tego obfitego w surowce i żywność kraju. Sądził też, że mocarstwa nie udzielą jej pomocy, stawiając raczej na „białych”. Te przypuszczenia okazały się trafne. Jak podkreśla Jan Jacek Bruski, walka o niepodległą Ukrainę kolidowała „z *imperialnymi nawykami i schematami myślenia, którym hołdowano w stolicach zwycięskich mocarstw zachodnich*” (J.J. Bruski, „Polsko-ukraiński sojusz 1920 r.: realna szansa czy złudzenie”, w: Валерій Смолій (ред.), „Револуція, державність, нація: Україна на шляху самоствердження (1917–1921 рр.)”, Київ-Чернігів 2017, s. 224–235).

Rewolucje, które wybuchły w listopadzie 1918 r. w Niemczech i Austro-Węgrzech, wzbudziły w Moskwie nadzieje na utworzenie kolejnych „*republik radzieckich*”. 13 listopada 1918 r. Rada Komisarzy Ludowych wypowiedziała traktat brzeski i Armia Czerwona ruszyła na teren okupowany przez Niemców, którzy powoli wycofywali się, na ogół nie podejmując walki, choć zgodnie z postanowieniami rozejmu z 11 listopada mieli tu na razie pozostać. Celem akcji było nie tylko opanowanie ziem należących wcześniej do imperium carskiego, ale zainicjowanie powszechnej rewolucji – w Europie i świecie.

Po drodze były jednak Ukraina i Polska. Agresja przeciw Ukrainie okazała się względnie skuteczna. Rosja Radziecka formalnie nie uczestniczyła w wojnie, akcję prowadzono w imieniu Ukraińskiej Republiki Rad, choć z użyciem Armii Czerwonej, podporządkowanej Moskwie. Wobec tego Dyrektoriat URL 16 stycznia ogłosił stan wojny z Rosją radziecką. 6 lutego 1919 r. komuniści ponownie zdobyli Kijów. Władze Ukrainy zbiegły

najpierw do Winnicy, potem urzędowały w różnych miejscach na Podolu i Wołyniu, często w wagonach kolejowych. Ale państwo nie przestało istnieć. Petlura objął pełną kontrolę nad jego resztkami, 11 lutego 1919 r. wystąpił z partii socjalistycznej, ostatecznie zmienił orientację swej polityki na prozachodnią, nie dopuścił do całkowitego rozpadu armii, stał się faktycznym dyktatorem. Niemniej bolszewicy poszerzali zdobycze. Tylko przejściowo pokonali ich „biali” latem 1919 r., co zresztą wcale nie poprawiło sytuacji URL.

Ofensywa Armii Czerwonej w kierunku zachodnim była jednak mniej energiczna niż na Ukrainie. Brakło jej sił, by skutecznie walczyć na wszystkich obszarach. W depeszy z 15 grudnia 1918 r. do Efraima Sklanskiego (1892–1925), będącego wtedy zastępcą Trockiego, Lenin określił, że podstawowym zadaniem jest opanowanie Ukrainy i wyjście nad Morze Czarne, na drugim miejscu stoi walka z „białymi”, kierunek zachodni zajmuje dopiero trzecie miejsce w hierarchii (W.I. Lenin, „Dzieła wszystkie”, t. 50, s. 220). Niemniej posuwano się naprzód. 4-5 stycznia 1919 r. w walkach z polską samoobroną (regularnego Wojska Polskiego jeszcze tam nie było) opanowano Wilno.

W połowie stycznia 1919 r. oczywista była klęska rewolucji w Niemczech, co pogorszyło szanse sukcesu bolszewików na kierunku zachodnim. Gdy więc doszło do pierwszych starć Armii Czerwonej i regularnego Wojska Polskiego, co stało się na Wołyniu 14.02.1919 r. pod Berezą Kartuską, a 17 lutego pod Maniewiczami, walki okazały się mało intensywne. Oddziały obu stron były słabo wyposażone i mało liczne, bolszewicy główne siły angażowali gdzie indziej, toteż wycofywali się pod naporem Wojska Polskiego. Ale i Polacy działali mało aktywnie.

Piłsudski oceniał, że ta względnie korzystna sytuacja jest przejściowa. 16 marca 1919 r. w wywiadzie dla francuskiego dziennika „Le Petit Parisien” prognozował, że Rosja w przyszłości może stać się sprzymierzeńcem Niemiec lub Polski, ale obecnie „Sowiety rosyjskie będą usiłowały zaatakować Polskę”, bo „bez względu na to, jaki będzie jej rząd, Rosja jest zaciekle imperialistyczna. [...] Mielśmy imperializm carski; widzimy dzisiaj imperializm czerwony”. Wskazał w tym kontekście na problem Ukrainy. Atak bolszewików przeciw Polsce „zależy jest w pierwszym rzędzie od kwestii ukraińskiej. [...] Muszą się zaopatrzyć w bogatej Ukrainie. Jeżeli sprawa Ukrainy załatwiona będzie na ich korzyść, wówczas pójdą na Polskę; ale żeby do niej dojść, muszą przebyć kraje zniszczone, nieomal pustynne, które nie dostarczyłyby im niczego. Muszą więc wszystko brać z Ukrainy”. Ten obraz był nie-

zbyt ścisły, prawdopodobnie dziennikarz zapisał skrótowo wypowiedzi Naczelnika, nie do końca je zrozumiał. Ale zasadnicza myśl jest jasna: Polsce grozi radziecka agresja, a jej przeprowadzenie wymaga wcześniejszego opanowania Ukrainy.

Było to powtórzenie w skrócie opinii, którą rok wcześniej opublikował Wasilewski: „*Powstanie i utrwalenie się samodzielnego państwa, odgradzającego Wielkoruś od Morza Czarnego, odbierającego jej spichlerz zbożowy południa, węgiel i rudę doniecką wraz z wszelkimi innymi bogactwami Ukrainy, jest dla Wielkorusi ciosem tak strasliwym, że nie pogodzi się ona z nim dobrowolnie*” (L. Wasilewski, „Ukraińska Republika Ludowa”, „Kultura Polska” 1918, nr 8, s. 118). Wniosek był oczywisty: Polska powinna wspomóc Ukrainę. Tymczasem trwała wojna, obu państwom niepotrzebna.

Wojsko Polskie stopniowo wzmocniało się i postępowało na wschód. 19 kwietnia odzyskano Wilno, 8 sierpnia zdobyto Mińsk, 28 sierpnia Bobrujsk. Do września 1919 r. Polacy doszli do linii rzek Dźwiny i Berezyny (czyli w przybliżeniu do granicy istniejącej po I rozbiórce), walki zamarły, chociaż później wznawiano je na niektórych odcinkach.

Jednocześnie prowadzono od marca 1919 r. rokowania polsko-radzieckie. Władze w Warszawie nie przywiązywały do nich dużej wagi, przekonane, że władza bolszewików wkrótce upadnie. Mocarstwa zachęcały Polskę do współdziałania z „białymi”. Np. 24 lipca przybył do Warszawy gen. Tom Briggs, szef angielskiej misji wojskowej przy armii Denikina, namawiał Piłsudskiego do wspólnego działania z Denikinem, który właśnie zainicjował ofensywę przeciw Armii Czerwonej na Ukrainie i w południowej Rosji. Nic nie uzyskał. Piłsudski ze względów dyplomatycznych nie deklarował się jednoznacznie, ale „białych” Rosjan obawiał się bardziej niż komunistów, nie chciał ich wspierać.

Jędrzej Giertych, odnosząc się do zarzutów, że odmawiając wsparcia „białym” Naczelnik udzielał faktycznie pomocy walczącym z nimi bolszewikom, napisał radykalnie: „*Piłsudski nie dążył do zwycięstwa komunizmu w Rosji; jego cele były inne. Dążył on do rozczłonkowania Rosji, do przerobienia jej na grupę państw odrębnych i skłóconych, rządzonych w duchu demokratycznym lub socjalistycznym, które neutralizowałyby się wzajemnie i wskutek tego nie odgrywałyby już, łącznie lub z osobna, roli wielkiego mocarstwa. W szczególności dążył on do zbudowania wielkiego państwa ukraińskiego, sięgającego od Karpat lub co najmniej od Zbrucza aż po sąsiedztwo Zagłębia Donieckiego*” (J. Giertych, „Józef Piłsudski 1914–1919”,

t. 1, Londyn 1979, s.155). Giertych generalnie odnosił się do Piłsudskiego niechętnie i wiele jego opinii jest błędnych, a nawet krzywdzących, ale w tym przypadku trafił blisko, choć nieco przesadził. Socjalizm był w biografii Piłsudskiego etapem minionym, mógł go tolerować w myśleniu swoich przyjaciół, mógł uznać za dopuszczalne budowanie socjalizmu w państwach odrywających się od Rosji (a socjaliści początkowo dominowali w ruchach niepodległościowych Ukraińców, Gruzinów i niektórych innych narodów), ale sam już nie dążył do niego. Również wzajemne skłócenie nowych państw było wbrew jego intencjom – przeciwnie, powinny współdziałać w obronie przed Rosją. A generalnie pozostawał wierny zasadom wyrażonym na III zjeździe PPS w 1895 r. Wspierał „oddzielenie się od dzisiejszego państwa rosyjskiego ujarzmionych przezeń narodów” – co później określono jako program prometeizmu.

Na przełomie lipca i sierpnia 1919 r. odbyły się kolejne rokowania polsko-radzieckie; prowadzili je ze strony polskiej Aleksander Więckowski (1854–1943) i Michał Kossakowski (1883–1962), z radzieckiej Julian Marchlewski (1866–1925). W obliczu sukcesów na frontach Piłsudski mówił polskim negocjatorom 31 lipca: *„Mamy takie nieocenione chwile, taką wspaniałą okazję dokonania na wschodzie wielkich rzeczy, zajęcia miejsca Rosji, tylko z odmiennymi hasłami, i wahamy się? Boimy się dokonać czynów śmiałych, choćby wbrew koalicji, podczas gdy tą drogą możemy sobie dać radę wobec takich wrogów, jakim jest Republika Sowiecka. Potrzeba nam więcej wiary w nasze siły i więcej odwagi, [...] żeby [Polska] mogła wielkość swą wypisać nie drogą rewolucji i strasznych eksperymentów wschodu, lecz drogą ewolucji”*. To nie była oficjalna wypowiedź, Naczelnik mówił to prywatnie, pozwolił sobie na luz i fantazję. Ujawnił marzenia, nie plany. Przed laty, gdy w liście do ZZSP zamieścił mrzonki podobnej jakości, podsumował je słowami: *„pardon, unoszę się w krainy fantazji”*. Tym razem powinien uczynić podobnie.

Półtora miesiąca później zajął bardziej realistyczne stanowisko. 14 września premier Paderewski, rozmawiając w Londynie z premierem Davidem Lloyd Georgem (1863–1945), deklarował, że Polska może podjąć wielką ofensywę przeciw bolszewikom, może wystawić wiosną 1920 r. półmilionową armię, ale pod warunkiem otrzymania od Ententy uzbrojenia i zaopatrzenia. Lloyd Georg życzliwie odniósł się do tego, o czym Paderewski natychmiast entuzjastycznie telegrafował Piłsudskiemu. Ale Naczelnik był sceptyczny. Następnego dnia, rozmawiając z gen. Hallerem i innymi wojskowymi powiedział:

„Pan Ignacy [...] wymienia Moskwę jako bezpośredni cel naszej ewentualnej akcji. Zarówno pod względem strategicznym, jak i politycznym wyprawa na Moskwę byłaby nonsensem. Bolszewicy, wzorem mądrego Kutuzowa, uchylą się w głąb, mogą nawet oddać Moskwę, szarpiąc potem moje linie komunikacyjne i nekając partyzantką. Zaś politycznie – cóż ja siedząc w Moskwie mogę robić. Moskale pozostaną Moskalami. Ale gdyby Paderewskiemu udało się wydestać pełne uzbrojenie i zaopatrzenie dla półmilionowej armii, to już ja będę wiedział, gdzie uderzyć tak, aby musieli przyjąć decydującą rozprawę bez zwłoki” (W. Jędrzejewicz, J. Cisek, „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935”, t. 2, Kraków 2006, s. 261). To także nie była wypowiedź oficjalna, ale Naczelnik pozwolił sobie w niej na nieco mniej fantazji niż w przytoczonej wcześniej. Czy słowa: *„już ja będę wiedział, gdzie uderzyć”* były zapowiedzią przyszłej wyprawy kijowskiej?

Na razie oceniał, że choć Wojsko Polskie odnosi sukcesy, to jego sytuacja jest trudna. 15 października mówił, że armia liczy 350 tys. żołnierzy, ale 40% spośród nich nie ma butów, tylko dla 8 tys. przygotowane są pełne mundury zimowe. W tych warunkach nie były możliwe jakiegokolwiek aktywne działania.

W połowie grudnia 1919 r., rozmawiając z Bogusławem Miedzińskim (1891–1972), wtedy szefem Oddziału II Sztabu Generalnego, raz jeszcze wrócił do pomysłu pochodu na Moskwę, tłumaczył, że nie tędy droga. Czującym punktem bolszewików jest Kijów. Bez Ukrainy w Rosji nastąpi głód, jej niepodległości nie mogą zaryzykować, zatem tu właśnie może nastąpić walna rozprawa.

2 listopada Piłsudski przekazał nowe instrukcje negocjatorom rozmawiającym z Marchlewskim. Polska zgodzi się na wstrzymanie walk, pod warunkiem m.in. wstrzymania walk bolszewików z wojskami ukraińskimi Petlury, oddania Dyneburga (dziś: Daugavpils) Łotwie, zaniechania agitacji komunistycznej w Polsce. Mieli nieoficjalnie poinformować rozmówców, że Polska nie zamierza pomagać Denikinowi, podjęcie teraz ofensywy na Mozyrz byłoby dla niego wsparciem, ale Polacy nie uczynią tego. Strona radziecka nie zgadzała się na te warunki, rokowania nic nie przyniosły.

Państwa Ententy były zdecydowanie niechętne bolszewikom, ale początkowo łudziły się, że uda się pokonać ich siłami Rosjan. Politykę wobec Polski uzależniano od położenia „białych”, nie chciano ich zrażać ustępstwami na rzecz postulatów Piłsudskiego czy Dmowskiego. Prezydent Wilson liczył na odbudowę Rosji jako mocarstwa, z czym polskie aspiracje były sprzeczne. Dy-

plomacja amerykańska w 1919 r. sugerowała, by „*ostateczne uregulowanie kwestii wschodniej granicy [Polski] zostało przeprowadzone bezpośrednio po ukonstytuowaniu się rządu rosyjskiego [tj. „białego”], z którym wielkie mocarstwa by pertraktowały w tej sprawie*”.

Przeciwnicy komunistów byli wzajemnie skonfliktowani. Jesienią 1918 r. w Omsku jedyny raz eserzy podjęli próbę zorganizowania niebolszewickiego rządu, który mógłby stanąć na czele wszystkich sił walczących przeciw władzy Lenina. 1 grudnia 1918 r. został on obalony przez „białych” oficerów, którzy na dyktatora powołali Aleksandra Kołczaka. Odnosił on symboliczny sukces, bo formalnie podporządkowały mu się różne, dotychczas zdeintegrowane ośrodki polityczne „białych”, m.in. Denikin, ale doprowadził do zerwania zaczynającej się dopiero rysować współpracy z różnorodnymi „lewicowymi” ruchami antybolszewickimi. Sukcesy Kołczaka okazały się zresztą przejściowe, od połowy 1919 r. na nieformalnego lidera wysunął się Denikin.

W rezultacie siły społeczne, dominujące w Rosji w drugiej połowie 1917 r., mienszewicy i eserzy, nie odegrały większej roli w późniejszych wydarzeniach. Niektórzy ich zwolennicy przystali zresztą do bolszewików, uznając, że są mimo wszystko „*sojalistami*”. Pomogli im umocnić władzę, a potem, gdy już nie byli potrzebni, rozprawiono się w latach 30. z większością spośród nich. Inni emigrowali, dość nieudolnie próbowali wrócić do polityki. [...]

„Biali” nigdy nie określili się ideowo w sposób jednoznaczny, byli wśród nich zwolennicy różnych orientacji politycznych – od liberałów do radykalnej prawicy, monarchizmu i „czarnej sotni” – ci ostatni dominowali, co było zgodne z rosyjską tradycją, lubującą się w skrajnościach, odrzucającą pośrednie formy (M. Bierdiajew, „Rosyjska idea”, Warszawa 1999). Ich trzon stanowili dawni carscy oficerowie, nadal podzielający przekonania, wpojone im w czasach monarchii. Na kontrolowanych terenach realizowali system brutalnej dyktatury wojskowej, odpowiadając terrorem na terror bolszewików.

Niewiele pojmowali z polityki i nie umieli zawierać kompromisów. Odnosili sukcesy militarne, ale zaprzeczali je wskutek błędów politycznych. Carska idea „*niepodzielnej Rosji*” była dla nich niepodważalną zasadą. Walczyli z bolszewikami, a jednocześnie z wszelkimi ruchami odśrodkowymi w imperium, stosowali represje wobec narodów walczących o uwolnienie spod władzy rosyjskiej. Zrazili sobie chłopów, bo na opanowanych terenach usiłowali odnowić majątki obszarncze. Często były prześladowania Żydów, których uważali za głów-

nych winowajców nieszczęść Rosji. Dokonywali pogromów, bo ludzie tego narodu byli „*wrogami*”, nad którymi najłatwiej było „*zwyciężyć*”. Richard Pipes wskazuje, że „*biali Rosjanie dopatrywali się Żyda w każdym, kto nie popierał ich sprawy bez zastrzeżeń, [...] włącznie z prezydentem Wilsonem i Lloydem George’em*” i ocenia, że „*pogromy z 1919 roku były preludium i próbą generalną przed holocaustem*” (R. Pipes, „Rosja bolszewików”, Warszawa 2005, s. 119-120). Obwiniano Żydów o sprzyjanie bolszewikom, a terror powodował, że rzeczywiście co raz liczniej im sprzyjali. Spośród tych „białych”, którzy przeżyli wojnę domową i zbiegli na emigrację, niektórzy wsparli potem rozwój ruchu nazistowskiego w Niemczech. Adolf Hitler otrzymywał od nich w początkowym okresie aktywności politycznej dotacje i wysłuchiwał opowieści, o „*żydowskich intrygach*”, które doprowadziły do obalenia caratu, a potem zwycięstwa bolszewików.

Nie chcieli też niepodległej Polski, a jeśli – to najwyżej do Bugu. Zastanawiając się nad bliższym określeniem ewentualnych granic, domagali się pozostawienia Rosji Ziemi Chełmskiej oraz przyłączenia wschodniej Galicji i Zakarpacia. Gotowi byli natomiast popierać polskie aspiracje na zachodzie, w tym uzyskanie dostępu do morza. Polska powinna też być z Rosją w ścisłym sojuszu (A. Juzwenko, „Polska a «biała» Rosja”, Wrocław 1973, s. 24-27). Jak się okazało – w przyszłości te koncepcje nie miały praktycznego znaczenia, ale jeszcze w 1919 r. politycy Ententy traktowali je poważnie. Późniejsze postępowanie Stalina pod koniec II wojny światowej oparte było na niepokojąco podobnych założeniach. W latach 1918–1919 w sporach z Polską „*biali okazali się nieugięci, a czerwoni nader ustępliwi*” (R. Pipes, „Rosja bolszewików”, Warszawa 2005, s. 94).

„Biali” stanowczo odrzucali prawo Ukrainy do niepodległości, zgodnie z dawną carską propagandą kwestionowali istnienie narodu ukraińskiego, a politycy państw Ententy, choć nie do końca im wierzyli, w imię sojuszu w walce z bolszewikami żądali od Ukraińców współdziałania z „białymi”, co było w praktyce niewykonalne. Denikin w przededniu zdobycia Kijowa zwrócił się z odezwą do ludności, stwierdzając, że nie istnieje naród ukraiński, tylko „*matorosyjska gałąź narodu rosyjskiego*”, zaś Petlura jest „*marionetką*” Niemców i prowadzi szkodliwą działalność przeciw Rosji. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych informowało 19 września 1919 r., że w imieniu Denikina gen. Nikołaj Bredow (od 1873 i po 1945) deklarował w Kijowie: „*że uważa wojska polskie za sprzymierzeńców w walce przeciw bolszewikom, ale że Petlury nie uznaje nigdy*”.

Na ziemiach zdobytych latem i jesienią 1919 r. przez Armię Ochotniczą przywracano władze rosyjskie, niszczone ukraińskie szkoły i organizacje kulturalne, nastąpiły represje wobec ukraińskiej inteligencji, zajmowano się grabieżą. Prasa ukraińska w Polsce biła na alarm: „Część Ukrainy, która dostała się pod panowanie rosyjskiej czarnej sotni, przeżywa obecnie chwile białego terroru. [...] Rosyjskie «patriotyczne» oficerstwo daje obecnie poznać wrogom «świętej Rosji» «twardość» całą «rosyjskiego porządku». Rozstrzeliwania, które rozpoczęły się z przyściem ochotników, trwają dotąd. Głównie rozstrzeliwiają komunistów, Żydów i samostijników (tj. zwolenników „samostijnej”, czyli niepodległej Ukrainy)”. Również polskie Naczelne Dowództwo informowało, że „oddz[iały] armii Denikina [...] rabują ludność, zabierają konie, bydło i zboże”. Takie działania „białych” miały dalekie konsekwencje. Gdy powrót narodowej armii ukraińskiej stawał się mało prawdopodobny, coraz liczniejsi Ukraińcy wybierali popieranie bolszewików, jako mniejszego zła. Miały też znaczenie dla Polski, bo ukraińscy politycy zaczęli uświadamiać sobie bezsensowność konfliktu z zachodnim sąsiadem.

Na Ukrainie sytuacja była absurdalna. Jak mówił Ignacy Paderewski na posiedzeniu Sejmu 12 listopada: „Chaos tam panuje, chaos przerażający, wprost rozpaczliwy” („Archiwum Polityczne Ignacego Paderewskiego”, t. VI, dok. 72, s. 168, 12.11.1919). Wojnę toczyły cztery armie – polska, ukraińska, „biała” i „czerwona” – wszyscy z wszystkimi, z wyjątkiem „białych” Rosjan i Polaków, choć i w tym przypadku stosunki były napięte, a Piłsudski uważał „białych” za bardziej niebezpiecznych dla Polski niż bolszewicy. Do starć zbrojnych nie doszło głównie dlatego, że Wojsko Polskie i armie „białych” Rosjan oddziały bądź siły ukraińskie, bądź Armia Czerwona.

Siły Denikina 14 października 1919 r. doszły do Orła, niedaleko Moskwy, „biali” nigdy nie byli bliżej stolicy, lecz potem nastąpiły klęski. 11 grudnia Armia Czerwona zdobyła Charków, 16 grudnia Kijów. Do początku 1920 r. Armia Czerwona ponownie opanowała większą część Ukrainy, niektóre fragmenty na zachodzie zajęło Wojsko Polskie. „Biali” bezładny odwrót zakończyli dopiero na Krymie i Kaukazie. Denikin w kwietniu 1920 r. wyemigrował, dowodzenie resztkami wojska objął 4 kwietnia 1920 r. gen. Piotr Wrangel (1878–1928), który jeszcze przez pół roku bronił Krymu, próbował nawet kontrofensywy, usiłował reformować państwo i armię – ale wszystko to było spóźnione.

W listopadzie 1919 r., w okresie największych sukcesów jego armii, polskie Naczelne Dowództwo konsta-



Prof. Andrzej Małkiewicz – autor prezentowanej PT Czytelnikom „Krynicy” pracy historycznej o wyprawie kijowskiej 1920 r.

towało: „Denikin nie zbliża się do linii Zbrucza z powodu braku sił, grupując swoje oddz[iały] w kierunku Starokonstantynowa przeciw resztkom wojsk Petlury”. Dopiero w końcu miesiąca nastąpiło pierwsze bezpośrednie zetknięcie Wojska Polskiego i oddziałów Denikina. Rosyjscy oficerowie zapewniali, że „armia ochotnicza nie ma wrogich zamiarów wobec Polaków”.

Wkrótce Armia Czerwona zajęła miejsce na wschód od linii polskich, podejmując niezbyt intensywną walkę z Polakami. Do kolejnego zetknięcia doszło w lutym 1920 r. Zgrupowanie „białych”, złożone z różnych rozbitków armii Denikina, którzy nie zdążyli uciec na Krym, dowodzone przez gen. Bredowa usiłowało przebić się przez Ukrainę do Rumunii. Rumuni nie zgodzili się ich przyjąć, więc oddziały te ruszyły na północ i 12 lutego dotarły do pozycji Wojska Polskiego w rejonie miasteczka Nowa Uszyca. W wyniku kilkudniowych negocjacji rozbrojono ich, początkowo umieszczono w obozach internowanych, a wkrótce zezwolono na wstępowanie do oddziałów tworzonych pod patronatem Sawinkowa. Większość nie chciała tego, więc umożliwiono im przedostanie się na Krym przez Rumunię, która teraz „przymknęła oko” na nieoficjalny przejazd żołnierzy Bredowa.

CDN

Stefan Pawliszcze

SZEŚĆDZIESIĘTNICY

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej w 1987 r. ogłosiła drugi konkurs na wspomnienia z Kijowa. Prace ocenił sąd konkursowy pod przewodnictwem Wojciecha Żukrowskiego – prezesa Związku Literatów Polskich. Utwór wspomnieniowy Stefana Pawliszcze otrzymał jedną z dwóch głównych nagród.

Janusz FUKSA

Wspomnienia, nawet te z najodleglejszej przeszłości, jak dowodzi rozpowszechniona praktyka, najlepiej jest zaczynać od dnia dzisiejszego. Mówiąc „dzień dzisiejszy” używam oczywiście przenośni. Powiedzmy, że chodzi o „dzień wczorajszy”. Kiedyś pewnemu autorowi zadałem pytanie, dlaczego swoje wspomnienia zaczął od opisu czasów najnowszych i usłyszałem odpowiedź:

– Chodzi, proszę pana, o wykluczenie sklerozy.

Był to oczywiście „dowcip dyżurny”, ale nie pozbawiony sensu, jako że wspomnienia zwykle pisują ludzie o bogatej, lecz i długiej przeszłości, a skleroza lubi zacierać w pamięci obrazy niedawnych czasów. A zatem dla udokumentowania, że w moim przypadku również nie chodzi o to przykre stadium wieku wspomnieniowego, pozwolę sobie zacząć od czasów najnowszych.

Rok 1986. Październik. Znow jestem w Kijowie. Nie będę kłamał, że po wielu latach, bo zaledwie po dwóch. Odwiedzam Kijów często – co dwa, trzy lata, lecz właśnie ten 1986 rok w Kijowie był z wielu powodów znamienny. Nie o wszystkich przyczynach i oznakach tej znamienności będę pisał. W pewnych sprawach, szczególnie w obliczu nieszczęścia, powaga nakazuje milczenie. Z drugiej strony fałszem byłoby udawanie, że nic się nie wydarzyło.

Wydarzyło się i wszyscy o tym wiemy. Nie w Kijowie, lecz obok – coś groźnego. Czernobyl! Jechałem pełen niepokoju, którego sam nie rozumiałem do końca. Dzisiaj wiem, że był to niepokój zrodzony wyobraźnią. Lękałem się, czy potrafię zrozumieć to, co zastanę. Czy będzie to ciągle ten sam Kijów jaki znam, czy może już inny? Bałem się zagadkowości zjawisk, bałem się ludzkich stresów, bałem się inności. Wyobraźnia przerosła rzeczywistość i właśnie to była przyczyna mojego lęku. Kijów stał na miejscu i właściwie wszystko było normalne. A zatem spokój i komfort psychiczny.

Lubiłem kijowskie parki pełne gwaru. Lubiłem emerytów grających w szachy i domino. Lubiłem dzieci i ich zabawy w wesołym miasteczku koło filharmonii. Nie

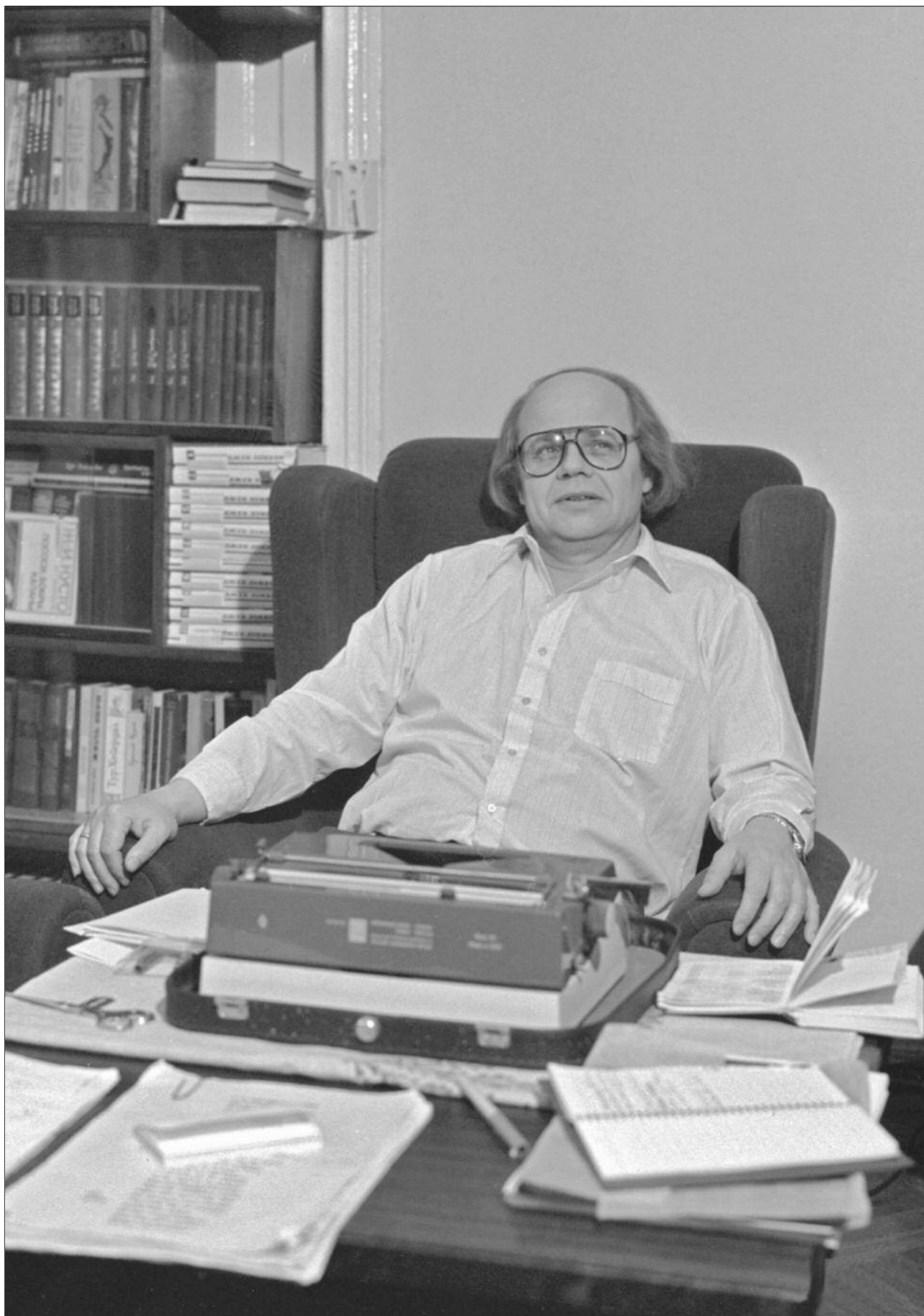
brakowało niczego. Mogłem znow jak dawniej wałęsać się bez celu nad Dnieprem.

Mogłem jak kiedyś siedzieć na ławce i wpatrywać się w złożone kopuły klasztoru peczerskiego. Mogłem robić to, co dawniej.

A wspomnienia? One pojawiają się nagle, jak duchy z przeszłości. Oto stacja metra o nieskomplikowanej nazwie „*Liwobereżna*”, czyli po prostu lewobrzeżna. Oczekując na przystanku autobusu nr 95 bezmyślnie odczytuję wszystkie reklamy i ogłoszenia, po kolei. Moją uwagę zwraca plakat z fotografią aktorki: Niła Kriukowa – ludowa artystka USRR. Wieczór literacki. Program złożony z poezji Iwana Dracza.

I oto ono, wspomnienie: Iwan Dracz, współcześnie najpopularniejszy poeta Ukrainy, wybitna postać w literaturze radzieckiej. Ile przymiotników przy tym nazwisku? A przecież chodzi o Iwana Dracza, po prostu o niego... Pamięć cofa się do roku 1961. Kijów. Dom akademicki przy ulicy Łomonosowa... Szumna nazwa „ulica Łomonosowa”! ... A wówczas? Wówczas był to wygwizdów, gdzie diabeł mówi dobranoc. Żeby się z tej ulicy Łomonosowa wydostać na Uniwersytet, czyli do centrum, trzeba było odbyć godzinną jazdę zatłoczonym trolejbusem nr 14, a przedtem jeszcze około kilometra pieszo po drodze, na której, w zależności od pogody, albo miesiło się gliniaste błoto, albo też wdychało żółtoszary pył wzniesiony przez ciężarówki z budów.

I oto Iwan Dracz. Tamten Dracz – z akademika. Raczej niewysokiego wzrostu, blondyn, już wtedy z wyraźnie zarysowaną łysiną. Twarz skupiona, opuszczone kąciki ust znamionują upór charakteru. Mieszkał na tym samym piętrze, co ja, lecz w drugim końcu korytarza. Był wówczas na trzecim roku filologii, czyli o dwa lata przede mną. Nie ukończył tych studiów. Właśnie wówczas, na trzecim roku, uznał studiowanie za stratę czasu. Oczywiście, nie wszelkie studiowanie, lecz właśnie takie, akademickie, wedle ułożonego programu, w którym niezaliczenie jakiegoś przedmiotu, na przykład ekonomii



Iwan Dracz (1936–2018) – ukraiński poeta, tłumacz, scenarzysta, dramaturg, działacz społeczny i polityk. Fotografia z 1986 r.

politycznej lub ateizmu naukowego, nie pozwalało stać się inżynierem, nauczycielem, lekarzem czy aktorem. A przecież nie w tym rzecz. Już wtedy była poezja. Już wtedy był „Nóż w słońcu”, ballady... Pamiętam, że próbowałem je przekładać:

*Ta chata w sercu ma wiecznie płonąć,
Musi być jasna przy każdej pogodzie.
Stoją słomiano-pltowe Partenony
Ultramaryną mieniąc się w wodzie.*

Gdzieś tam, w szufladzie biurka, leżą jeszcze stare notesy z tymi niezdatnymi próbami przekładu. To też wspomnienie. Jego poezja szokowała, bo oto zamiast patetycznych wzlotów, zamiast bohaterских postaci, pojawia się zwyczajność. „Ballada o wypranych spodniach”, które gwiazdami przyszpilone do sznurka odpływały do nieba... Cóż to za poezja – krzyczano. Komu potrzebny obraz wypranych spodni i księżyc, który z ojcem gra w szachy – pytano. Krzyczano, pytano, nawet psioczono... Lecz czytano! Ballady, etiudy, poematy... Tym się żyło.

Jak wytłumaczyć to zjawisko? Przecież poezja istniała od dawna. Jest chyba najstarszym rodzajem literackim. Jest również „mową bogów”, trudno dostępną dla zwykłego śmiertelnika. I raptem taki wybuch zainteresowania. Nie chodziło tu chyba o jakąś miłość od pierwszego wejrzenia. Raczej chyba nie. Poezja Iwana Dracza i on sam w centrum zjawisk literackich Kijowa wybucha nagle jak wulkan, wywołując coś na kształt skandalu. Pojawiają się również inne, nowe postacie – Witalij Korotycz (obecnie redaktor naczelny „Ogońka”), Mykoła Wingranowski – wychowanek niezapomnianego Ołeksandra Dowżenki. Nowym donośnym głosem przemawia Lina Kostenko, we Lwowie poruszenie wokół nowego tomika Dmytra Pawłyuczki. Jak meteor zapala się i gaśnie przedwcześnie, lecz już odcisnąwszy niepowtarzalne piętno w literaturze, tragiczny Wasyl Symonenko. Nowe nazwiska, nowe utwory, nowe formy i treści.

A przede wszystkim pojawia się nowa atmosfera. Atmosfera wielkich wydarzeń. I tę atmosferę tworzy grupa ludzi, wśród których najgłośniej i najwyraźniej brzmi właśnie to nazwisko: Iwan Dracz. Wieczory poetyckie w Kijowie stają się najciekawszymi zdarzeniami w życiu kulturalnym, a nawet społecznym. Spychają na dalszy plan teatry, filmy, koncerty, wreszcie wielki futbol, chociaż w owym roku kijowskie „Dynamo” po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat przełamało hegemonię drużyn moskiewskich i wygrało mistrzostwa. Wieść, że wystąpi Dracz, Lina Kostenko, Dziuba, Wingranowski, później Stus, Telniuk, Switłyucznyj – jak magnes przyciągała

tłumy. Nie było ogłoszeń, plakatów, anonsów, lecz były pełne sale i burze emocji.

Była również konsternacja, szczególnie w gronach zasiedziałych dzierżawców niwy kulturalnej. Tych, którzy dotychczas mieli monopol. Nie chodziło tu oczywiście o takie nazwiska, jak Pawło Tyczyna, Maksym Rylski, Mykoła Bażan czy Wołodymyr Sosiura. To byli żywi klasycy. Ich miejsce w literaturze i jej historii nie budziło wątpliwości. Zadrżeli inni – średniowieksi i średniomniejsi. Raptem zaczęły pojawiać się zatroskane głosy „w imieniu prostego człowieka”, że nie rozumie tej poezji, że jest ona przeintelektualizowana, że dekadentyzm i tak dalej. Żywi klasycy, jak zwykle, pełni powagi milczeli. Zdarzało się, oczywiście, że uświetniał swoją osobą wieczór Rylski lub Tyczyna, ale była tylko obecność. Nie było ocen.

Szestydesiatnyky (sześćdziesiątnicy, czy coś w tym rodzaju) – tak nazwała siebie ta grupa młodych literatów, a więc poetów, prozaików, dramaturgów, którzy wkroczyli do literatury na początku lat sześćdziesiątych. Oczywiście, samo pojawienie się w tym czasie na łamach prasy, sam debiut literacki o niczym nie przesądzał. To była tylko jedna z cenzur. A były jeszcze inne. Świadectwem przynależności do „sześćdziesiątników” było przede wszystkim nowe podejście do formy i nowe treści. Jeszcze może niezbyt precyzyjnie określało się to „nowe”. Jeszcze trudno było wskazać, w którym miejscu przebiega owa granica pomiędzy „nowym” a „starym”, lecz ono, to nowe, już istniało. Czuło się jego obecność. Nawet intuicyjnie.

*Oto centrum Kosmosu – Ziemia,
Bo to na niej żyje Człowiek.
Bezkres twego rozumu
Tak wchłania bezkres Kosmosu,
Jak sucha gleba kroplę rosy.
Wokół ciebie wirują światy,
W tobie cała nadzieja
Wszystkich stuleci, kontynentów, ziem.
I ja mieszkam w tobie.
W tobie mieszka Einstein –
Spokojny i rozważny mędrzec,
Wielki sceptyk
I wielki fantast.*

I. Dracz: „Pragnienie” (fragment)

Tego jeszcze nie było. Wówczas nie było. Wprawdzie już wcześniej E. Dołmatowski wzywał:

*Niech wstanie Chaplin, Einstein, Picasso,
Niech wstanie Przyszły,
Wszyscy niech się zrodzą.
A wy, idioci na straży tradycji,*

*Nie podejmujcie środków nadzwyczajnych,
Nie orzekajcie, prawy on czy grzeszny.*

Lecz to jeszcze nie był ten pełny głos. Co to było? Preludium? Prolog? Uwertura?...

„Idioci na straży tradycji” nie omieszkali wyrazić swego niezadowolenia i „środki nadzwyczajne”, wprawdzie nie od razu, lecz powoli, za to z żelazną konsekwencją zaczęto stosować. W zasadzie z dnia na dzień stawało się coraz jaśniejszym: oni są jeszcze silni. Oto zaczęła się swoista „publiczna dyskusja” na tematy kultury, literatury, ich zadań i posłannictwa w życiu: dyskusja o socjalistyczności i burżuazyjności... Wszystko, co nowe, nietradycyjne, skomplikowane było atakowane jako wrogie. Czyhano na okazję do ataków osobistych. Jewgienij Jewtuszenko podczas pobytu na Zachodzie opublikował w czasopiśmie francuskim swój życiorys. Podniosła się wrzawa. W jednym z centralnych organów pojawił się bezlitosny artykuł „*K czemu wiedziot chlebstakowszczina?*”. Sprawa, choć w gruncie rzeczy błaha, stała się ogólnonarodowa, a artykuł był swoistym sygnałem do ofensywy. Twórców z mniejszym dorobkiem atakowano niewybrednie i wprost. Innych, jak choćby Ernest Nieizwiestny, w sposób spektakularny z wykorzystaniem „autorytetu uniwersalnego”, czyli samego Chruszczowa, który jako miłośnik sztuki, zwiedzając wystawę, nagle natykał się na rzeźbę Nieizwiestnego. Nastąpiła druzgocąca krytyka. Z epitetami. Oczywiście w telewizji. Oczywiście na tle wspaniałych utworów twórców pozytywnych, którzy całkiem przypadkowo znaleźli się obok. [...]

Wieczór poświęcony pamięci Wasyla Symonenki odbył się w salce z trudem do tego celu wynajętej, pod hasłem niesienia poezji masom i z programem (tym opublikowanym), który niewiele obiecywał. Nazwisko jednak znaczyło swoje.

*O, jak on szedł!
Strumieniła się droga
Dal do spragnionych oczu płynęła.
To nie stąpały,
Śpiewały nogi
I cisza muzykę marszu chłonęła.*

Ten wiersz „Przechodzień” deklamowała wnuczka wielkiego Kociubińskiego, Michalina. Oczyma wyobraźni widzieliśmy tego przechodnia – poetę, który szedł, wspanialszy od innych i tworzył poezję własnego marszu. Widzieliśmy również, jak idąc potknął się i słyszeliśmy przyciszone, nikczemne głosy zadowolonych mieszczuchów.

*Jedni współczuli jemu ubogo,
Inni smagali niechętnym słowem.*

*Gdy idziesz, trzeba patrzeć pod nogi,
Inaczej można utracić głowę.*

Widzieliśmy, czuliśmy tę zwykłą kolej rzeczy: kiedy On szedł, tworząc symfonię własnego marszu, tego nie widział nikt. Zauważono go dopiero wtedy, gdy się potknął. Lecz oto zakończenie:

*Ktoś pomamrotał coś bez potrzeby,
Nad cudzą biedą przygasił wzrok,
A on znów szedł
I patrzył przed siebie,
I znów natchniony tworzył swój krok.*

To było piękne. To było nowe. To było już, niestety, kameralne. Kończył się rozmach, żywioł, bunt. Zaczynał się porządek. [...]

Można zapytać: a cóż ma do tego Kijów i co ma do tego Iwan Dracz, bo to o nich mowa. Oczywiście, ale nic nigdy nie da się tak naprawdę oderwać od swojego otoczenia, od swojego tła. Jeżeli są ludzie, którzy tworzą epokę, on był i pozostał jednym z takich właśnie ludzi. Czy nowa epoka w literaturze ukraińskiej wtedy, w sześćdziesiątych latach, zrodziła się? Niewątpliwie tak. Zrodziła się i okrzepła do tego stopnia, by się obronić, przetrwać i zwyciężyć. Gdybym dzisiaj miał podawać nazwiska tych, którzy różnymi sposobami próbowali wtedy zatrzymać ten nowy nurt, nie byłbym w stanie tego uczynić. Nie pamiętam, bo nigdy nie chciałem zapamiętać. Oni nie mieli szans. Karły.

„Spotkanie z intelektualistami” wycisnęło również piętno niezamierzone. Pozytywny niezamierzony efekt. Nikt albo prawie nikt nie dał się przekonać, że ci, których tam nazwano złymi są źli, których tam nazwano dobrymi są dobrzy, a przede wszystkim, że ci, którzy rozdawali te dobre i złe oceny rzeczywiście znali się na tym co robią. Jeszcze istniał pęd i siła tego pędu. Nie można było niczego nagle przekreślić. Najwyżej ograniczyć i do tego, niestety, doszło.

To życie cichło, uspokajało się, milkło w jakiś fatalny sposób. Nikt nie potrafił (nie wszyscy chcieli) wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Jeszcze gdzieś pojawiały się oznaki tego płomienia, lecz czuliśmy, jak on powoli dogasa i byliśmy bezradni. Przy tej okazji wspominam kilka zdarzeń.

Pierwsze, to spotkanie w Domu Literatów. Lubilem tam chodzić i miałem nawet swoją ulubioną dróżkę. Szło się ulicą Marksa (dziś ul. W. Horodeckiego – *przyp. JF*) do Teatru im. Franki, a następnie obok placu zabaw dziecięcych w górę do ulicy Ordżonikidze (dziś ul. Bankowa – *przyp. JF*). Lubilem tę dróżkę dlatego, że stał (i stoi)

tam dom. Dom, który sobie szczególnie upodobałem. Dom jak z bajki. Słyszałem od kogoś legendę, że architekt, jego budowniczy, przeżył nieszczęśliwą miłość i w bryłę tego domu wpisał cały stan swojej duszy. („Dom z chimerami” zbudowany wg projektu Władysława Horodeckiego (1863–1930), wybitnego architekta, inżyniera-konstruktora, malarza i pisarza, podróżnika po Azji i Afryce, Polaka mieszkającego w Kijowie – *przyp. JF*). Dom tak wygląda, jakby znajdował się pod wodą. Ściany, nawet elementy dachu ozdobione są płaskorzeźbami i ornamentami z podwodnego świata: wodorosty, fantastyczne żyjątki, sieci. Jakaś baśń lub marzenie. A może to tylko smutek. Pod domem przebiegał tunel ze schodami. Tym tunelem wychodziło się na ulicę Ordżonikidze, a u jego wylotu (element bramy czy też ogrodzenia) znajduje się wspaniała rzeźba przedstawiająca walkę orła z lampartem. Zatrzymałem się przed tą rzeźbą, by wpatrywać się w tę dramatyczną scenę. Nieopodal, około 200 metrów dalej, jest właśnie Dom Literatów.

To była późna jesień. Sala wypełniona po brzegi. Stół przydialny. Przy stole jeden z wiodących krytyków literackich, Leonid Nowyczenko. Pastać budząca zainteresowanie przez swą otwartość. Wiekiem raczej przynależny do sfery „zasłużonych i uznanych twórców”, lecz postawą określił się w sposób nie budzący wątpliwości po stronie tej grupy młodzieży literackiej, która nazwała siebie „sześćdziesiątnikami”. Pierwszy tomik poezji Iwana Dracza „*Soniasznyk*” (Słonecznik) właśnie on opatrzył słowem wstępnym o znamienym tytule „Iwan Dracz – nowobraniec poezji”. Była to nie tylko i nie przede wszystkim ocena krytyczna, lecz raczej dobre słowo na drogę życia, czy może na drogę sławy. Jak się później okazało – dość krętą i wyboistą. Dracz również był na tym spotkaniu, byli i inni: Korotycz, Kostenko, Dziuba... Tym razem nie jako główni aktorzy widowiska, lecz na widowni. Ten wieczór był chyba jedną z ostatnich promocji. Na nim właśnie poznałem (nie osobiście, lecz jako literata) młodego prozaika Walerija Szewczuka. Obecnie jest to jeden z najbardziej znanych i najczęściej (również w Polsce) tłumaczonych prozaików ukraińskich. Wówczas, na tym spotkaniu właśnie, jego utwory, fragmenty nowel przyjęto najentuzjastycznie. Przede wszystkim ze względu na styl, jego lekkość, dojrzałość oraz celność obserwacji psychologicznej. Była to jakby zabawa słowem, odkrywanie szczegółów, w życiu nic nie znaczących, lecz tworzących atmosferę ciepła i życzliwości wokół bohaterów. Bez patosu, bez sztampy, bez ogranych figur stylistycznych. Wiele zwyczajności i niezwykłości... Mimo obecności również innych młodych

„nowobrańców” (jak choćby znany obecnie poeta Robert Tretiakow, czy prozaik ze Lwowa Kowal), lwia część uwagi obecnych skupiła się właśnie na tym młodym prozaiku i w czasie tego jednego pamiętnego wieczoru młody student wydziału historycznego przekroczył próg do przybytku sławy. Za progiem, jak się później okazało, były jeszcze schody, długie i kręte, lecz to już była codzienność i, co chyba najważniejsze, ciągle w górę.

Była również dyskusja. Już nie taka spontaniczna. Czuło się, że ta wieczornica ma charakter uporządkowany. Przynajmniej w zamierzeniu. Z ortodoksyjnych pozycji przystąpił do ataku pisarz o nazwisku Czabanowski. Swoje wystąpienie zaczął od niedorzecznego wręcz porównania stylów Szewczuka i Hemingwaya. Miało to być krytyczne, druzgocące, oczywiste. Było tylko żenujące. Więcej już takich wieczorów nie było. Inne były. Chodziliśmy również i na nie. W nadziei... Oto przykład.

Młody poeta, wówczas student, Mykoła Ch. Postać nieciekawa pod wieloma względami: talent raczej mierzny, za to ambicje, przejawiające się w niebywałej ekstrawagancji, ogromne. Jak się później okazało, był również bezwzględny w dążeniu do swoich celów. Parę lat później wysmażył w „Literaturnej Ukrainie” ohydny paszkwil na jednego ze znanych pisarzy Antonenkę-Dawydowycza. W gronie przyjaciół wspominaliśmy czasami ten dziwny wieczór i ten paszkwil. Zastanawialiśmy się nad jednym i drugim. Co to było? Głupota? A może prowokacja?

I wreszcie ostatni z przykładów. Wieczór poezji w domu kultury zakładów „*Biliszowyk*”. Najpierw była reklama – odręcznie sporządzone plakaty: „Z poezją do robotników”, czy coś podobnego. Nie to jednak było główne. Nazwiska. Szukaliśmy nazwisk. I nazwiska były. Cały gwiazdorzbiór: Dracz, Korotycz, Kostenko i inne. Zakłady „*Biliszowyk*” są położone z dala od centrum. Jechało się metrem. To była niemal pielgrzymka: znaczna część pasażerów zdążyła na tę wieczornicę. Przed domem kultury tłok. Ogólny nastrój podniecenia, niestety, przerodził się w rozczarowanie. Wieczór odwołano, nie podając przyczyn. Wszelkie zapytania i interwencje pozostawiono bez odzewu. Stałem nieopodal gabloty, w której w poprzek plakatu o wieczorze naklejono pasek z napisem „*Otmienijetsia*”. I to wszystko. Stojący obok w grupie główni aktorzy tego odwołanego spotkania dyskutowali o czymś ze spokojem. Kiedy już ponad wszelką wątpliwość stało się jasne, że imprezy nie będzie, ktoś rzucił hasło: „Idziemy do parku”. Hasło jak echo powtórzono w różnych miejscach i tłum ruszył.

Ten odwołany wieczór odbył się w mroku parku. Przed schodami do skweru z fontanną zatrzymała się cała widownia. Wywoływano po kolei autorów, skandowano ich nazwiska tak długo, aż wyszli na schody. Wystąpili wszyscy, którzy mieli wystąpić. A kiedy już ostatni z „planowanych” zszedł „ze sceny”, wychodzili i ci, których na afiszu nie było, a więc Pidpałyj, Tymenko, Skworcow i inni. Wieczór trwał do późnych godzin. Pamiętam go lepiej niż inne, bo był to ostatni wieczór młodej poezji w Kijowie, na którym miałem szczęście być obecny.

Zdarzały się jeszcze spotkania w domach prywatnych, słuchaliśmy autorów „na żywo” lub z taśm, lecz bezpowrotnie minęła wspaniała atmosfera poetyckiego święta.

Opuszczając w roku 1965 Kijów po ukończonych studiach, miałem odczucie, że nigdy w życiu nie przeżyję już niczego podobnego.

I oto po dwudziestu jeden latach na przystanku autobusu nr 95, przy stacji metra „*Liwobereżna*”, stojąc wpatrując się w plakat obwieszczający, że w dniu 9 października 1986 r. w sali kolumnowej im. W. Łysenki Państwowej Filharmonii Kijowskiej odbędzie się...

Gdzie jest granica pomiędzy zrządzeniem losu, jeżeli ono istnieje, a zbiegiem okoliczności? Zawsze lubiłem klimat tej filharmonii. Jako student kupowałem zniżkowy abonament na wszystkie koncerty kameralne.

Duży holl. W hollu szatnie. W oczekiwaniu na rozpoczęcie przechadzam się bez celu. Jak kiedyś. Same nieznanne twarze. Młodzież, dużo młodzieży, nawet dzieci. Uśmiecham się. Ot, tak po prostu, do siebie samego. Dawno nie miałem takiego nastroju.

Widownia wypełniona do ostatniego miejsca. Nie ma tłoku, bo tutaj to nie przyjęte – nie sprzedaje się więcej biletów niż miejsc. Siedzę w ósmym rzędzie z lewej strony. Widoczność dobra. Na scenie fortepian, a jedyną dekoracją jest rząd krzeseł o wysokich oparciach, na których rozwieszono różnokolorowe chusty. Jak się później okazało, rekwizyty.

Na krótko przed dzwonkiem na widownię wchodzi autor – Iwan Dracz. Wita się z paroma osobami, zamieniając grzecznościowe zdania. Po dzwonku siada w pierwszym rzędzie. Na scenę wkracza Niła Kriukowa i towarzysząca jej pianistka. Piszę o tych szczegółach w pełni świadom, że nie wszystkie one tworzą równie wartościowy materiał wspomnień. Piszę o tym, bo, jak się później okaże, ten wieczór i ta zwykła otoczka wokół zdarzeń jest również elementem przemian, które znamionują wkraczanie nowego do rzeczywistości, powszechnie określanego jako „*glasnost*” i „*pieriestrojka*”. Oto słyszę utwór, który nigdy dotąd ze sceny nie brzmiał. W sali cisza, a

słowa wciskają się do duszy jak szpilki za paznokcie. Aktorka czuje ten rodzaj odbioru na widowni. Wie, że to, co mówi boli. Skanduje bez uśmiechu:

*Panom klaniamy się do nóg
Jak kazał car, jak kazał Bóg.
Do obcych niewolniczo łgniemy
I po śmietnikach im grzebiemy...*

*(Fragment drugiego widzenia
z poematu „Śmierć Szewczenki”)*

Potem była przerwa, oklaski i kwiaty. Obok mnie przechodzi, ciężko opierając się na lasce, starszy pan. Nie mam wątpliwości, to Skrypnyczenko. Aktor, obecnie na emeryturze. Dawniej... no cóż, dawniej? Mija przecież wszystko. W mig podejmuję decyzję. Przecież mnie nie zje. Idę za nim.

– Przepraszam, czy pozwoli pan, że się przywitam?

– Proszę bardzo. – Podaje mi rękę. – Czy my się znamy?

– Oczywiście. Ale to już dwadzieścia lat. Nawet więcej.

– Niech mi pan pomoże. Nie pamiętam.

– Pan prowadził na uniwersytecie teatr poezji.

W starym aktorze budzi się zawodowy refleks.

– A, to pan! Oczywiście. Pan przecież jest...

Podaję swoje nazwisko.

– Oczywiście, oczywiście. I cóż tam u pana słyhać?

O ile pamiętam, pan pochodzi...

– Z Polski – szybko wpadam mu w słowo.

– Ależ tak! Wiem, że z Polski. Chodzi o miejscowość.

Uniósł brwi i z uśmiechem spojrział na mnie. Podaję miejscowość, bo nie wybrnąłby z tego. Nigdy go o tym nie informowałem. Ucieszył się. Ja również, choć z innego powodu. Minęła niezręczna sytuacja. Rozmawiamy jak starzy znajomi. A przecież on już ma co najmniej osiemdziesiątkę. Kiedyś opowiadał, że w dzieciństwie widział cara... „Staliśmy szpalerem w mundurach gimnazjalnych. Raptem gwar. Podniecenie. – Jedzie! – słyhać głosy. Oddział konnych, w środku oddziału wspaniała karetka. W karecie parę osobistości. – Który to car? *Czort joho znaje!* Ale widziałem go na pewno”. – Powtarzaliśmy to sobie jako anegdotkę.

Mija przerwa. Zaczyna się część druga spektaklu. Wymieniam z mistrzem grzeczności, żegnamy się i wracamy do sali.

Po koncercie owacje. Długie i natrętne. Aktorka bierze naręcz kwiatów, schodzi ze sceny i wręcza autorowi. Okazuje się, że koncert zbiega się z pięćdziesiątą rocznicą jego urodzin.

W hollu rozłożono mały kramik z tomikami wierszy Dracza. Kupuję dwutomowe wydanie jubileuszowe. Bardzo staranne, z przedmową. Podobnie jak niegdyś pierwszy zbiorek „Słonecznik” i to wydanie jest opatrzone przedmową Leonida Nowyczenki. Czytam na stojąco: „*Bo i rzeczywiście przynieśli ci poeci (sześćdziesiętnicy – przyp. SP) z sobą twarde postanowienie odnowić i wzbogacić duchowo-estetyczne struktury literatury ojczystej (na przekór nieomal powszechnemu, jak się im wtedy zdawało, «zatwardzialemu tradycjonalizmowi»)*”... A jednak, – pomyślałem rozczarowany – jednak wstawił to swoje tchórzowskie „*jak się im wtedy zdawało*”. Nie szkodzi. Jakoś to przeżyjemy. Nic się nikomu nie musiało zdawać. Tak było, panie krytyku, i pan dobrze o tym wie.

Czekam na niego. Inni też czekają. Podobnie jak ja, z książkami w rękach. Dracz zjawia się. Obok niego żona Marija. Zawsze to podkreśla: Marija. Jest również syn i Niła Kriukowa. Otaczają go ci z książkami. Cierpliwie podpisuje, uśmiecha się, prosi o podanie nazwiska. Jest życzliwy. Chcę podejść jako ostatni, zauważa mnie.

– Pan również? – pyta.

– Tak.

Patrzy na mnie uważnie. Czyżby poznał? Chyba nie. To raczej mało prawdopodobne. Nigdy nie byliśmy bliższymi znajomymi.

– Mam wrażenie, że pana znam.

A jednak.

– Zналиśmy się – odpowiadam – dość dawno.

Podaję nazwisko. Pyta, czy ono się odmienia. Żartem mówię, że Pohrebennyk przekonywał mnie, że się odmienia.

Pisze moje nazwisko w celowniku.

– On jest profesorem i on wie.

Zwraca mi książkę i pyta dalej. Wyjaśniam, że przyjechałem z Polski. To pomaga. Rozmawiamy parę minut o wspólnych znajomych i zegnamy się prawie jak przyjaciele. Prawie tak, jak wtedy, gdy byliśmy studentami.

Mija kilka dni. Muszę jeszcze oblecieć wiele miejsc. Nie byłem na Podole. Właściwie, to nie ma już starego, szarego Podolu. Jest całkiem nowa dzielnica. Z szerokimi alejami, z gwarem, tętnieniem... Niestety, to już niemożliwe, bym zdołał obejrzeć wszystko. Wieczorem otrzymuję telefon. Dzwoni Rostysław Dacenko, kolega z roku. Utrzymuję z nim możliwie stały kontakt. Jest tłumaczem – przekłady Faulknera, Wilde’a, O’Connora, Dickensa i in.

– Słuchaj, – woła – kiedy wyjeżdżasz?

Podaję datę.

– To dobrze. Jeszcze zdążysz.

W dniu 17 października, w Republikańskim Domu Filmowca odbędzie się właśnie jubileuszowy wieczór poświęcony twórczości Iwana Dracza.

– Co z zaproszeniem?

– Przyjdź. Coś wymyślimy.

Przed olbrzymim gmachem Domu Filmowca tłok. Jestem za piętnaście szósta (osiemnasta). Rostysław czeka na mnie zmartwiony. Nie ma zaproszeń, ani szans na nie. Podejmuję decyzję: pcham się bez zaproszenia. Udaję, że nie znam języka. W drzwiach korkuję cały tłum i po polsku, a także przy pomocy rąk próbuję coś wyjaśnić portierowi. Nic z tego. Nie chce wpuścić. W tym momencie jakaś starsza pani wciska mi w dłoń zaproszenie.

– *Spasybi* – mówię do niej i macham kartonem przed nosem cerbera.

Wpycha mnie do środka.

– *Nachal* – słyszę jego zdenerwowany głos.

– Pocałuj mnie w nos – odpowiadam w duchu najczystszej polszczyzną.

W hollu gwar. Kularowe dyskusje na różne tematy. Czuje się elektryczność w powietrzu. Wspaniała, znana sprzed lat atmosfera. Dużo młodzieży. Pod wielką gąbłotą dostrzegam Walerija Szewczuka. Tego samego, o którym pisałem, prozaika. Dzisiaj to już filar ukraińskiej prozy. Zdarzało mi się go w ostatnich latach odwiedzać w jego mieszkaniu na Kaukaskiej. Z ostatnich odwiedzin wróciłem obładowany jego książkami. Długo czekały na swoje pojawienie się, lecz później, nagle, jak z rogu obfitości. Przechodzę obok, lecz nie zauważa mnie. Jest odwrócony tyłem i zajęty rozmową. Kieruję się do sali widowiskowej. Niestety, wygląda na to, że przestoję ten wieczór pod ścianą. Wszystkie (co najmniej parę tysięcy) miejsca są już zajęte. Stoję u wejścia. Może się zdarzyć, że i stojące miejsce będzie do niczego. Podchodzi Witalij Szewczuk. Z nim młoda dziewczyna. Poznaje mnie z daleka (oczywiście on) i wita wylewnie. Przedstawia dziewczynę – córkę. Studiuje romanistykę.

– Ma pan już miejsce?

– Stojące.

– Szkoda. Tam, na przedzie siedzi Niła (jego żona, a moja koleżanka z roku).

– Proszę pozdrowić.

– Dziękuję.

Wodzę oczyma po sali, starając się wyłowić jakieś znajome twarze. Niestety, w gwarze i ruchu obraz zlewa się. Trudno dostrzec szczegóły. Głowy, głowy, głowy – tysiące głów. W pobliżu sceny ktoś kiwa ręką. Prze cieram oczy. To przecież Niła. Kiwa do mnie. Czyżby?

To dziesięć razy więcej, niż marzyłem i sto razy więcej, niż zasługuję. Przeciskam się między rządami. Oferuje mi miejsce obok siebie. Mąż z córkami siedzi w następnym rzędzie. Odwracam się i witam z drugą córką. Szepczę do Niły:

– Nie gniewaj się. Twoje córki są wspaniałe, lecz ty wyglądasz młodziej.

Śmieje się. A przecież ja serio. Ile to lat? Dwadzieścia jeden? A jednak nie zmieniła się. Może troszeczkę, ale bardzo nieznacznie. Prowadzimy luźną rozmowę o wszystkim i o niczym. Minuty płyną szybko. Gwar cichnie, na scenę wchodzi główni aktorzy.

Oleś Honczar („Chorążowie”, „Człowiek i oręż”, a przede wszystkim „Sobór”) zagaja zebranie. Krótkie przemówienie wprowadzające. Po nim słowo o jubileacie wygłasza sekretarz Związku Literatów Ukrainy Borys Olijnyk. Referat jest klarowny, a co najważniejsze, napisany ciepło i z humorem, jak o przyjacielu. Publiczność reaguje żywo, sam jubilat się uśmiecha. Oklaski. Następnie o twórczości Dracza mówi Leonid Nowyczenko. Znow oczekuję czegoś ostrożnego, jakiegoś „*wydawałoby się*”, ale nie ma. Nie ma!

Zaczynają się wystąpienia gości z bratnich republik. Nieobowiązujące, kurtuazyjne, ale i głębokie, celne, pełne zadumy.

Jest już późno. Tłum przed domem filmowca dzieli się na grupki, zależnie od kierunku, w którym się udają. Rostysław rozmawia z jakimś mężczyzną. Niski, w zielonym płaszczu i kapeluszu. Obok przechodzą Szewczukowie. Żegnają się z nimi. Zapraszają do siebie. Może jutro. Niestety, nie wystarczy mi już czasu. Podchodzę do Rostysława. Przedstawia mi swego rozmówcę.

– Łeś Taniuk.

Witamy się. Coś mi zaczyna świtać, ale nie mogę sobie przypomnieć. Korzystając z zamieszania odciągamy Rostysława na bok.

– Kto to jest?

– Reżyser. Obecnie dyrektor teatru młodzieżowego na Swierdłowa (dziś: ul. Prorizna – *przyp. JF*).

Pośpiesznie rzuca kilka danych o moim nowym znajomym. W latach sześćdziesiątych Taniukowi, wówczas młodemu i obiecującemu twórcy, umilono życie i pracę za jego nadmierną fascynację formalistyczną koncepcją teatru Łesia Kurbasa. Umilono do tego stopnia, że musiał opuścić Kijów. Przeniósł się do Moskwy, gdzie przyjął go z otwartymi ramionami. Im nie przeszkadzało, że „*Berezil*” (nazwa kurbasowskiego teatru) i że Kurbas. Mimo woli pamięć odgrzebuje słowa wiersza Liny Kostenko o tragicznych losach tego wspaniałego reżysera:

Kurbas legł w tej zamrożonej ziemi!

Cicho, sza!

Nie zdradza się sekretu

Gdy sumieniem w ciszy ugrzęźniemy,

To kto z nas śmie nazwać się poetą?

Patrzę na tego człowieka z zazdrością. Wrócił. Zrzekł się łatwiejszej drogi i łatwiejszej sławy. Wrócił do pracy. Bez triumfalnych dzwonów. Po prostu przyjechał i przystąpił do roboty.

Nasza grupka udaje się do najbliższej stacji metra koło stadionu centralnego. Jedziemy do domów. Po drodze, na przystankach, odrywają się od naszej kompanii kolejne osoby. Na Kreszczatiku wysiada Rastysław. Dalej mu już z nami nie po drodze. Żegnają się z nim na długo. Na rok, może dwa. Do końca jedzie ze mną Łeś Taniuk. Cieszy mnie to. Rozmawiamy o minionym wieczorze. Początkowo w sposób zawężony, jako o wieczorze jubileuszowym Dracza. Później w ogólniejszym planie. Taniuk jest bardzo rzeczowy. Pytam wprost:

– Czy jego powrót do Kijowa, ten wieczór niezwykle i szereg innych zdarzeń mniejszych i większych, które wymieniam, to elementy trwałej odnowy i czy nie nastąpi to, co już zdarzyło się w latach sześćdziesiątych?

Patrzy na mnie z zastanowieniem, w końcu mówi:

– Tego nie można wiedzieć. To przecież sprawa przyszłości. Mogę jedynie panu powiedzieć, że jeszcze nigdy dotąd nie mieliśmy tak głębokiej wiary i pewności.

Rozmawialiśmy jeszcze o wielu sprawach, lecz właśnie to stanowcze zdanie utkwilo mi w pamięci najbardziej. Wiara i pewność. A może pewność oparta na wierze? Dla nas to kategorie nieznanne, niezrozumiałe. Jesteśmy zbyt sceptyczni. Zbyt negujący. Trudno jest to pojąć.

Żegnaliśmy się już jako znajomi. Życzyłem mu spełnienia planów. Życzyłem owocnej pracy. Uśmiechnął się i odparł:

– Dziękuję za te życzenia. Zapewniam pana, że wiele od nas zależy i chyba zdołamy wiele dokonać. A czego mam życzyć panu? Bo tak naprawdę, to nie wiem.

Nie umiałem mu niczego podpowiedzieć. Ograniczyłem się do słów:

– Jesteśmy w takiej sytuacji, że chyba najlepiej byłoby nam życzyć wszystkiego dobrego.

Zaśmiał się.

– Niech więc tak będzie. Wszystkiego dobrego.

P.S. Autorów oraz czytelników proszę o wyrozumiałość za niezbyt udane próbki przekładów utworów cytowanych w tekście.

„Gwiazdom nie wierzę...” WIERSZE DOMINKA ĆWIKA

Zapaliłeś swoim ogniem
moją świecę
i w przestrzeń świata
posłałeś
znacząc czas
strużką czasu

Płonę więc
zdając egzamin
z życia
nie wiedząc nawet
czy pozwolisz mi
stać się ogarkiem
czy już jutro powiesz
– „wystarczy”



Kolorowe cienie
motyli
drzemały na
moich powiekach
snami szczęśliwych

a ja zatracalem się
w nich
nie myśląc o
przemijaniu gwiazd

odleciały nagle
spłoszone
drgnięciem powiek
kiedy przypadkiem
spojrzałem na ziemię



Znów obrócił ziemię
władca czas
widać znudziły go
już chłody

A ona na to właśnie
czekała
zaczęła pachnieć
wilgotnieć oddychać

Czekała cierpliwie
tuląc w sobie
ziarna nadziei
na życie

Szarpięte grzmotem
powietrze drga po horyzont
strużki wody ciekną
po policzkach

Choć jeszcze pada
ja wypatruję
białego ptaka
z pierwszą zieloną gałązką



*...Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest...
nie unosi się gniewem, nie pamięta złego...*

„Hymn o miłości”

Podzieliłem swoją miłość
na kromki
jak bochen chleba
i rozdałem

Jednym za to tylko
że istnieją
drugim za dobre słowo
jeszcze innym za uśmiech

Została mi garść
okruszków
tę zachowam

Może zdobędę się kiedyś
by oddać ją
za garść kamieni



Coś przepływa obok nas
coś przemija
stając się coraz mniej ważnym
z każdą chwilą

Słowa spojrzenia
dotyk dziecięcej dłoni
obecność i uśmiech
najbliższych

Stoję mocno w nurcie czasu
by nie porwał mnie
bełkotliwy szum
codzienności

Trwam na środku
by czas przepływał przeze mnie
by nie umknęło nic
co ważne

Bo kiedyś słońce nie wszędzie
i odpłynę w nieskończoność
być może aby trwać
inaczej



Gdy słońce znużone
przed nocą umyka
na krańce świata
spoczynku szukając

Gdy chłodny dech nocy
wody gładkość zmarszczy
i zamgli śpiew ptaków
we włosach wierzbowych

Gdy zapachem siana
zwilgotnieje łąka
muzyką owadzią
napętniając wieczór

Gdy tej właśnie chwili
zatrzymać nie mogę
czy za dniem mam płakać
czy też pragnąc nocy



Dominik ĆWIK

Poeta, laureat wielu ogólnopolskich i regionalnych konkursów poetyckich.

Jego wiersze były publikowane w prasie ogólnopolskiej, regionalnej, polonijnej i wydawnictwach książkowych.

Jest autorem zbiorów poetyckich: „Do Drogi Mlecznej” (1994), „Zaginione pióro” (1996) i „Dialog” (2000).

W przygotowaniu znajduje się album poetycko-fotograficzny „Różowa Dolina”, a obecnie w druku znajduje się indywidualny zbiór poezji „Cierpliwość niespokojna”, który stanowi podsumowanie czterdziestoletniej pracy twórczej i, jak sam mówi, jest „końcem i początkiem wszystkiego”.

Był wiceprzewodniczącym Klubu Literackiego przy Związku Literatów Polskich w Rzeszowie. Należy do Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie.

Współpracował z Rewią Dziecięcą „Estrada Uszatka” w Rzeszowie.

Współredagował kwartalnik społeczno-kulturalny „Pobitno – Nasza Mała Ojczyzna”.

Zapytany – czym dla niego jest poezja, odpowiedział: ŻYCIEM!

Czarny welon nocy
dzisiaj przejrzyśty
oprószony światłem
słońce wszechświata
więc wpatruję się
w ten obraz czysty
oddalony stąd
o świetlne lata
coś przyciąga oczy
by patrzyły
może ujrzę przypadkowo jak coś
tworzy
coś nakłania zmysły
by śledziły
tkwiący gdzieś w tym wszystkim
palec Boży



Spotykam twarz
człowieka
z niewygojonym
smutkiem oczu
Kiedyś zaistniał
swoją świadomością
nie wiedząc
o odejściach w nicłość
o pożegnaniach na zawsze
Teraz wie
o szczęściu szalonych
nie znających słowa
– koniec
Spotykam twarz
człowieka
z niewygojonym
smutkiem świadomości
spoglądając w lustro



Klaskaniem gołębic skrzydeł
obudzone słońce osuszało
zapłakane korale pajęczyn
jak każdego poranka

Chociaż dzisiaj cisza
jakby inna – chłodniejsza
i powietrze słodkawe
od wieczornego palenia liści
Lecz nie uwierzyłbym
żadnym kalendarzom
gdyby nie bukiet
zadumanych chryzantem



Zakurzone rzemienie sandałów
stary kabat i wędrowca laska
taką postać spotykałem często
w wielu wioskach i w wielu miastach
Pod wiatr życia idzie niezłomnie
pochylając swą wątłą postać
jakby nie chciał albo by nie mógł
w żadnym miejscu dłużej pozostać
Napotkane dziecko pogłuszcze
i złoczyńcy nie minie z daleka
każda studnia jego przyjaciółką
żaden pies na niego nie szczeka
Nie starczyło nigdy odwagi
by za ramię chwycić zatrzymać
dokąd idziesz starcze ubogi
że nikogo o drogę nie pytasz
W jego twarzy nie było skargi
na los marny nie było złości
w jego oczach zobaczyłem tylko
niezgnębioną otchłań miłości



JESZCZE NIE PYTAJ

Nie pytaj mnie jeszcze
o jutro
dzisiaj jeszcze czas
by zrywać kwiaty
dzień nie spełniony jeszcze
ptasim śpiewem
trwa jeszcze dzisiaj
i noc jeszcze
sypnie gwiazdami
zaczekaj jeszcze

jeszcze
nie pytaj mnie
o jutro



JESIENNE SPOTKANIE

Wisiąło ostatnie
wilgotne od nocnego mrozu
szarpane wiatrem
walczyło ostatkiem sił
by nie spaść

Sięgnąłem ręką
i rzuciłem je za pazuchę
drżało z zimna
nim odtajało

Teraz leży w koszyku
pachnie i uśmiecha się
do mnie czerwienią



Cicho na palcach
przez życie się skradam
by nie obudzić
śpiącego licha

Gwiazdom nie wierzę
ich dobre wróżby kłamią
zwodniczym blaskiem
świecąc w oczy

Prowadzę ze sobą dzieci
trzymając palec na ustach
i szeptem uczę je
prawd wiary i wiary w prawdy



Dmuchał mi w twarz chłodem
potargał włosy
aż nastroszyłem kołnierz
potem zagwizdał na wróble
i polecieł śmiejąc się ze mnie
dobrze wiedzą
jak zazdroszczę im skrzydeł

swoje straciłem jeszcze jesienią
opadły razem z liśćmi
więc zimą chodzę piechotą
ale wiosna już blisko
odrosną jak zwykle



Zaczarował Ci czas
czarnoksiężnik
dłonie
w rosochate wierzby
zabrał blask
Twych źrenic

Każdej zimie kradnie
białą farbę
próbując jej odcień
na Twoich włosach
i rzuca Ci pod nogi
kalendarze
wściekły że nie może
serca twego zmienić



Wybaczcie mi
jeśli znajdziecie
przecież jestem
człowiekiem – tylko
moje winy przeciw
Wam ludziom
Przecież jestem
Człowiekiem – zaledwie

Jeśli nie potraficie
ukamienujcie nawet
po swojemu
kamienie słowa
są równie dobre
lecz dajcie
przynajmniej szansę
jak tamtej kobiecie
przed wiekami



Nie wiem
 ile mi jeszcze
 spadnie gwiazd
 przeznaczonych
 przez Ciebie
 ile mi spełnisz
 życzeń wyszeptanych
 nie skąp mi
 Panie
 ich światła
 bo wciąż pragnę
 uniesień
 i chłonę każdą
 chwilę
 choć cwałuje
 codzienność
 z siatkami na motyle



Żonie

jednym słowem
 gestem dobrym
 lub
 nagłym spojrzeniem
 przywołasz
 chwilę dawną
 otworzysz wspomnienie
 chyba jestem
 wciąż ten sam
 i Ty taka sama
 a jakaś inna
 jednak
 dziwnie zadumana
 że odeszły nasze
 drzewa
 choć były tak
 wierne
 tylko świerszcze
 wciąż tak grają
 jakby nieśmiertelne



Na drogach życia
 czas ślady zaciera
 i słońce mniejsze
 jest każdego ranka
 choć dla nas wieczne
 powoli umiera
 cóż widać pewnie
 taka wola Pana
 Nie płaczę nad tym
 ani nad człowiekiem
 i nie boleję nad
 spalonym lasem
 wiem tak być musi
 mija wiek za wiekiem
 tylko na sercu
 tak mi ciężko czasem



Na granicy
 światła i mroku
 pod zazdrosnym
 okiem gwiazd
 żegnam cię dniu
 kompanie mych trosk
 druhu różowych marzeń
 bądź mi wierny
 jak dotąd
 swą psią wiernością
 i przyjdź znowu
 gdy już przepędzisz
 macochę noc
 obiecuję o nic nie prosić
 tylko jeśli nie zapomnisz
 zabierz jutro ze sobą
 czterolistną koniczynę



Otulony w swoje skrzydła
 usnął stojąc
 zmęczony pewnie
 ciągłym pilnowaniem

tyle razy powtarzał że
 wiara czyni cuda
 strzepnąłem więc
 gwiazdny pył z jego piór
 na swoje ramiona
 rozpostarłem je szeroko
 lecz się nie uniosłem
 cóż – pomyślałem – nie każdy
 może być aniołem
 kiedy spojrzałem na niego
 przeciągał leniwie skrzydła
 potem uśmiechnął się
 i poklepał mnie po ramieniu
 jakby chciał powiedzieć
 „jeszcze zbyt mała”



Wiem że czekasz
 na mnie cierpliwie
 z uśmiechem na twarzy
 lecz ja nie przychodzę
 tłumacząc się
 że ciągle szukam
 nie wypada przecież
 przychodzić w gości
 bez podarunku
 muszę odnaleźć
 choć jedno zaginione
 pióro anioła
 wtedy przyjdę
 wtedy będę godzien
 by zapukać w drewno
 Twego krzyża



Przeznaczeniem jak rzeką
 płyniemy łupiną
 istnienia
 łowiąc
 chwile szczęśliwe
 na spokojnej toni
 łamiąc
 kruche wiosła

na kaskadach
 ludzkich tragedii
 Przeznaczeniem jak rzeką
 dotrzemy
 do swego celu
 do oceanu ostateczności
 i wejdziemy
 w jego głębię
 aż zawrą się
 nad nami
 wody prawdy
 I poznamy



Nad brzegiem rzeki
 w wierzbowym zaciszu
 wilgocią rosy
 z trawy chłodnej zdjętą
 obmywam dłonie
 jeżyną splamione
 i cicho czekam
 aż zmierzch się dopali

One przychodzą gdy
 mgła już rozwiana
 i żadnym podmuchaem
 nie zmacona woda
 czerń swą i gładkość
 w zwierciadło zamieni
 i gdy już świerszcze
 umilkną zmęczone

W takim spokoju
 ciszy i w ciemności
 mogę podziwiać
 jak przed czernią lustra
 na noc swe suknie
 srebrne zakładają
 gwiazdy dla których
 dzisiaj tu przyszedłem



„NUSIA”

Przeprowadzka

A jednak przeprowadzka. Nusia z zacięciem oglądała nowe mieszkanie, na pierwszym piętrze, w bloku kilka ulic dalej.

Rodzice postanowili się rozwieść. Będzie mieszkała tylko z matką.

Mieszkanie, a właściwie garsoniera, miało tylko jeden pokój z wnęką, małą kuchnię i łazienkę. Nie było tu pięknego parkietu i zielono-pomarańczowej mozaiki z płytek w kuchni i przedpokoju.

Tu podłogę w pokoju pokrywała jakaś okropna, zielono zaszpachlowana masa, a w kuchni bordowe płytki, jakby wypełnione trocinami.

Jej wersalka stanęła we wnęcie, a matka spała w pokoju. Obie mogły się zobaczyć.

Teraz w jednym pomieszczeniu kręciło się całe ich życie.

Nusia odrabiała lekcje przy stole, przy którym sadzało się też gości.

Przy zgaszonym świetle bielila się poprzewieszana przez krzesła bielizna matki. Nusia nie widziała wcześniej stanika, zastanawiała się, czy to możliwe, że ona też kiedyś będzie miała duże piersi i będzie taki nosiła.

Z czasem okazało się, że musi spać na rozkładanym łóżku polowym.

Wprowadził się do ich mieszkanka kochanek matki, o kilka lat od niej młodszy.

Nusia była bardzo z tego faktu niezadowolona, gdyż od początku nie pałała do niego sympatią.

Ojciec jeszcze od czasu od czasu nachodził matkę, zwłaszcza kiedy był pijany.

Mówił wtedy do niej, że tylko ją naprawdę kocha, a inne się nie liczą. Klękał przed nią na kolana i przysięgał, że to święta prawda i że się poprawi, żeby się z nim



znowu zesła. A jego kochanka, w tym samym czasie, czekała na niego przed klatką schodową.

Pewnego wieczoru ojciec wtargnął do mieszkania podpity. Matka kąpała się w wannie. Wszedł do łazienki, a Nusia podenerwowana została pod drzwiami.

Wiedziała, że matka jest naga, a ojciec przecież nie powinien jej takiej oglądać, i płacząc prosiła:

– Tato, wyjdź, ja się boję.

Matka uspakajała ją:

– Nusiu, wszystko w porządku, my tylko rozmawiamy.

Nagle otworzyły się drzwi do mieszkania, w których stanął młody kochanek matki. Nusia zesztyniała.

Wpadł z furią do łazienki i uderzył ojca pięścią w twarz.

Zaczęli się siłować. Ojciec, mimo że podpity, miał przewagę, był wyższy i lepiej zbudowany. Okładając się i siłując, przetoczyli się do kuchni.

Kochanek, widząc przewagę ojca, złapał leżący na kuchennej szafce nóż i ugodził ojca w plecy. Ten wyrwał mu nóż i przeciął jego ramię. Połała się krew.

Obaj, przestraszeni widokiem krwi, odskoczyli od siebie. Matka wezwała milicję, tłumacząc, że pijany mąż, z którym się rozwodzi, wszczął bijatykę i ugodził nożem jej znajomego, a w domu jest dziecko, które się boi i ona też się boi, że im zrobi krzywdę.

Milicjanci zabrali obu na komisariat, matka pojechała razem z nimi, nakazując Nusi:

– Zamknij się od środka i posprzątaj trochę.

Mała, chlipiąc, posłusznie wzięła miednicę, nalała wody i szmacianym zmywakiem, drżącymi rękami, jeszcze głośniejsze chlipiąc, zmywała krew.

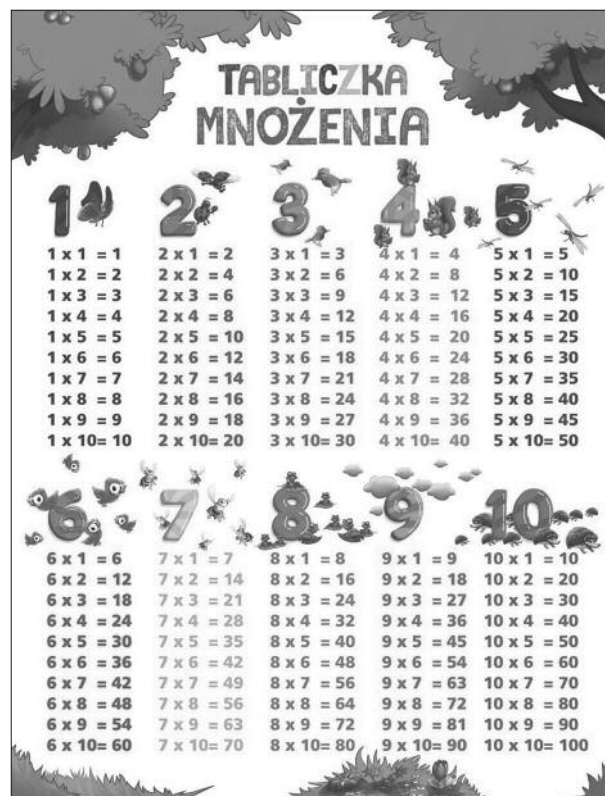
Na kuchennych szafkach i stole przykrytym ceratą krew była dobrze widoczna. Gorzej jej szło z bordowymi płytkami na podłodze. Musiała dokładnie się w nie wpatrywać, a nie było to łatwe przez wciąż napływające łyzy.

Chuliganka

Nusia pochlipywała cicho w kącie pokoju. Z rozżaleniem w głosie mówiła do mamy:

– Tak się cieszyłam, że pójde wreszcie do prawdziwej szkoły, a nie do takiej, jak w prewentorium, choć tam nikt się ze mnie nie śmiał, że jestem gruba. Chłopaki mnie przezywają i niektóre koleżanki też. Gruba becinka, gruba fuła...

– Nusia, musisz być dzielna, nie przejmuj się, pamiętasz co doktor Rutowski powiedział, że wyrośniesz z tego – pocieszała mama.



– Ale kiedy to będzie? Nawet nie mam żadnej koleżanki. A taki jeden Leszek to nawet wykręca mi rękę i robi pokrzywkę.

– Najważniejsze, żebyś się uczyła dobrze, to wtedy daleko zajdziesz i nawet doktorem możesz zostać. Na stare lata byś mnie leczyła.

– Ja nie chcę być doktorem! Już wolę nauczycielką.

– No! To jeszcze bardziej musisz się uczyć, żebyś mogła innych uczyć.

– Oj, mamo, ty tylko – uczyć się...

– No, zabieraj się do nauki tabliczki mnożenia, bo coś ci to ciężko idzie. Przynieś zeszyt, to cię przepytam.

Nusia przyniosła zeszyt w kratkę od matematyki, gdzie na tylnej okładce wydrukowana była tabliczka mnożenia. Niestety, jedynie, jak to mama nazywała, tylko rymowane mnożenie dobrze pamiętała – pięć razy pięć jest dwadzieścia pięć itp. Kiepsko było z Nusią pamięcią.

– Oj, idź, dziecko, już spać, widzę, że już dziś z tej nauki nic nie będzie, przecież ci lejkiem do głowy oleju nie naleję.

– Ale jakiego oleju, mamo?

– No, tak się mówi, ale ma się na myśli... rozum.

– Aha, taka jesteś! – ofuknęła mamę nadąsana Nusia.

Następnego ranka Nusia, jak codziennie, rozpoczęła lekcje o ósmej piętnaście.

Na pierwszej lekcji języka polskiego było dyktando ortograficzne. Pani Maniowa, starsza już nauczycielka, którą dzieci nazywały „babcią”, powoli dyktowała:

*Raz rzeżucha rzekła rzepie,
że rzodkiewka lubi żąć,
rzemień wybrał się za rzekę,
by go łatwiej było rznąć,
uchwaliło warzyw rząddek
trzeba zrobić tu porządek.*

Pojawiały się w tekście także różne inne pułapki językowe.

Nusia lubiła lekcje z polskiego, a tego wierszyka już wcześniej uczyli się na pamięć i Nusia znała wszystkie językowe zasadzki; wiedziała, że napisze dobrze i nie denerwowała się. Pani Maniowa bardzo lubiła wszystkie dzieci, a Nusia czuła, że ją szczególnie wyróżnia, przez co na lekcjach polskiego była śmiała i lubiła się zgłaszać do odpowiedzi. Często wiedziała więcej od rówieśników, bo dużo czytała książek w prewentorium.

Jednak na lekcji matematyki siedziała skulona, z oczami wbitymi w ławkę, już bez kałamarza, rozpoczęła się bowiem era długopisów, które co prawda jeszcze były trudne do kupienia, ale każde dziecko miało choć jeden. Nusia miała śliczny – niebieski, często zerkała do swo-

jego drewnianego piórnika, aby popatrzeć na niego choć przez chwilkę.

Nusia wiedziała, że nauczycielka będzie odpytywała z tabliczki mnożenia i unikała jej wzroku, z nadzieją, że ją ominie.

Niestety, nagle usłyszała swoje nazwisko, wywołana do odpowiedzi.

Odpowiadała, stojąc w ławce, myliła się co chwilę, zmyślała wyniki, a nuż się uda trafić w prawidłową odpowiedź. Zirytowana nauczycielka zawyrokowała:

– Aniu, zostaniesz ukarana. Już kolejny raz pytam cię z tabliczki mnożenia i kolejny raz nie umiesz jej. Dlaczego się nie nauczyłaś? Stać cię przecież na więcej.

Nusia stała milcząca, z opuszczoną głową.

– A zostaniesz ukarana nie złą oceną, bo to nic nie daje, zresztą zostaną ukarani i pozostali uczniowie, którzy nadal nie umieją tabliczki mnożenia, a karą będzie wpisanie waszych nazwisk na Czarną Listę, którą wywieszę na tablicy ogłoszeń w klasie, aby wszyscy widzieli, że jej nie znacie. Będę wykreślała nazwiska z listy dopiero jak stwierdzę, że któreś z was już umie tabliczkę mnożenia.

Nusia zbladła, a słowa nauczycielki zawirowały w jej głowie. – Boże, i wszyscy się dowiedzą, że nie umiem tabliczki! Ja tego chyba nie przeżyję! – I z jej oczu popłynęły łzy, najpierw pojedyncze, a potem całe strumyki.



Dzwonek obwieścił na szczęście koniec lekcji. Nusia szybko spakowała książki i zeszyty do tornistra i jak najszybciej wybiegła z klasy. Myślała teraz tylko o tym, co powie mamie, przecież mama mówiła jej, aby się uczyła tabliczki, tylko że mama wiedziała, dlaczego nauka nie wchodzi jej do głowy, a nauczycielka przecież nie.

Nusia wpadła do domu spuchnięta od płaczu. Mama zmartwiona zapytała:

– Nusia, co się stało, znowu ktoś cię obraził, a może uderzył? Chodź tu do mnie i powiedz, co się stało.

Nusia, łkając, opowiedziała mamie, co się wydarzyło na lekcji matematyki.

I przyrzekła mamie, że już teraz wykuje tabliczkę na blachę, aby nauczycielka jak najszybciej skreśliła ją z Czarnej Listy.

– Wszystko będzie dobrze, Nusia, tylko musisz się przyłożyć. Ja cię będę odpytywać. A teraz umyj ręce i buzię. I to jak najszybciej, bo zaraz zaczynają się w telewizji „Cztery pancerni i pies” i lecimy szybko oglądać do pani Skrzypczakowej. Ciekawe jak tam z tą Marusią i Jankiem będzie, co?

Nusia na wieść o kolejnym odcinku filmu zapomniała o przykrym szkolnym dniu. Uwielbiała bohaterów czarno-białego filmu, załogę czołgu Rudy 102 i ich przygody podczas II wojny; wszystkie dzieciaki mało nóg nie pogubiły, tak szybko biegły z podwórka, gdy zaczynał się kolejny odcinek.

U sąsiadów – Skrzypczaków był jedyny telewizor w całej klatce schodowej, więc przed jego ekranem siedziały stłoczone na dywanie dzieciaki, a dorośli na krzesłach i kanapie. Wszyscy w napięciu śledzili wojenne losy głównych bohaterów – Janka, Gustlika, Grigorija, Olgierda i Marusi, z ich ukochanym psem Szarikiem.

Przez cały tydzień, do następnych lekcji matematyki, Nusia nie rozstawała się z tabliczką mnożenia na okładce zeszytu, aż w końcu mama wyrwała tę stronę, w obawie, że zniszczy cały zeszyt, który łądował z Nusią nawet w łóżku.

Na lekcji matematyki jako pierwsza zgłosiła się do poprawy.

Nauczycielka była pod dużym wrażeniem Nusi desperacji, nie była w stanie złapać jej na choć jednej pomyłce. Od tej chwili Nusia stała się w klasie ekspertem od tabliczki i jeśli któryś z uczniów nie znał jakiegoś działania, pani prosiła:

– Ania na pewno wie, ile to wynosi, no proszę powiedz.

Ania z pewnością siebie podawała prawidłowy wynik. No i ku jej wielkiej radości została wykreślona z Czarnej Listy.

Jednakże co jakiś czas Nusia wpadała w tarapaty.

Kiedy Leszek kolejny raz wykręcał jej rękę i zrobił pokrzywkę, zamachnęła się na niego pustym workiem na kaptcie i pacnęła po głowie. Leszek złapał się za czoło, na którym pojawiła się krwawa plamka. Akurat korytarzem przechodził nauczyciel od przyrody, pan Kruk. Widząc krew na czole Leszka, złapał Nusię za kołnierzyk fartuszka i potrząsnął nią:

– Coś ty mu zrobiła... chuliganko jedna! Patrz, krew mu leci! Maszeruj do klasy od przyrody i nie ruszaj się stamtąd, zaraz wrócę, tylko zaprowadzę Leszka do higienistki; mam nadzieję, że nie potrzeba będzie pogotowia wzywać.

Nusia wystraszona posłusznie poszła do klasy, gdzie odbywały się lekcje przyrody pana Kruka. Klasa była pusta. Nusia usiadła w ławce zdezorientowana, nie wiedząc, co się stało Leszkowi, przecież worek był pusty, jak mogła mu coś zrobić? Martwiła się, że Leszek umrze, a ona pewnie pójdzie do więzienia albo do poprawczaka.

Wszystko szybko się wyjaśniło, w worku był dobrze zastrugany przez mamę ołówek i jego rysik wbił się w czoło Leszka, higienistka usunęła go pęsetką.

Pan Kruk wpadł do klasy, gdzie czekała Nusia, mocno rozgniewany, znowu złapał Nusię za kołnierzyk i wyciągnął z ławki z okrzykiem:

– A teraz, chuliganko jedna, kładę na podłodze pod tablicą dwa woreczki z grochem, klękaj na nich z podniesionymi do góry rękami. Będziesz tak klęczała za karę przez całą godzinę.

Nusia bez słowa uklękła na grochu, podniosła ręce do góry i rozplakała się.

Pan Kruk wyszedł z klasy, ostrzegając ją:

– Zaraz wrócę, klęcz tu i nie ruszaj się nigdzie!

Nusia co rusz opuszczała ręce, to podnosiła – bo bardzo ją rozboleły, groch też boleśnie uwierał kolana, jednakże ze strachu przed panem Krukiem wytrwała tak przez godzinę lekcyjną.

Pan Kruk splakaną Nusią wypuścił, kiedy zadzwonił dzwonek na kolejną lekcję.

– Marsz do domu i musisz się dobrze zachowywać, masz szczęście, że nie poszedłem do dyrektora na skargę, bo byś ze szkoły wyleciała, a i matki nie będę wzywać. Powiem tylko twojej wychowawczyni, aby obniżyła ci zachowanie i niech robi z tobą, co chce.

– Ale ja niechcący, proszę pana – wydukała Nusia, jednak pan Kruk już tego nie usłyszał.

Matka była mocno zaniepokojona, gdzie jest ta Nusia ze szkoły, widziała przez okno, że już klasa wracała do domu, a jej nie ma.

Tym razem Nusia wracała do domu powoli, choć była bardzo głodna i chciało jej się pić. Znowu zastanawiała się, co powie mamie. Nie będzie przecież kłamała, bo mama i tak się dowie od dzieci w klasie.

Podenerwowana mama co chwilę zerkała przez okno, nie mogąc się jej doczekać, a gdy zobaczyła, jak sunie powoli ze spuszczoną głową, od razu domyśliła się, że coś się znowu Nusi w szkole przydarzyło. Gdy usłyszała jej ciężkie kroki na klatce schodowej, aż uchyliła drzwi i krzyknęła:

– No, Nusia, prędej, gdzie ty się wałęsasz, zupa stygnie.

Ale kiedy Nusia rzuciła się w jej ramiona, szlochając, pogłaskała ją i poprosiła:

– No, powiedz mi wszystko, przecież mamie możesz wszystko powiedzieć.

Nusia, łkając, opowiadała:

– Bo pan Kruk kazał mi zostać w kozie za karę... kłęczałam na grochu.

– Za co, Nusia, coś ty zrobiła? – dopytywała mama.

– Trzepnęłam Leszka workiem, bo on mi rękę wykręcał i przezywał mnie znowu, i wbił mi się w głowę ołówek.

– Nusia, jak to, wbił mu się ołówek?

– No, nie cały, tylko rysik.

– Aha – westchnęła.

Kiedy mama wysłuchiwała po kolei dokładnie całej historii, zdenerwowana krzyknęła:

– O, ja tego tak nie zostawię, gdybym wiedziała, ja bym dała temu panu Krukowi, już on mnie by popamiętał, tak mi dziecko potraktować. Pójdę do dyrektora na skargę, że dziecko po ciężkiej chorobie tak męczył.

– Ale mamuś, nigdzie nie idź, proszę – jęknęła Nusia.

– Bo on będzie się na mnie potem mścił.

– Może i masz rację, córeczko, jeszcze się zastanowię, nie becz już. I chodź, zjesz zupę pomidorową, twoją ulubioną, bo wystygnie do reszty.

Powsinoga

Nusia lubiła odwiedzać w Skoszowie babcine sąsiadki i spacerować po wsi.

Czarneckim mówiła grzecznie dzień dobry, ale ich omijała; przez podwórko Kątków jedynie przechodziła, idąc nad rzekę drogą na skróty. Tu podnosiła z ziemi słodkie jak miód jabłka kosztele i ze smakiem je zjadała, z zazdrością spoglądała na czerwone jak krew, błyszczące wiśnie, były jednak dla niej za wysoko.



Na podwórko Krauzów zaglądała przez dziurę po sęku w desce płotu, podglądała przez dziurę w płocie, podglądała świnkę, która wolno biegała, z lubością taplając rapetki w błotku przy studni i śmiesznie pokwikując. Przypatrywała się jej dłuższą chwilę, chichrając się głośno. Najbardziej jednak lubiła odwiedzać najbliższych sąsiadów – Mickiewiczów, którym cała babcina rodzina zawdzięczała przechowanie podczas wojny, gdy zostali wyrzuceni przez hitlerowców z własnego domu.

Nusia dobrze czuła się w domu Mickiewiczów – pani Halinki i jej męża, kolejarza Stefana. Pan Stefan wracał z pracy zawsze bardzo zmęczony i głodny, myszkował w kuchni po garnkach sprawdzając, co dobrego ugotowała jego kochana żona, a bardzo lubił konkretne, mięsne potrawy. Pewnego dnia pani Halinka podała swojemu mężowi na obiad sporą łyżkę ziemniaków i zasmażaną kapustę. Pan Stefan usiadł nad talerzem bardzo rozczarowany, że tak skromnie, i zapytał swojej małżonki:

– To tylko tyła, Halinka?

A ona mu na to:

– Kopaj, Stefciu, kopaj!

I pan Stefan wykopał spod kapusty ukrytego tam mielonego sznycla.

Nusia wtajemniczona w podstęp pani Halinki, głośno się śmiała razem z nimi, a szczęśliwy pan Stefan zajął sznycelem, grożąc im palcem.

Wesoło było w ich domu. Nusia dostawała od pani Halinki kolorowe szmatki – ścinki materiałów (na ubranka dla lalek z makowin), które powstawały, gdy pani Halinka szyla ubrania dla swojej rodziny i zaprzyjaźnionych sąsiadek na maszynie z napisem Singer.

Nusię ogromnie fascynowała ta maszyna, która poruszana nogami pani Halinki rytmicznie turkotała, na kółku napędzającym szybciućko przesuwiał się cienki pasek, a igła na materiale dziergała równiutki ścieg. Nawet sobie obiecała, że nauczy się kiedyś szyc na takiej maszynie, ale jeszcze pani Halinka nie pozwalała jej spró-

bować, bojąc się, że maszyna się zepsuje, choć te Singera słynęły z niezawodności przez długie lata.

Pani Halinka pozwalała jej za to zrywać białe porzeczki w jej ogrodzie, którymi zajadała się ochoczo prosto z krzaka, krzywiąc się od kwaśnego ich smaku. Bawiła się też ze starym psem, biało-czarnym kundelkiem Ambo, którego łapki powykręcał reumatyzm i było jej go bardzo żal. Z coraz większą też wprawą pomagała robić masło, energicznie przesuważając kijek w drewnianej maselnicy, obserwowała, jak tworzą się grudki masła w pachnącej kwaśno maślanecie.

Nie zapomniała też przywitać się z uwielbianą przez nią krową Lalką, ostrożnie podrzucając jej liście cukrowych buraków albo nać z marchewki, aby jej mleko było jeszcze smaczniejsze. Stara Hania Mickiewiczowa pasażowała tę krowę na babciną skarpie, a Nusia siadała wtedy przy niej na trawie i słuchała niesamowitych opowieści snuty przez Hankę, przez co jej wyobraźnia nasiąkała magicznym światem baśni, ludowych podań, a czasem i zmyślonych przez Hankę historii.

Kiedy jednak Nuśka rzuciła babci pośpiesznie:

– Babciu, lecę do Białowásów! – babcia wiedziała, że szybko dziś swojej wnuczki nie zobaczy i domyślała się, że to nie tylko chodzi o jej dwie koleżanki Danusię i Krysię, z którymi lubiła się spotykać przy różnych okazjach, ale to był dzień, gdy pani Hela Białowásowa piekła chleb!

Nusia wpadła zdyszana na podwórko Białowásów. Przy studni stała spragniona krowa, wydając z siebie proszące muuuu... Pani Hela uwolniła z drewnianego studziennego wału stalowy łańcuch, który pospiesznie rozwijał się, głośno rzegocąc, a cynkowane wiaderko wtórowało radosnym dzwonieniem, objijając się o cembrowiny, by nagle – chlup w wodę... zatrzymać się.

Teraz pani Hela mocno przyparta do korby wału powoli nią kręciła, łańcucha znowu przybywało, a gdy ciężkie wiaderko pełne wody pojawiło się na powierzchni, zamrugały w nim słoneczne światełka, jakby tam pływały złote rybki.

Pani Hela przelała wodę do cebrzyka, z którego teraz krowa łapczywie piła. Nusia obserwowała wielki pysk krowy zanurzony w naczyniu i słuchała postękiwania i parskania zadowolonej Krasuli. Bardzo lubiła tę krowę, ale podobnie jak do innych zwierząt w gospodarstwie – konia, syczącej gęsi, a zwłaszcza indyka, który, wierzyła, że skacze na głowę na widok czerwonego koloru, zachowywała ostrożny dystans.

– Pani Helu, a gdzie Danusia?

– O, Nusia! Dawno cię nie widziałam, ...a w domu jest, pomaga, bo dużo roboty.

Murowany dom Białowásów stał obok drewnianej, krytej strzechą chałupy, w której kiedyś mieszkali rodzice pani Heli, ale poumierali i chałupa stała pusta, używano w niej tylko doskonałego glinianego pieca do wypieku chleba.

Nowy dom Białowásów był murowany, z dachówką, nieduży, zawsze bardzo czysto utrzymany. Za domem, w ogródku, rosły kwiaty, których intensywne kolory kontrastowały z bielą ścian i które latem wprost przelewały się przez drewniany płot, graniczący z głównym gościńcem wsi, przyozdabiając go gufrowanymi jak z bibułki główkami georginii, kielichami strzelistych malw i mieczyków, i jeszcze wielu kwiatów, które pani Hela bardzo lubiła, a których Nusia nie potrafiła nazwać. Było tam też kilka grządek z warzywami, takimi pierwszej potrzeby do posiłków – marchewka, pietruszka, trochę cebuli, czosnku i ogórków, spomiędzy których wyrastały wysokie łodygi kopru z baldachami aromatycznych nasion, w sam raz potrzebnych do ich ukiszenia. Przed domem zaś było spore podwórko ze studnią i zamykająca je w czworokąt całkiem spora stodoła, no i wielka, stara lipa, na której gniazdo uwił bocian i co roku donośnie klekotał, wychowując w nim kolejne ptasie pokolenie. W budzie przy stodole poszczekiwał pies uwiązany na łańcuchu, do którego Nusia bała się podchodzić; przypominał jej wilka z opowiadań Hanki Mickiewiczowej.

Zazwyczaj lubiła przesiadywać w kuchni w domu pani Heli. Najlepiej tam się wszystkim razem przebywało i gawędziło, podjadając to, co akurat przygotowała pani Hela. Stał tam przy ścianie drewniany biały kredens z kuchennymi naczyniami, pośrodku stół nakryty kolorowym, ceratowym obrusem, wokół drewniane krzesła, a z boku ława, na którą pani Hela mówiła ślubanek. Na parapecie spod białej firanki na świat zaglądała zawsze kwitnąca czerwono pelargonie w towarzystwie mirtów w glinianych doniczkach. W rogu kuchni stała kaflowa kuchnia węglowa z okrągłymi fajerkami, a ściany zdobiły wyszywane makatki. W sypialni zaś, na środku szerokiego łóżka, przykrytego kapą z frędzlami, siedziała kauczukowa lalka w falbaniastej sukni z czerwonego tiulu. Kiedyś Nusia nawet chciała się nią pobawić, ale Danusia zaprotestowała, że mama na to nie pozwala. Nad łóżkiem na kolorowym kilimie wisiał święty obraz przedstawiający Chrystusa nauczającego z łodzi, przybrany bibułkowymi różyczkami, a obok fotografia ślubna pani Heli i jej męża Józka. Oboje na niej jeszcze młodzi, ze śmiesznymi, na różowo pokolorowanymi ustami. Przy ścianie królowała wielka, trzydrzwiowa, drewniana szafa na odświętne ubrania. Tu, na drewnianych stojakach,

pyszniły się: mocno zielona paprotka o bujnych pióropuszcach liści i asparagus o zwisających gałązkach z drobnymi jak igielki listeczkami. Lekki półmrok w sypialni i zakaz wchodzenia do niej dzieciom powodował szczególnie tajemniczy nastrój.

Danusia i Krysia miały swój wspólny pokój. Oprócz tego było tylko pomieszczenie na spiżarnię i sień z szafą na obuwie i codzienną odzież.

– Hej, Nusia! – Danusia machała szczotką ryżową w ręce, z wyraźnym zadowoleniem, że widzi koleżankę. – Ale... nie pobawimy się teraz... bo ja muszę mamie pomóc... podłogę umyć – wołała do Nusi. – Chcesz, to posiedź przy mnie, to se chociaż pogadamy.

– No ale przecież jutro nie jest niedziela, a ty sprzątasz? – dociekała Nusia.

– A no, niedziela nie jest, ale przecie święto, to nie wiesz, że piętnastego jest Matki Boskiej Zielnej i ludzie z Kalwarii będą wracali? Trza posprzątać i nagotować. Polecimy jutro patrzeć, jak pielgrzymka idzie, co?

– No pewnie – odparła Nusia zadowolona.

Dobrze wiedziała, że co roku o tym czasie ludzie ze wsi idą na pielgrzymkę na Kalwarię i tam, jak opowia-

dają, odbywa się pogrzeb Matki Bożej, na pamiątkę jej śmierci, a potem Wniebowstąpienia. Bardzo chciała iść na taką pielgrzymkę, ale babcia jej zabraniała i wszyscy mówili, że nie da rady, że jest jeszcze za mała.

– Skończę myć podłogę, to pójdziemy do chałupy, bo matka chleb dziś piecze, wczoraj wieczorem widziałam, jak ciasto w dzieży zarabiała.

– No wiem, bo mi babcia mówiła, jak od waszej krowy rano mleko przyniosła.

– A, to ty do tego chleba przyleciałaś, a nie do mnie, już ja cię znam!

I obie głośno zachichotały.

Danusia wiedziała jak Nuśka uwielbia jeść maminy chleb, taki jeszcze ciepły, z pieca, i popijać świeżym mlekiem od Krasuli. A gdy jeszcze pani Hela masła dała albo śmietany, takiej, że ją można było kroić nożem, to była w siódmym niebie! Masło łagodnie topiło się na kromce, a śmietanę posypywała grubą warstwą cukru – a w ustach sama rozkosz!

Nusia przyglądała się, jak pani Hela formuje z zarobionego poprzedniego wieczoru, wyrośniętego w dzieży ciasta kilka okrągłych bochenków i układa je na dużej



stolnicy posypanej mąką, aby jeszcze wyrosły. A gdy podwoiły swoją objętość, posmarowała je wodą, aby ładnie błyszcząły i miały gładką skórkę po upieczeniu. Na koniec posypała je czarnymi ziarenkami maku.

Przed włożeniem bochenków do pieca pani Hela wygarniała z jego środka żar, a nawet miotłą dokładnie wymiatała jego resztki. Wyrosnięte bochenki kolejno kładła na okrągłą drewnianą łopatę wyłożoną dużym liściem kapusty, a potem bochenek ostrożnie, ale z wielką wprawą wsuwała razem z liściem do rozgrzanego pieca. Na pierwszym bochenku, który wędrował do pieca, pani Hela robiła znak krzyża, a przy tym podśpiewywała wesoło: – Rośnij chlebie, jak słońce na niebie!

Po półtorej godzinie chleb był upieczony. Pani Hela wyjmowała przez ściereczkę gorące bochenki i od spodu opukiwała je, na ucho już wiedziała, który jest już dobrze wypieczony, a który jeszcze musi wrócić do pieca i się dopiekać.

Nusi przypominało to opukiwanie pleców przez doktora, gdy miała zapalenie płuc.

– Nuśka! Chodź! Pójdziemy nad rzekę nazbierać kwiatków do wianków! – zawołała Danusia.

Nusia, najedzona talerzem ziemniaczanej zupy i wielką pajdą świeżo upieczonego chleba z masłem, z ochotą pobiegła za Danusią.

– Ale mi powiesz... które zbierać.

– No pewnie, że powiem, bo niby skąd masz wiedzieć, ty miastowa. Chodź na tę górkę, tam rośnie macierzanka, ma drobne listki, małe fioletowe kwiatuszki i mocno pachnie – zaraz ci pokażę... o... widzisz, te niebieskie kępkę. Zbieraj jak najdłuższe gałązki i od razu uwijaj wianek, wiesz, jak to się robi.

– No jasne... umiem... aha, oooo... ale pachną... dobra, to ty leć dalej, a ja tu posiedzę.

Nusia rwała gałązki macierzanki i co rusz wdychała zapach listków i fioletowych kwiatuszków, przebierała zgrabnie palcami, splatając niewielkie wianuszki, których końce zawiązywała cienką, ale mocną trawą. Zdjęła nawet sandałki, bo trawa na wzgórkę była tak puszysta, że aż się prosiła, aby chodzić po niej bosą.

– Hej, Nuśka, wystarczy... Lecimy nad rzekę... na miętę... tu już wystarczy!

Nusia zerwała się ochotczo i po chwili z wianuszkami macierzanki i sandałkami w ręce wędrowała za Danusią wzdłuż rzeki, wyszukując gałązek dzikiej mięty, której listki jeszcze bardziej pachniały. Nad rzeką miały utrudnione zadanie, bo mięta była wplątana w gąszcz wielu nadbrzeżnych roślin, a wśród nich brzęczały komary, różne muszki, czasami przysiadła niebieska ważka,

która przypominała Nusi mały helikopter, a po różnych listkach dzikich chabazi wędrowały biedronki i gąsienice.

– Hej, Nusia, uważaj na pokrzywy i zakładaj sandały, bo możesz nadepnąć na żabę – śmiała się, ostrzegając, Danusia.

Najdorodniejsza mięta rosła przy starym, nieczynnym młynie, Nusia lubiła zaglądać w jego tajemnicze wnętrze przez stłuczone szyby w oknach.

– A wiesz, Nusia, że tu, w rzece przy młynie, kiszą się ogórki?

– Jak to, kiszą się ogórki, a gdzie?

– A no, nie widać ich, bo one są zatopione w wielkich beczkach w tej rzece.

– A bujasz, Danusia, po co tak niby by było?

– No bo tam mają chłodniej w lecie, bo woda przecie zimna i podobno są bardzo smaczne po ukiszeniu.

Każda z nich miała już po kilka wianuszków uplecionych z macierzanki i mięty.

– No dobra, Nusia, wracamy, jeszcze po drodze na pastwisku nazbieramy rumianku, nauczę cię, który jest prawdziwy, a który nie.

Kiedy dotarły na pastwisko, Danusia zerwała główkę rumianku z wypukłym żółtym środkiem i białymi listeczkami. Rozerwała go na pół i pokazała Nusi:

– Widzisz... pusty w środku... ten jest prawdziwy, to ten, co to się go parzy suszony... na herbatę w chorobie.

– Aha... – westchnęła Nusia, wciągając miły zapach rumianku.

Nusia doskonale знаła ten rumianek, zaparzony razem z lipowym kwiatem zimową porą przez babcię, zwłaszcza gdy była przeziębiona. Bardzo smakował jej napar dobrze posłodzony miodem, ale nie wiedziała, że jest jeszcze jakiś inny rumianek i można go pomylić z leczniczym. Uplecenie kolejnych wianuszków nie sprawiło im żadnego kłopotu.

– No, Nusia, mamy już wszystkie wianuszki, ale mama się ucieszy!

I rzeczywiście, kiedy pani Hela zobaczyła je zarumienione od słońca, w kretonowych kwiecistych sukieneczkach, z naręczami wianuszków, aż zakrzyknęła radośnie:

– A co to, jakieś rusalki znad rzeki wróciły? Spisałyście się pięknie, dziewczynki! Chodźcie, jeszcze jabłkowca upiekłam i kompotu z jabłek mam, chodźcie, dostaniecie – zapraszała.

Nusia spałaszowała spory kawał ciasta z jabłkami, aż jej się uszy trzęsły, jak to mawiała babcia, widząc ją zaja-

dającą z apetytem. Chłodny kompot wystudzony w studziennej wodzie smakował wyśmienicie!

Nuśka wróciła do domu z wianuszkami, z czego babcia bardzo się ucieszyła:

– O, moja wnusia pamiętała, że jutro święto!

Nusia nie przyznała się, że to dzięki Danusi, ale cieszyła się z babcinej pochwały.

Babcia nawet nie zapytała, czy Nusia jest głodna, bo wiedziała, że od Białowasów wróci objedzona jak bąk.

Pielgrzymka

– Nuśka, no szybciej się wygrzeb, bo się spóźnimy. Pielgrzymka już idzie! – ponaglała Danusia.

Nusia jeszcze zapinała paski w odświętnych sandałkach, ale była już gotowa.

– Dobra, poczekaj tylko, bo jeszcze babcia bukiet mi szykuje. Wianki już powiązałam wstążką.

– Na masz, Nusia, gotowe.

Babcia podała Nusi bukiet z ogródkowych bordowych georginii, żółtych nagietków, różowego mieczyka, z gałązek szalwii o aksamitnych listkach, a w środek bukietu wetknęła na patyczku małe rumiane jabłuszko.

Nusia porwała bukiet i pobiegła za Danusią. Biegły z duszą na ramieniu, bo już od strony Przemyśla słychać było śpiew pielgrzymów wracających z Kalwarii, a gdy dopadły głównej drogi prowadzącej do kościoła w Radzymnie, już maszerowali nią pierwsi pielgrzymi – zmęczeni, ogorzali od słońca, z kolorowymi chustkami na szyi, śpiewający maryjne pieśni.

– Zdrowaś, zdrowaś, zdrowaś Maryja! – niosły się śpiewane słowa nad drogą i płynęły do miasteczka i do Skoszowa.

Nusia, kiedy zobaczyła pielgrzymów o przejętych, rozmodlonych twarzach, na czele których młody chłopak niósł drewniany krzyż przybrany bukietem białych astrów, z zawieszonym na nim wiankiem z różnych ogrodowych kwiatków, a dalej kołyszący się nad licznymi głowami sztandar ze wstążkami, z wizerunkiem Maryi, szybko zamrugła oczami, bo łzy wzruszenia same się pchały, a nie chciała ich pokazać zawsze twardej Danusi. Przyciskała babciny bukiet i wianki do piersi, jakby się chciała za nimi schować.

Uciekała wzrokiem poza pielgrzymów, opuszczała go na ziemię, kluczyła oczami pomiędzy nich, aby ich nie widzieć, ale pieśń rozpędzała jej serce do granic wytrzymałości, aż zagryzała wargi do bólu, by powstrzymać te wstydlive łzy.

Biegła z Danusią wzdłuż kolumny pielgrzymów, która dziarsko maszerowała do kościoła. A od strony ko-

ścioła słychać było bicie dzwonów i coraz więcej ludzi ze wsi i miasteczka przyłączało się do pielgrzymów.

Przed kościołem na pielgrzymów czekali też wierni.

Danusia dojrzała wśród pielgrzymów starszą siostrę Krysię i energicznie do niej machając swoim bukietem kwiatków, wołała ją:

– Krzysia, Krzysia!

A ona zobaczyła je obie z Nusią, wyjęła coś z kieszeni i podała Danusi ze słowami:

– To dla ciebie i Nuśki, kamyki ze świętej rzeki z Kalwarii, to na pamiątkę i na szczęście!

Danusia uradowana podzieliła się z Nusią kamykami. Nuśka ścisnęła teraz kamyk w dłoni, a paznokcie wbijała w nadgarstki, bo znowu łzy tłoczyły się pod jej powiekami, gdy zobaczyła wielki tłum ludzi pod kościołem, feretrony, figurki świętych, kościelne chorągwie, panny odświętnie ubrane – wszystko gotowe do procesji wokół kościoła, a nawet kramarzy, którzy przywieźli na odpust stragany z licznymi świecidełkami i różnymi drobiazgami. Dzwony mieszały się z pobożnymi pieśniami w jedną wielką radość i wprost niebiańskie szczęście, a Nusia chowała się za filarami przykościelnej dzwonnicy, by nikt nie zobaczył, jak jej łzy pokonały wszystkie przeszkody i teraz płyną wartko po jej opalonej buzi.

Nusia lubiła ten kościół, bo tu ślub brali mama i tata, i ona była tu chrzczona.

Nie mogła tylko uwierzyć, że wieziono ją wtedy do chrztu furmanką z konikami.

Mama chciała, aby nazywała się Anna Maria, ale ksiądz powiedział, że Maria jest ważniejsza i ochrzcił ją Maria Anna. Jak szła do Pierwszej Komunii, to widziała na zaświadczeniu o chrzcie, że miała zapisane Maria Anna, czyli – rozmyślała – jestem przed Panem Bogiem Maria, a w urzędzie Anna.

Ksiądz zawierzył ją wtedy Matce Bożej przy bocznym ołtarzu z Jej świętym obrazem i od tamtej pory Maryja jej zawsze pomaga, tak zapewniała ją mama i na pewno miała rację.

Pielgrzymi weszli do kościoła aż pod sam główny ołtarz, rozpoczęła się uroczysta Msza święta, podczas której ksiądz, nie żałując wody święconej, poświęcił, kropiąc wielkim kropidłem, wszystkich ludzi i przyniesione zioła, bukiety kwiatów, owoce. Uspokojona już Nusia stała ściśnięta przez tłum ludzi w kącie kościoła ze swoim bukietem i wianuszkami, ale poczuła na nosie krople święconej wody.

Po mszy odnalazła ją Danusia, bo rozdzieliły się nagle w tłumie.



– Hej, Nuska, znalazłaś się! Gdzieś mi się to zgubiła? O, oczka masz zacerwienione... jak wiejska płaczka! – śmiała się. – Chodź, kupimy coś na kramarzach.

– Ale ja nie mam pieniędzy.

– Nie martw się, ja kupię torebkę tych cukrowych rybek, to zjemy razem.

Obie gapily się na skarby wystawione na straganach – piłeczki z kolorowego celofanu wypełnione trocinami, podskakujące na gumce, pistolety na kapiszony i korkowce, ślazowe czerwone okrągłe lizaki, wianki białych dmuchanych precli i ciasteczek z kolorowymi bibułkami nazywanych całuskami, piszczalKI – koguciki, papugi z pokolorowanych kurzych piór, małpki, małe lusterka z fotografiami zagranicznych aktorów, plastikowe myszki chowające się w pudełeczku jak od zapalek, a nawet z czarnej gumy diabełki z czerwonymi rogami, które, gdy się nacisnęło, wystawiały czerwony język. Najbardziej jednak podobały się Nusi mieniące się złoto pierścionki z niebieskim albo czerwonym oczkiem, zawsze marzyła o takim.

Wróciły do domu drogą na skróty – wzdłuż rzeki, przeszły na drugą jej stronę przez kładkę, a potem już w stronę babcinego domu.

– Nusia! Ja nie pójdę do ciebie! Lecę do domu na obiad, a i pewnie Krzysia zaraz wróci z kościoła, to będzie opowiadać o pielgrzymce, ciekawa jestem, może i ja za rok pójdę – oznajmiła Danusia.

– Dobra, leć, ja muszę do babci wracać, bo u nas też zaraz obiad będzie.

Nusia, zmęczona i zgłodniała, chętnie wróciła do domu.

Babcia pochwaliła wnuczkę, że tak pięknie się spisała, poświęcone w kościele wianuszki powiesiła na drzwiach domu na specjalnie tu wbitym gwoździu do zasuszenia, aby strzegły domu i domowników od złego, a poświęcony bukiet postawiła we flaconie na stole nakrytym świątecznym obrusem.

Okazało się, że wujek Adam też był w kościele na mszy i zrobił Nusi niespodziankę – kupił jej na straganach ciasteczkowe całuski, czerwoną piłeczkę na gumce i śmieszną małpkę z króliczego futerka w małym kapelusiku na głowie, ale Nusi się nie spodobała, przypominała jej bardziej diabełka niż małpkę. No i zamiast tego wszystkiego wolałaby pierścionek...

Opowiadania pochodzą z książki pt. „Nusia”

„ŻYCIE (U)DAJE SZKOŁĘ”

Rafaello

Rafał podobał się sobie. O tak! Miał duszę uwodzącego i narcyza, który ciągle kwitnie i samoczynnie się podlewa. I cieszył się niezmiernie, że rodzice uchronili go od męki noszenia imion niegodnych lub ponurych jak noc. Bo gdyby musiał zostać jakimś Hermanem, Adolfem czy – nie daj Boże – Alfonsem... Wiadomo, że etykieta wyznacza powodzenie towaru, a klient(ka) nie stroni od pierwszego wejrzenia.

Z rozmyślań wyrwał go widok mijanej na chodniku dziewczyny. Jej oczy zdawały się rozjaśniać odchodzący ku wieczorowi dzień. Biła z nich jakaś jasność i ciepło, świeżość życia z wiosną pod rękę. Rafał stanął naprzeciw niej i przez moment oboje odkrywali siebie. Wiedział, że robi na dziewczynach wrażenie i ze zwykłą pewnością siebie odezwał się do nieznanym.

– Chyba przeznaczenie nas postawiło na swojej drodze. Wierzę, że to spotkanie nie jest zwykłym przypadkiem. Nie uważasz?

– Być może to przeznaczenie. Ale to jeszcze wcale nie musi oznaczać czegoś dobrego. Nieraz przeznaczenie działa na przekór.

– Chyba żartujesz! A poza tym zbyt filozoficznie podchodzisz do rzeczy. Takie zbiegnięcie się dróg nie może być czymś złym. Ale przede wszystkim powinienem się przedstawić. Jestem Rafał.

– Ilona Kwiatkowska.

– Ilona to ładne imię. Oboje mamy przyjemne imiona, nie uważasz?



– Co znaczy przyjemne imię? Przecież ono niewiele znaczy. Może być święty Rafał, ale też zbrodniarz o tym imieniu.

– Wiesz co? Czy to miejsce i pora na takie słowa? To nasze miłe spotkanie nie zasługuje na tego typu prztyczki. Taka ładna dziewczyna i ja... Nie uważasz, że tworzylibyśmy piękną parę?

– Wiesz, ja nie lubię pustych zdawkowych rozmówek! Nie traktuj siebie i mnie jak pejzażyków, które pasowałyby na różową ścianę. To płytkie i tandetne. Nie pasuję do twojego modelu.

– To niemożliwe. Dziewczyna o takich łagodnych, słodkich oczach, a taka...

– Nie mam czasu na tego typu przekomarzania się i puste gadki. Wystrzegaj się słodczy – Rafaello!

Został na chodniku zdumiony, patrzył jak szybko się oddala. Jeszcze nie wierzył. Czyżby jego urok przestał działać? Dotąd coś takiego mu się nie zdarzyło. I nagle doznał dziwnego olśnienia, stanął w centrum sugestywnej wizji. Popatrzył jakby jej oczami, przeżył to jeszcze raz... z drugiej strony. Prawdziwy bubek. Jak można być takim niesamowitym bufonem? Patrzył jakby na siebie i był sobą jednocześnie. I niesamowita sprawa! Nie mógł siebie znieść! Drażnił sam siebie na każdym kroku. Czy to możliwe, że jeszcze niedawno był tak z siebie zadowolony, pełen dobrego mniemania? Z czasem to nagle doznanie zaczęło przeradzać się w drażniący koszmar. Miał już dość tego i takiego siebie, takiego... jakim był, jakim jest.

Wtem ocknął się. Znow wszystko zdawało się wyglądać jak dawniej. A jednak nie. To pozostało. Jakaś cząstka nieustępliwa drążyła go teraz, towarzyszyła mu odtąd dzień w dzień.

Paulina adorowała go wyraźnie. Mógł znow poczuć się w swoim żywiole. Coś go jednak wstrzymywało, blokowało. Jakby utracił część siebie. Odczuwał coś nieszczerego, złego w dawnym beztroskim luzie i lekkim traktowaniu pańienek. Coś go do tej wypowiedzi popchnęło. Czuł to wyraźnie. Jakiś wewnętrzny szept, głos. A może to jakieś nowe ja, które nałożyło się na dawne, chciało je zastąpić...? Powiedział coś dziwnego – dla siebie i dla Pauliny w równym stopniu:

– Wiesz, Paulina? To nie ma sensu, naprawdę nie powinniśmy. Wiem, że Dominik cię kocha, że tworzyście

tak zgraną, rozumiejącą się parę. Zepsucie tego przyniosło tylko niepotrzebne cierpienie wszystkim: tobie, Dominikowi i mnie. Pozostańmy kolegami, dobrymi kolegami... Wszyscy troje. Dobrze?

– Ja... nie wiem co powiedzieć, Rafał. To takie... zaskakujące w twoich ustach. Ale chyba to... mądre i słuszne. Teraz dopiero zdałam sobie sprawę, co robię, co chciałam zrobić... Cześć! Na razie, Rafał! Dziękuję! Bardzo ci dziękuję...!

Nagle został sam. Poczł się dziwnie zadowolony, lekki. Chyba zrobił coś tak, jak powinien. I chyba zaczął sobie to uświadamiać. W dodatku to było tak... Nie wiedział, jak mógłby to określić. Nagle zauważył czyjś uśmiech – piękny i szczery – z oddali. Jakaś dziewczyna spojrzała na niego tak pogodnie i przyjaźnie, ale bez tej jakiejś uwodzicielskiej kokieterii. Oddaliła się szybko, ale poczuł jakby mrugnęła porozumiewawczo, bezgłośnie szepnęła: – To na razie! Wkrótce się spotkamy.

Ależ tak, jak mógł jej nie poznać. Dopiero teraz, kiedy już jej nie było, poznał ją bez cienia wątpliwości. To jedyny w swym rodzaju promienny uśmiech Ilony.

Bójka

Po ostatniej bójce w szkole Kamil był stale pod obserwacją i wiedział, że musi się niezwykle pilnować. Następna taka podpadka oznacza wylot ze szkoły. A przecież to nie była jego wina. Bić się nie lubił, ale nie mógł inaczej. No bo przecież... Trzeba by rzecz zacząć od początku. Od tamtego dnia, kiedy poróżnił się z Sylwią.

Oszukała go bezczelnie, przepisała jego pracę, choć prosił, aby nie ściągała dosłownie. No a potem, kiedy akurat ich wypracowania zostały wzięte do poprawy i wszystko się wydało, zapytana o prawdziwego autora pracy, powiedziała, że to ona ją napisała. Wiedziała, że Kamil nie wyjawia prawdy, przyjmie bity na siebie. I tak było: dostał jedynekę i długie pouczenie o uczciwości. Pomyslał jednak, że nic nie boli bardziej niż zawód doznanym od lubianej osoby. Bo cóż tam jedyneką, na którą nie zasłużył, i te krzywdzące go słowa. A może jednak trochę zasłużył na to? W końcu dał Sylwii odpisać pracę, a więc... nie był uczciwy. Albo raczej pozwolił jej na nieuczciwość.

Zaraz po lekcji próbowała się usprawiedliwiać, wytłumaczyć. Nawet nie słuchał.

– Sylwia, daj spokój. Słowa niczego nie zmieniają...

– Ale... Ja to naprawię. Zobaczysz. Jeszcze w tym tygodniu.

Odszedł, nie chciał teraz słuchać, nie chciał nic mówić. To była ich tajemnica, nikt w klasie nie wiedział,



nie znał przyczyny nieporozumienia między tak świetnymi dotąd kumplami. Teraz może kogoś zdziwiło ich nagłe, bezceremonialne rozstanie, ale znowu nie doszło do niczego nadzwyczajnego, niczego, co byłoby godne szkolnej telenoweli.

Parę dni później jednak niespodziewanie dla Kamila „afery ściągową” wróciła, została przywołana. Na korytarzu natknął się na Mariana, który rywalizował z nim o miano najlepszego ucznia w klasie.

– Strasznie ściemniała dziś na historii, co Kamil?

– No, nie tak zupełnie, ale fakt, że zamotała się w dwóch miejscach. I mam takie wrażenie jakby chciała uniknąć oceny Powstania Warszawskiego, zauważyć tych skrajnych odwołań do niego – na przykład krytycznego podejścia prezydenta Stalowej Woli Szczęzaka.

– To i tak łagodnie to oceniasz, dla mnie to ściema totalna.

– Ja zwykle unikam takich kategorycznych określeń. Jeśli coś takiego określasz mianem „totalnej”, to jakbyś określił jakieś kompletne brednie, dyktando...

– Dobra, mniejsza o to. Każdy ma swoje zdanie i próżno byśmy się przekonywali. Zresztą dla nas to jakiś problem, ale dla większości klasy żaden, im zwisa, co mówiła Żwirska. Na przykład takiemu Konradowi, Renacie czy... Sylwii.

– Dlaczego akurat Sylwii? Przywołałeś ją tu złościwie? Mogłeś kogoś innego, wiedząc, że z nią kumpluję.

– Przyznasz chyba, że Sylwia umysłem humanistycznym to nie jest. Zresztą ścisłym także. Żadnym umysłem, rzekłbym...

– Przymknij się! Teraz już wiem, że wymieniłeś ją celowo. Nie wiem tylko do czego zmierzasz, może po prostu chcesz po pysku?

– Czemu jej tak strasznie bronisz. Nieprawdy nie powiedziałem, a ty nie masz specjalnie ostatnio powodów, by jej bronić.

– A niby to dlaczego? O co ci właściwie chodzi?

– Przecież załatwiła cię na polskim! Tak, wiem o tym. Nie powiem ci skąd. Po prostu wiem. Zachowała się jak ostatnia...

– Stul pysk! Ostatni raz ostrzegam cię. To nie twoja sprawa i nikt cię nie prosił o opinię. Nie skłócisz mnie z Sylwią, choćbyś nie wiem jak się starał.

– Głupia suka. Jakby mnie tak wyrolowa...

Nie skończył, bo w tym momencie dopadła go szybka pięść Kamila. Uderzył go jeszcze dwa razy, po czym odszedł, zostawiając zwinętego w pół Mariana. Nie widział nic obok siebie i za sobą. Szybko zniknął za rogiem, a potem niemal biegiem udał się do domu. Tymczasem bardzo szybko wokół miejsca zdarzenia zrobiło się zbiegowisko. Kilku chłopaków pochyliło się nad Marianem, nadbiegł zaraz dyżurujący na tym piętrze nauczyciel fizyki Spatkiewicz. Nauczyciel samego zdarzenia nie widział, nieco się spóźnił. To trwało może trzy sekundy, już po fakcie zorientował się, że do czegoś doszło, zresztą zbiegowisko uczniów na to wskazywało.

Obniżone zachowanie, nagana na szkolnym apelu i „obietnica”, że po następnej podpadce wylatuje ze szkoły – takie były efekty bójki. Nie bronił się, nie próbował obarczyć odpowiedzialnością Mariana. Tamten zaś powiedział, że tylko rozmawiali i nie rozumie nagłej reakcji kolegi – może coś mu się nie spodobało w tym, co powiedział, ale nie chciał niczego złego powiedzieć. Nie został ukarany, przecież był poszkodowany, „niewinnie cierpiał”. Szybko zaczęła krążyć prawdopodobna wersja wydarzenia, opinia o przyczynie bójki. Chodziło pewnie o ich rywalizację „na stopnie”, chęć zostania najlepszym w klasie uczniem, zdobycia nagrody. Ostatnio jakby ciut lepiej stał z ocenami Marian, więc... Nie próbował nawet się tłumaczyć, obnażać głupoty takiego rozumowania, które chyba i niektórym nauczycielom odpowiadało. Po co? I tak jak ktoś sobie coś umyśli, to będzie swoje urojeńskie powieści. Zastanawiał się tylko, czy sam Marian miał z tymi bredniami coś wspólnego, jakoś je wywoływał. Jakby wierzył w tak popularne spiskowe teorie dziejów – uśmiechnął się w duchu – to jeszcze bym pomyślał, że on to specjalnie wszczął, by mnie załatwić i tę naszą rywalizację wygrać. Ja tam w tak popularne w narodzie brednie nigdy nie wierzyłem, więc i do tego podchodzę z sarkazmem i ironicznym grymasem. Ale kto wie, może Marian jest takich teorii zwolennikiem...?

Sylwia czekała na niego przed szkołą. Uśmiechała się i patrzyła jakby z lekką niepewnością, ale i wdzięcznością, zrozumieniem. Chciała coś powiedzieć, jednak Kamil położył jej dwa palce na ustach. Spojrzeli sobie w oczy i chyba rzeczywiście słowa nie były im potrzebne.

Przynajmniej teraz. Objął ją lekko i poszli przed siebie spokojnie. Gwar szkolny powoli cichnął, a ławeczka nad rzeką, na której lubili przesiadywać, jakby na nich czekała wabiąc zielenią niedawno położonej farby.

Pęd do wiedzy

– Wiedziałem, że tak będzie! Powiedział do siebie w kabaretowym duchu Leon Ziółko. No bo przeczuwał, że szkolne początki przyniosą mu tyle mniej więcej radości, ile czyrak w pewnym popularnym miejscu na ciele, którego pozbyć się za nic nie mógł. Czyraka, rzecz jasna, a nie tego miejsca. Kiedy wybierał się na studia, myślał tylko o historii, która go pasjonowała. Nie wyobrażał sobie, że po studiach będzie musiał zmierzyć się z rozwydrzoną bandą, którą ku dawnym czasom tak samo ciągnęło, jak do jakiegokolwiek wysiłku umysłowego. Bezmyślne gapienie się w ekranik komórki, łączenie się z nudów i pisanie bzdurnych esemesów – to jedyna pasja poznawcza, jaką u nich zauważył. Wszystko ich nudzi, wszystko męczy, nic im się nie podoba... Prawdziwa męka żywota leniwców. Sam wprawdzie skończył szkołę niedawno, ale był uczniem elitarnego Liceum Ogólnokształcącego im. Williama Szekspira w stolicy. Tam wszyscy byli pasjonatami, wybitnymi młodymi ludźmi, którzy chłonęli wiedzę i szukali ciągle dla siebie nowych wyzwań. Owszem, wiedział, że tak nie było wszędzie. I nawet miał okazję zetknąć się z wieloma przeciwnymi „szkolnikami”. Ale to było spojrzenie jakby z innej perspektywy, przy innej okazji, gdy pasje poznawcze nie były aż tak ważne. Teraz zasmakował tej pracy, która sama w sobie była dobijająca. Zanim się pomyślało o uczeniu, motywowaniu do wiedzy uczniów, trzeba się było zmierzyć z całą tą machiną biurokratyczną, światem pozorów, który i w tym zawodzie rozplecił się zaiste imponująco. Potem jeszcze pewien dystans, niechęć ze strony starszych kolegów po fachu, sztuczne podejście dyrektorki – oświatowej urzędniczki... No i wreszcie ów uczniowski pęd do wiedzy, a raczej od niej, połączony z kulturą na miarę stadionowego fana i szacunkiem dla innych niczym u ulicznego bejsbolisty.

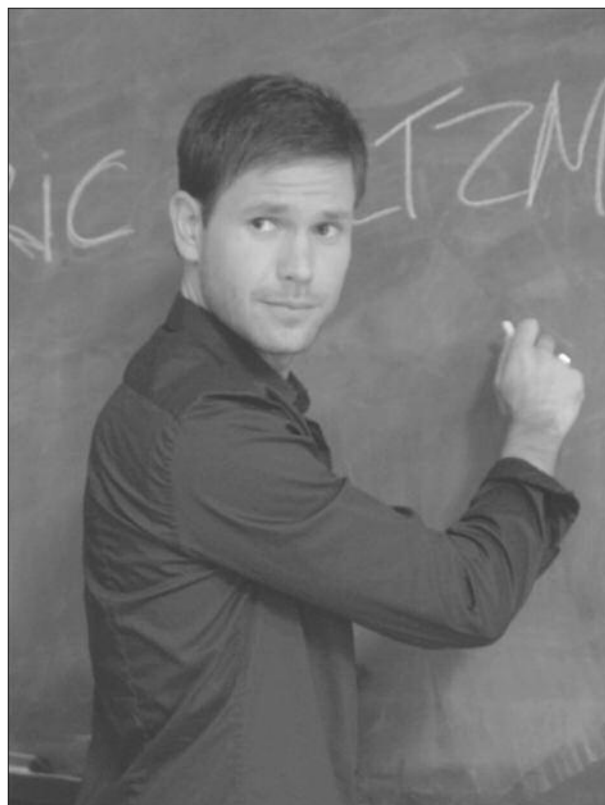
Ta świadomość przyszła dość szybko, niepotrzebne były długie obserwacje, analizy. Niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że przekazywanie wiedzy to rzecz drugorzędna. Najważniejsze zadanie to dotarcie do klasy. Jeśli będzie zbyt łagodny, równy – zjedzą go żywcem. Najwidoczniej dobroć, serdeczność ich drażni, działa jak płachta na byka. Są bez litości i wykorzystają wszelką słabość – także taką, jak bycie dobrym. Przy tym niczego nie będzie w stanie ich nauczyć. Ale zbyt surowym także

być się nie da. Przecież to uczniowie mają większość praw i mogą się niczym nie przejmować, a i tak on będzie przez wszystkich winiony. Nauczyciel odpowiada za uczniowskie nieuctwo, lenistwo, brak zdolności... W zrozumieniu tej prawdy pomogli mu starsi nauczyciele. Wątpliwe, czy kierowała nimi dobroć. Już prędzej chcieli go odstraszyć od tego zawodu albo przynajmniej uświadomić mu, w co się pcha, że to nie jest lekki chlebek.

Pierwsze lekcje wiązały się z wątpliwościami typu: – czy orangutany bądź pawiany (ekspertem w tym przecież nie był) da się nauczyć historii? Czy w ogóle cokolwiek da się je nauczyć? Po paru miesiącach nauki i różnorodnych próbach zainteresowania (daremne żale, próżny trud...), wpłynięcia na ambicję (jej śladów nie stwierdzono), zastraszenia (zupełny brak środków) czy zaimponowania im (musiałby znać parę chwytów karate zamiast paru tysięcy dat), wiedział na pewno: nie da się. Cóż więc robić: nie przejmować się ani uczeniem, ani losem tej zgrai, która nic „nie czai”? Ale przecież to jego będą rozliczać z wyników, a ich brak uznają za dydaktyczną słabość, brak nauczycielskiego powołania. Może uciec z tego zawodu (dobre określenie – to wręcz „duży zawód”) lub poszukać takiej szkoły, w której jego uprawianie ma sens? To drugie wymaga mnóstwa szczęścia, a może też pewnych układów, znajomości. Zawodowy talent (tylko niby jak tu miał go dowieść?), oceny na dyplomie, kwalifikacje – te zbyt wielkiego znaczenia nie miały. A zmiana zawodu? Całe to wieloletnie wykształcenie ma być zatem w ogóle nieprzydatne? Zresztą i tu wielkiego wyboru nie ma: albo znowu zacznie się kształcić, nauczy się czegoś innego, albo zajmie się czymś, co wielkich kwalifikacji nie wymaga i zbyt popłatne nie jest (tu pomyślał, że pod tym względem bycie nauczycielem też trudno uznać za intratne zajęcie).

Z czasem zauważył i inne zawodowe „profity”. Tu właściwie każdy ma go za nic: uczniowie, rodzice, dyrektor, władze powiatowe i kuratorskie, minister, rząd... I każdy mówi coś o powołaniu, misji, szlachetnej profesji. Obłudne, puste słowa, które chyba są jedną wielką kpinią. Nie, zbyt długo nie zagrzeje tu miejsca. Postanowione...

Artur Dmowski początkowo wydawał mu się jeszcze jednym ze stada. Może tylko mniej rozwydrzonym, prostackim okazem – raczej leniwym ignorantem, który historię miał gdzieś (no, może tkwiła tylko w jego nazwisku). Ale zdarzyła się jedna wyjątkowa lekcja, na której objawił swą drugą twarz. Leon był wystarczająco zniechęcony do uczenia po sprawdzianie, który podsumowywał zakończoną epokę starożytności. Zakończoną przez niego, bo przez uczniów zdaje się nawet nie roz-



poczętą. Wiedza (a raczej niewiedza) klasy, którą mu powierzono, wskazywała wręcz na to, że jego przedmiotu nie umieszczono w zestawie programów. Bo przecież oni nic nie umieli, a te szczątkowe poprawne odpowiedzi to albo wynik zwykłej zgadywanki, albo jakieś śladowe pozostałości nauki historii w szkole podstawowej czy w gimnazjum. Spróbował jeszcze zapytać jednego czy drugiego o coś, ale „historia się powtarzała” – poza paroma głupimi odzywkami, świadczącymi o locie intelektu tak niskim, że godnym nielota, nic nie usłyszał. Kiedy zrezygnowany zaczął Artura (zapewne jako ostatniego z wybranych), udało mu się wydobyć z niego początkowo parę faktów, potem trochę więcej. Postanowił prowokacyjnie wypowiedzieć kilka zdań z błędami historycznymi i kazać mu to potwierdzić. Dmowski wytropił wszystkie te pułapki, a potem się rozkręcił i wskazał na pewne wątpliwości, sprzeczności tkwiące w różnych źródłach. Koledzy Artura aż rozdziawili paszczęki, bo tego po nim (zresztą po nikim w klasie) się nie spodziewali.

Po lekcji Leon Ziółko zatrzymał Artura i postanowił sobie z nim porozmawiać. I w tej rozmowie sam na sam poznał nowego ucznia: odczytanego, rozsądnego, potrafiącego się ładnie wysłowić. Tak jakby zupełnie nie był z ery komórek i smsów. Nie kojarzył jeszcze tak dobrze wszystkich swoich uczniów i pomyślał sobie: jak ktoś mający tyle wiadomości mógł tak fatalnie napisać sprawdzian? Okazało się, że Artura nie było wtedy w szkole –

podobnie jak chyba ośmiu innych uczniów. Przejrzał dokładnie dziennik i odkrył, że to była jego jedyna nieobecność jak dotąd. A więc skrzywdził tego chłopaka, wrzucając go do jednego worka z innymi, a rozmowa wykazała, że raczej unikał on okazji do popisywania się wiedzą przed taką klasą. Klasy jednak nie chce zmieniać, inne nie są i tak o wiele lepsze. Ale zna dwóch chłopaków z innych klas, którzy mają podobne zainteresowania. Nawet spotykają się od czasu do czasu, w tajemnicy przed resztą klasy, żeby pogadać, wymienić poglądy, podrzucić sobie ciekawe książki. Leon zaproponował rodzaj nieformalnego, przynajmniej na razie, kółka historycznego... Sądził, że Artur odmówi, nie zechce nauczycielskiego pośrednictwa. On jednak zgodził się chętnie, nawet w imieniu swoich kolegów. Doceniał wiedzę swojego nauczyciela i wiedział, że ten też nie ma jak rozwinąć skrzydeł.

Leon Ziółko wciąż nie wiedział, co zrobi. Czy męczyć się przez kolejne lata, popaść w bylejąkość i pogodzić się z perspektywą ciągłego użerania się z uczniami, słuchania ich prymitywnych odzywek? Czy te dodatkowe zajęcia z trzema uczniami (które zresztą były coraz ciekawsze i przynosiły efekty) wystarczą, by zapomnieć o całej reszcie? Historyk wciąż nie podjął decyzji, ale teraz przynajmniej miał wątpliwości, widział obok minusów jakieś plusy. No i czuł, że jest historykiem, a nie treserem, pogromcą dzikich zwierząt. Przynajmniej od czasu do czasu, przez parę godzin w tygodniu dla trzech uczniów...

Projekt

Artur znowu poczuł się przegrany, przeżył prawdziwy zawód. Kolejny jego projekt nie został doceniony przez polonistkę Klewnicką. A włożył w to sporo wysiłku, starannie rzecz obmyślił, zdobył ciekawe artykuły, unikatowe wydania książek do swojej bibliografii. To naprawdę nie było łatwe. A mógł, jak wielu, po prostu kupić gotowca albo zdać się na kolegów, którzy tworzyli z nim grupę projektową. Tym bardziej, że był w niej Wiktor – wzorowy uczeń i pupilek dyrekcji (a więc i Klewnickiej). Ale zrobił to sam, ambitnie, i okazało się, że za bardzo sam i za bardzo ambitnie.

Te wszystkie sztuczki, które stosował Szymek w szkole niekiedy wydawały mu się maksymalnym przebiegiem. Przecież on wszystko totalnie olewał i w dodatku bajerował nauczycielkę, wymyślał niestworzone historie. Dla Artura jego wyjaśnienia, tłumaczenia i cały ten bajer hochsztaplera wobec Klewnickiej to istna kpina, nabijanie się z niej. Nie odczuwała tego zapewne jedynie z tego powodu, że nie miała takiej wiedzy, jak koleżdy Szymka z klasy, nie słyszała, co do nich mówi,

jak się popisuje swoim cwaniactwem. Artur nie lubił takiego fałszu, dla niego to chamskie zagrywki, a nie jakaś szkolna gra, sztuka kombinowania. Cenił sobie honor, a to akurat było zaprzeczeniem takiej wartości. Niemniej jednak jego projekt został odrzucony, a Szymka przyjęty. Mimo że tamten nie włożył w to żadnego wysiłku, nic nie zrobił uczciwie.

Artura zdumiewała ta powszechność oszustwa, kłamstwa – nawet u osób z kręgów oazowych, należących do organizacji kościelnych. Jednocześnie nie mógł zrozumieć, że jego koledzy nie uważali nawet tego za coś złego, w ogóle nie obciążało to ich sumień, które działały wybiórczo i przyzwalały na to, co dla kogoś wygodne. W zasadzie został wychowany w takich samych warunkach, rodzice starali się pokazać jak przez życie iść uczciwą drogą, że należy uznawać w swoim życiu takie wartości jak prawda, szczerść, życzliwość. I on je przyjmował, wierzył w ich słuszność. Tymczasem jego koledzy te wartości wyśmiewali, podważali, kiedy tylko im w czymś przeszkadzały, coś utrudniały. Szczerść to dla nich tylko wygarnięcie komuś, że coś źle zrobił, szkalowanie go. Ale jakby tak o nich ktoś coś powiedział, chciał ujawnić prawdę – to „w zęby” albo w krzykiem na niego. A więc powszechne stało się ściąganie na lekcji, także z użyciem komórki, i wypieranie się tego w żywe oczy albo wręcz wyklócanie się (z jednoczesnym zaprzeczaniem i twierdzeniem, że inni też to robią, a nauczyciel nie widzi – logika po byku). Nie rozumiał też tego nachalnego dopominania się o wyższe oceny na samym finiszu, przy końcu semestru czy roku. Oczywiście w sytuacji, gdy ktoś na to sobie absolutnie nie zasłużył. Większość takich osób nie chce się nauczyć i zaliczyć, tylko wyklócić, wypiskować ocenę końcową, która i tak jest za wysoka, biorąc pod uwagę, że niemal wszystkie oceny cząstkowe pochodzą z oszustwa, są efektem kręctwa, odpisywania, zostały naciągnięte...

On tego nie robił, nie chciał być oszustem szkolnym, mimo że oczywiście na tym tracił. Wielu nauczycieli nie chciało, nie potrafiło, może nie mogło rzetelnie ocenić prawdziwej wiedzy. Zresztą czy to było możliwe przy tak niskim poziomie wymagań i takiej powszechności oszustwa, rozmaitych przekrętów? Ale im powszechniej tak się działo, tym stawał się bardziej zawzięty w swojej uczciwości, tym bardziej brzydził się tego typu procederem. Początkowo go wyśmiewano, potem odsuwano się od niego, nawet próbowano szykanować (bo chyba jednak ta jego uczciwość stawała się pewnym „wyrzutem” dla kolegów – jeśli oszustwo jest powszechne, to przestaje się być oszustem; tak zapewne zdawali się rozumować czy czuć



wszyscy). Ale był dla kolegów zawsze życzliwy, nie zwykł kablować (tym też się brzydził), więc z czasem jakoś zaakceptowano jego „wadę”, uznano za dziwaka, któremu trzeba pozwolić na kulturowanie jego dziwactwa.

Projekt postanowił też zrobić bardzo ambitnie, samodzielnie, czyli zupełnie inną metodą niż koledzy. Nie liczył także na kumpli ze swojej grupy. Nawet wzorowy Wiktor nie robił tego całkiem uczciwie, wiele rzeczy ściągnął i nie przyznawał się do tego. Ale on miał wyrobioną markę, jego nikt nie podejrzewał. Czy to jednak mogło obchodzić Artura? Wiktora sprawa, jak to robi, niech się sam ze swoim sumieniem rozlicza. Na szczęście była możliwość zrobienia w obrębie grupy indywidualnych projektów, które mieszczą się w jakimś ogólnym, wyznaczonym dla całej grupy zakresie tematycznym. I on postanowił z tego skorzystać. Pozostali podpisali się, rzecz jasna, pod Wiktora. Wiedzieli, że Artur jest za uczciwy, poza tym Wiktor i tak zostanie lepiej oceniony, zawsze tak jest. Oni więc skorzystają na takiej spółce.

Klewnicka oczywiście forowała Wiktora. Nawet jak miała jakieś zastrzeżenia, to ujmowała je jako wskazówki, podpowiedzi dla niego. Wiele mu zresztą pomagała bezpośrednio. Artur nie był tak przez Klewnicką hołubiony, choć też przecież jako uczeń się wyróżniał. Wcale nie był gorszy od Wiktora, ale miał piątkę podczas gdy tamten zawsze szóstkę. Arturowi wydawało się, że jego projekt nieszczególnie jej pasował także z tego względu, że bazował na materiale pozalekturowym, a więc... wymagał sporego wysiłku i od nauczycielki, która powinna się na tym znać, miała mu jakoś doradzić. Pozostali nie stawiali jej takich wymagań, bo wybrali tematy standardowe, wygodne dla Klewnickiej. Miał Artur także wątpliwości czy aby i Klewnickiej nie przeszkadza jego wyjątkowa uczci-

wość. Może ona też wolałaby szkolnego oszusta, którego może pouczać i względem którego sama nie poczuwa się do szczególnej sumienności, uczciwości w pracy. Nie wiedział tego na pewno, ale wiele na to wskazywało.

Tuż przed ocenieniem i obroną projektów zdarzyła się wyjątkowa sytuacja, pewna niespodzianka. Pani Klewnicka poważnie się rozchorowała i szkoła miała kłopot. W końcu tylko ona była zorientowana dobrze w tych uczniowskich pracach, drugi polonista ze szkoły nie chciał się w trybie nagłym tego zadania podjąć, a trzeci był zaledwie nauczycielem kontraktowym, więc formalnie zrobić tego nie mógł. W końcu dyrektor wynajął doktora Bremke z Akademii Pedagogicznej. Ten sumiennie zapoznał się z wszystkimi projektami, porozmawiał z ich autorami, a raczej w zdecydowanej większości z psuedoautorami, i przeprowadził egzamin – obronę tych projektów. No i doszło do wielkich „niespodzianek”. Przede wszystkim średnia ocen była bardzo niska – wzorowy uczeń Wiktor wraz z całą grupą dostał czwórkę. Była tylko jedna lepsza ocena i wielkie pochwały dla autora. Szóstkę i zaproszenie do Akademii Pedagogicznej (w charakterze przyszłego studenta, rzecz jasna) otrzymał Artur. W ocenie doktora Bremke tylko jego praca była w pełni autorska, twórcza, interesująca i – co podkreślił szczególnie – uczciwa. Cóż, to się chyba nazywa *happy end* – pomyślał Artur. W zasadzie rzecz normalna, prawidłowa, w końcu to sprawiedliwa ocena. Tylko dlaczego wszyscy tak dziwili się tej sprawiedliwości. I dlaczego ten *happy end* to taka rzadkość w życiu...?

*Opowiadania pochodzą z książki
„Życie (u)daje szkołę”*

UCHWAŁA SEJMU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

z dnia 13 czerwca 2019 r.

w sprawie ustanowienia roku 2020 Rokiem Bitwy Warszawskiej

W 1918 roku, po ponad wiekowej niewoli, Polska odzyskała niepodległość. Nie dane jednak było Polakom cieszyć się pokojem. Młode państwo musiało stawić czoła bezwzględnej machinie bolszewickiej Rosji. „Przez trupa Białej Polski” miała bowiem prowadzić „droga ku ogólnoświatowej pożodze”, jak wieszczyl czerwony marszałek Michaił Tuchaczewski.

100 lat temu, w dniach 13-15 sierpnia 1920 roku, na przedpolach Warszawy rozegrała się decydująca bitwa wojny polsko-bolszewickiej. Bohaterskie Wojsko Polskie na czele z Marszałkiem Józefem Piłsudskim, wspieranym między innymi przez szefa sztabu generalnego – generała Tadeusza Jordan-Rozwadowskiego, obroniło niepodległość Polski. Zwycięstwo przekreśliło też plany rozszerzenia rewolucji bolszewickiej na Europę Zachodnią.

Zdaniem lorda Edgara D’Abernona była to 18. przełomowa bitwa w historii świata. „*Gdyby Karol Młot nie powstrzymał inwazji Saracenów pod Tours, dziś w szkołach w Oksfordzie nauczano by Koranu. Gdyby Piłsudskiemu i Weygandowi nie udało się pod Warszawą powstrzymać triumfalnego marszu Armii Czerwonej, przyniosłoby to w rezultacie nie tylko niebezpieczny zwrot w dziejach chrześcijaństwa, lecz również fundamentalne zagrożenie całej zachodniej cywilizacji*” – pisał D’Abernon.

15 sierpnia 1920 roku był dniem zwycięstwa wszystkich Polaków. Ogromną rolę w tych dniach odegrał Kościół, który mobilizował cały naród do obrony przed najeżdżącą ze Wschodu. Do rangi symbolu urasta postawa nuncjusza papieskiego abpa Achille Rattiego, późniejszego Papieża Piusa XI, który w tych gorących sierpniowych dniach nie opuścił Warszawy, oraz postać bohaterskiego kapłana ks. Ignacego Skorupki, który zginął w bitwie pod Ossowem. To zjednoczenie Polaków w tych dniach było prawdziwym „Cudem nad Wisłą”.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej prof. Lech Kaczyński w przeddzień Święta Wojska Polskiego w 2009 roku mówił: „*W tych sierpniowych dniach decydował się nie tylko los naszego kraju, ale i całego kontynentu. Była to chwila wielkiej narodowej próby, którą Polacy przebyli zwycięsko. [...] Jej bohaterami, prawdziwymi twórcami zwycięstwa, byli żołnierze Wojska Polskiego, którzy ruszyli w bój o wszystko. Wreszcie solidarność i ofiarność całego społeczeństwa, które w tym dramatycznym momencie porzuciło spory i podziały. Wielka, wspaniała lekcja 15 sierpnia 1920 roku powinna być dla nas zawsze aktualna i pouczająca*”.

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, przekonany o szczególnym znaczeniu Bitwy Warszawskiej dla zachowania niepodległości przez Polskę i zatrzymania bolszewickiej nawały na Europę Zachodnią, ustanawia rok 2020 Rokiem Bitwy Warszawskiej.

Marszałek Sejmu Marek KUCHCIŃSKI



„W ciągu trzech dni, które Marszałek Piłsudski spędził wśród wojsk IV armii, zelektryzował je: przelał z własnej duszy w dusze walczących ufność i wolę pokonania wszelkich przeszkód. Nikt poza nim nie mógł tego dokonać. Pod żadnym innym dowódcą wojska polskiego nie dokonałyby z tym uniesieniem zażartym tej ofensywy, która miała doprowadzić je w ciągu kilku dni aż do niemieckiej granicy, przedzierając z boku i rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców.”

*Gen. Maxime Weygand o roli Józefa Piłsudskiego
podczas Bitwy Warszawskiej 1920 r.*